



UUK

ZBIGNIEW NIENACKI

NIESAMOWITY DWÓR



— A może pójdziemy przez park? Będzie bliżej. — zaproponowała Zosia.
— Teraz? Po ciemku?
— Słyszałeś o duchu we dworze i zląkłeś się?
— Nie boję się — wzruszył ramionami Antek — tylko jest naprawdę bardzo ciemno. W parku można wpaść na krzaki i podrapać się. A szosą, choć dalej, ale wygodniej. I muszę ci powiedzieć, że o żadnym duchu nic słyszałem. Zresztą, rozsądny człowiek w duchy nie wierzy.
— I ty jesteś ten rozsądny człowiek? — zakpiła.
— Staram się być rozsądny — rzekł z powagą, — Pragnę zostać lekarzem, a lekarz nie powinien wierzyć w duchy.
— A ja będę aktorką — w rozmarzeniu powiedziała Zosia.
— Wiem, wiem. Słyszałem to już wiele razy — mruknął Antek i nagle skręcił z szosy w rozwalającą się bramę parkową.
— Więc jednak chcesz iść przez park?
— A tak. Chcę ci udowodnić, że żadnych strachów się nie lękam.
— A ja się boję — westchnęła Zosia.
Stała na szosie i ani myślała pójść przez park.
Antek chwycił ją za rękę.
— Chodź. Strach trzeba przełamywać. Inaczej popadniesz w kompleksy.
— Co to są kompleksy? — zdumiała się Zosia.
Lekceważąco machnął ręką:
— Za długo trzeba by ci tłumaczyć. To są sprawy naukowe dla lekarzy i psychologów. Jeśli się czegoś boisz, każdy lekarz ci poradzi: należy przełamać strach. Zresztą, duchów nie ma. Pójdiesz ze mną przez park i sama się przekonasz.
Była ciemna, dżdżysta, listopadowa noc. Wracali ze szkoły, z próby kółka dramatycznego. Szkoła znajdowała się we wsi Janów, a oni mieszkali w Janówce,

prawie trzy kilometry dalej, w lasach nad Pilicą. Stały tam trzy domy Funduszu Wczasów Pracowniczych, ojciec Antka był kierownikiem ośrodka wczasowego, a matka Zosi prowadziła stołówkę.

Wieś Janów łączyła z Janówką asfaltowa szosa, która nieco dalej przeskakiwała rzekę po drewnianym moście. Szosa jednak robiła duży łuk omijając ogromny park i stary dwór, ukryty w gęstwinie wielkich drzew. Dawny właściciel dworu, hrabia Bruśnicki, życzył sobie, aby szosa biegła wzdłuż skraju jego posiadłości i musiano go posłuchać, choć to przedłużało bardzo trasę i podnosiło koszty budowy drogi. Ale to były bardzo dawne czasy, wtedy park był szczelnie ogrodzony wysokim murem z kamienia i nikt nie miał tam prawa wstępu. Potem jednak, przed samą wojną, kupił dwór Joachim Czernski, z zawodu antykwariusz. Nie bardzo dbał o swoją posiadłość, mur wykruszył się w kilku miejscach i ludzie, którym było spieszno z Janowa do Janówki, wydeptali ścieżkę przez dworski park.

Joachim Czernski zmarł przed tygodniem. Nie miał dzieci ani krewnych, więc jego posiadłość miało przejąć państwo. We dworze znajdowało się wiele zabytkowych przedmiotów, starych mebli, obrazów, cennych książek. W okolicy krążyła pogłoska, że w dworku Czernskiego zorganizowane zostanie muzeum regionalne. Na razie jednak władze ograniczyły się jedynie do zamknięcia okiennic, opieczutowania drzwi i okien.

— Mój ojciec bardzo by chciał, aby tu było muzeum — powiedział Antek. — Już dwukrotnie był w tej sprawie u władz wojewódzkich. Czy wiesz, jakie to miałyby dla nas znaczenie? Przyjeżdżaliby tutaj turyści, wycieczkowicze, nasze domy wczasowe byłyby pełne gości, a może zbudowano by jeszcze kilka nowych? Bo przecież tu jest pięknie, prawda?

— Tak — chętnie zgodziła się Zosia. Janówkę uważała za najpiękniejsze miejsce na świecie.

— A teraz tylko jeden dom wczasowy jest czynny. Ludzie nie chcą tu przyjeżdżać na wypoczynek. Wolą Sopot lub Zakopane. W lipcu i w sierpniu zawsze jest więcej gości, ale przecież nie opłaca się utrzymywać taki ośrodek tylko na dwa letnie miesiące. Może zlikwidują tutaj Fundusz Wczasów Pracowniczych? Tak mówił ojciec...

— Wiem — westchnęła Zosia. — I wtedy będziemy musieli opuścić Janówkę. Muzeum to byłaby wspaniała rzecz. A najlepiej, żeby w tym starym dworze straszył jakiś okropny duch. Taki duch dla reklamy, dla turystów, rozumiesz? Czytałam, że w Anglii, jeśli zamek posiada ducha, to jest droższy, bo chętniej go zwiedzają. Wczasowicze mieliby jeszcze jedną atrakcję.

— Ach, to dlatego zaczęłaś o tym duchu. Chcesz wymyślić ducha?

— Ducha albo upiora. Jak wolisz. I nawet sama gotowa jestem odegrać rolę ducha.

— Potrafiłabyś?

— Mogę być i duchem, i taką, co widziała ducha i bardzo go się boi. Co ty sobie myślisz? Aktorka musi grać różne role. Są sztuki z duchami. Na przykład, u Szekspira występują duchy i upiory. Będę się do tych ról przygotowywać, udając miejscowego ducha. Albo taką, co się ducha zlekła.

Nagle przystanęła na ścieżce parkowej i zaczęła się trząść. Chwyliła Antka za rękę i dzwoniąc zębami, powtarzała:

— Boję się... Boję się... On był straszny. Świeciły mu się oczy, miał na sobie białą, powłóczystą szatę, która się rozwiewała od wiatru i ukazywała szkielet... Widziałam trupa czaszkę...

— Gdzie? Co?... — zaniepokoił się Antek.

Poklepała go po plecach.

— Nie bądź głupi, ja tylko udaje. Gram, rozumiesz?

— Ducha trudniej zagrać — powiedział Antek.

— A tak — zgodziła się Zosia — ale należy spróbować.

Po chwili dodała:

— Jak tu strasznie w tym parku...

Antek pokręcił głową. Nie wiedział, czy ona znowu gra, czy rzeczywiście park wydaje jej się straszny.

W przekonaniu Antka, w parku było po prostu bardzo nieprzyjemnie. Otaczała ich ciemność tak gęsta, że nie widzieli się wzajemnie i idąc krętą ścieżką, wciąż musieli trzymać się za ręce. Zнали dobrze tę drogę, za dnia, a nawet nocą wiele razy tędy chodzili. I dlatego mimo mroku wiedzieli, kiedy ominąć pień drzewa, krzak, wielki kamień. Ktoś inny już po wielokroć przewróciłby się i podrapał o krzaki albo rozbił sobie głowę o drzewo. A oni raz tylko wleźli w grabowy żywopłot. Wiedzieli, że tuż za żywopłotem rozciąga się gazon przed frontowym wejściem do dworu. Gazon należało ominąć, potem przechodziło się obok na wpół zrujnowanej oficyny. Dalej znowu biegła ścieżka między krzakami i drzewami. Skraj parku był jednak już blisko, a za nim asfaltowa szosa i most na rzece.

Doszli do gazonu przed dworem. Dał silny wiatr, mżyło. Drzewa huczały groźnie. Chwilami, gdy wiatr stawał się porywisty, przez park przetaczał się łoskot, jakby to nie szosa biegła jego skrajem, a tor kolejowy z pędzącym pociągiem.

Po kilku krokach ciemność rozjaśniła się nieco, bo wyszli spomiędzy drzew. Otworzył się przed nimi pusty gazon i trochę rozbieliły mrok jasne ściany starego dworu.

— Jak on się nie bał mieszkać sam w takim wielkim domu — szepnęła Zosia.

— Przyzwyczylił się — powiedział Antek, który bardzo chciał, aby uważano go za człowieka rozsądnego. — Zresztą, w oficynie mieszka przecież stary Janiak. O, widzisz, pali się u niego światło.

Zobaczyła malutkie okienko, rozjarzone czerwonym blaskiem i poczuła się rażniej. Nie oświetlona bryła starego dworu wydawała jej się groźna i martwa, ale światełko w pobliskiej oficynie przydawało nieco życia tej ponurej scenarii.

— A on się nie boi? — spytała.

— Janiak? Co ty wciąż o strachach! — zniecierpliwiał się Antek.

— Ja się boję starego Janiaka. On wygląda tak... niesamowicie — namyślała się chwilę, szukając właściwego określenia.

— Eee, tam — lekceważąco rzekł Antek. — Po prostu dziwak. Taki sam, jak był pan Czerski. A ty co? Chcesz udawać ducha, a umierasz ze strachu. Uważam, że nie tyle odpowiada ci rola straszącego ducha, co ducha przestraszonego.

— Cichooo... — syknęła Zosia i mocniej ścisnęła go za rękę.

Ale on nic nie słyszał poza łoskotem wiatru, który zagłuszył wszystkie inne dźwięki. „O co jej chodzi?” — zastanawiał się. I zaraz zrozumiał. Zobaczył światełko na piętrze starego dworu. Błyskało w pokoju, który mieścił się tuż nad frontowym wejściem. Były tam aż trzy okna i duży balkon oparty o cztery potężne kolumny, wznoszące się jeszcze wyżej i wspierające wielki ozdobny trójkąt, wieńczący front domu. Światełko błysnęło w okienku środkowym, potem w oknie na lewo, a w chwilę później przesunęło się do prawego okna. I zgasło.

— Przecież dwór jest zamknięty i opieczętowany — stwierdził Antek.

— Tttaaak... — wyjąkała Zosia. Dygotała i zęby jej dzwoniły. Ale tym razem nie udawała strachu.

— Złodzieje! Ktoś zakradł się do dworu! — zawołał Antek. Chwycił mocniej Zosię za rękę i pociągnął ją w stronę oficyny. — Trzeba zawiadomić Janiaka!

— To nie złodzieje, tylko duch — pojękiwała Zosia.

Wpadli do kamiennej sieni. Załomotali do jedynych tam drzwi.

— Proszę pana! Proszę pana! Złodzieje! — krzyczał Antek.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Na progu małej izdebki stanął brodaty, zgarbiony mężczyzna z wielką szopą siwych włosów na głowie.

W niechętnym milczeniu wysłuchał chaotycznej opowieści Antka o światełku, które widzieli na piętrze dworu. Potem zapalił naftową latarnię i w takim samym ponurym milczeniu wyszedł z domu. We trójkę obeszlą cały dwór, oglądając drzwi frontowe i kuchenne, a później zamknięte okiennice. Wszędzie widniały nie naruszone, przyklejone starannie paski papieru z pieczęciami Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Dopiero teraz, po raz pierwszy, odezwał się Janiak.

Powiedział krótko swoim skrzypiącym, chrapliwym głosem:

— Śniło się wam, dzieciaki...

A przecież i Zosia, i Antek widzieli wyraźnie to światełko. Jakby ktoś z palącą się świecą albo latarką elektryczną krążył po pokoju na piętrze. Ale jak o tym przekonać Janiaka?

— Może to był duch?... — nieśmiało szepnęła Zosia.

Janiak spojrzał uważnie na Zosię, a potem na pograżony w ciemnościach stary dwór.

— Tam była biblioteka pana Czerskiego. Całe wieczory i noce w niej przesiadywał.

— I co? Co pan myśli? — dopytywała się Zosia.

— Może przesiaduje w niej nadal? — zachrypiął Janiak. A Zosia znowu zatrzęsa się ze strachu.

Antek usiłował być rozsądny.

— Duchów nie ma — powiedział. Ale w jego głosie nie było wielkiego przekonania. Bo wciąż otaczał ich groźnie huczący park i mrok. I pamiętał o światełku, które przecież widzieli, a które nie miało prawa tam się palić, bo dwór był nie zamieszkały i opieczętowany.

— Więc wam się tylko śniło to światełko — rzekł Janiak. — Bo duchów nie ma. Idźcie do domu, dzieciaki — burknął.

Zbliżył latarnię do twarzy, uniósł szkiełko i zdmuchnął.

Poszedł zaraz do mieszkania, a oni wzięli się za ręce i prawie biegiem pędzili ścieżką do skraju parku. Bezlistne gałęzie chwyciły ich za rękawy, chłostały po twarzach, a oni wciąż pędzili, ani na chwilę nie zwalniając kroku.

Zadyszani przystanęli dopiero na szosie. Zobaczyli pobłyskujące wesoło okna w domu wczasowym nad rzeką. Antek poczuł, że znowu wraca mu rozsądek.

— Chciałaś ducha i masz ducha — oświadczył z pretensją w głosie, jakby to Zosia była winna przygodzie w parku.

Nic się nie odezwała. Słyszała za swoimi plecami ponuro huczący park. Z pewnej odległości, gdy ciemność pochłonęła drzewa wydało jej się, że goni ich jakiś groźny głos, dobywający się z głębi ziemi, z mroku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIESPODZIEWANE WEZWANIE • DZIWNA PARA MŁODYCH LUDZI • NIESPODZIANKA • KONFRONTACJA • SAMOCHÓD CZY KARAWAN? • PODRÓŻ DO JANÓWKI • KIM JEST PAN SAMOCHODZIK? • SPOTKANIE ZE STARYM DWOREM • PIERWSZA NOC I PIERWSZA PRZYGODA • CZY WIERZEŃ W DUCHY?

Pod koniec listopada 1967 roku wezwano mnie do Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie.

Wysoko postawiona osoba, która chciała ze mną rozmawiać, była akurat zajęta i kazano mi zaczekać w obszernym hallu. Oczekiwało tam sporo interesantów, znalazłem jednak wolne krzesło w długim szeregu zajętych foteli. Usiadłem i przekonany, że długo wypadnie mi tu przebywać, zapaliłem papierosa.

Z nudów obserwowałem innych interesantów, nikogo z nich zresztą nie znałem. Potem bezwiednie zaczął mi wpadać w ucho szmer prowadzonej obok rozmowy.

W najbliższym moim sąsiedztwie rozsiadł się w fotelu młody człowiek, lat chyba dwudziestu dwóch, w czarnym, grubym swetrze i z długimi jak u dziewczyny włosami. Włosy te miał w wielkim nieładzie i chyba od dawna nie myte, bo polepiły się w grube strąki. Podobnie niechlujnie wyglądał jego zarost, gdyż młody człowiek miał coś w rodzaju brody, a raczej zapowiedź brody: rude kępki na policzkach i na szyi. Napisałem: rozsiadł się więc właściwiej byłoby określić: rozwalił się w fotelu, niemal w nim półleżał, zwrócony twarzą do dziewczyny, która zajmowała fotel obok. Miała chyba również nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, ale w przeciwieństwie do swego sąsiada była starannie ubrana i uczesana. Włosy miała jasne, krótko obcięte. W białej bluzeczce i ciemnej spódniczce wyglądała jak pensjonarka. O ile znam się na urodzie kobiecej — wydaje mi się, że była bardzo ładna.

— ... Taka placówka nadaje się dla ludzi młodych — mówił niechlujny młodzian. — Któremuś z nas, mnie albo tobie powinni dać kierownictwo. Ale nie dadzą. Przekonasz się, że nie dadzą. . .

Nie podśluchiwałem ich rozmowy, ale mówili dość głośno. Ich słowa wpadały mi w uszy.

— Wiem, że nam nie dadzą — skinęła głową dziewczyna. — Już mają kierownika. Będzie nim jakiś facet z prowincjonalnego muzeum. Studia pewnie skończył już dawno i to, czego się nauczył, zdążył zapomnieć. A tę placówkę trzeba będzie organizować od podstaw. Potrzebny jest do tego wybitny fachowiec albo tacy jak my: dopiero po studiach, ze świeżą wiedzą, z nowymi metodami pracy.

— Dali mu to stanowisko przez protekcję. Ma plecy w Warszawie — mruknął młodzieniec. — Znasz bliżej tego faceta?

— Nie. Ale ktoś mi o nim mówił. Podobno z trudem przebrnął przez historię sztuki na uniwerku, pracę na prowincji też dostał przez protekcję, a teraz jego protektor znowu winduje go na samodzielne stanowisko. Ech, niektórzy to mają szczęście. Nie tak jak my, młodzi, którzy własnymi siłami musimy dojść do wszystkiego. . .

„Tak, tak — pomyślałem ze smutkiem. — Zdarzają się takie historie. . .”

— Czy to facet młody, czy stary? — zapytał młodzieniec.

— W średnim wieku. Kawaler.

— To możesz się koło niego zakręcić, wyjść za mąż i zostać panią kierowniczką — złośliwie zachichotał młodzieniec.

— Pewnie brzydki jak noc — odpowiedziała dziewczyna.

Nie słuchałem dalej, bo do hallu weszła sekretarka wysoko postawionej osoby i poprosiła mnie do gabinetu. Szedłem na to spotkanie z ogromną radością, niedawno przeżyłem arcyciekawą historię, związaną z odzyskaniem zbiorów dzieł Dunina, skarbami templariuszy i pamiątkami hitlerowskiego zbrodniarza, odnalazłem także drugi egzemplarz słynnego złotego dukata Władysława Łokietka¹. Spodziewałem się, że wysoko postawiona osoba zleci mi teraz rozwiązanie nowej interesującej zagadki i przeżyję kolejną wspaniałą przygodę.

Dyrektor Marczak przywitał się ze mną bardzo serdecznie i posadził mnie w miękkim fotelu przed swoim biurkiem. Sekretarka podała czarną kawę, rozmowa zapowiadała się coraz przyjemniej.

— Czy słyszał pan o jakimś Joachimie Czernym? — zapytał.

— Nie, panie dyrektorze. . .

— Nie dziwię się. Nie była to osobistość znana w świecie historyków sztuki i muzealników. Nie był to nawet żaden naukowiec, a po prostu amator. Przed wojną, proszę pana, prowadził antykwariat z książkami przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie. Dorobił się trochę na tym interesie i przed samą wojną kupił od hrabiego Bruśnickiego, znanego karciarza i hulaki, jego dwór z parkiem i trzydziestoma hektarami ziemi. Miał trochę starych mebli, obrazów itp., które umieścił w tym dworku. Potem wybuchła wojna, antykwariat zburzony został podczas Powstania Warszawskiego, i Joachim Czerny osiadł już na stałe na wsi.

¹poprzednie przygody tego samego bohatera Czytelnik znajdzie w powieściach pt. „Wyspa złoczyńców”, „Pan Samochodzik i templariusze”, „Księga strachów”

Żył bardzo skromnie, z dzierżawy tych trzydziestu hektarów. Jak pan wie, w Polsce Ludowej parcelowano tylko majątki powyżej pięćdziesięciu hektarów, więc jego posiadłość ominęła reforma rolna. Zapewne z nudów obudziły się w Czerskim pasje naukowe, napisał pracę o polskich ekslibrisach, później zaś usiłował opublikować jakiś przyczynek do dziejów wolnomularstwa w Polsce w dziewiętnastym wieku. Jednym słowem, dziwak, ale takich jest wielu w naszej branży. Pan oczywiście nie domyśla się, dlaczego panu o tym opowiadam?

— Nie, panie dyrektorze. Ale słucham uważnie.

— Otóż Joachim Czerski umarł przed tygodniem, a że nie miał krewnych, jego dworek i zbiory przechodzą na własność państwa. Dwór jest zabytkowy, z dziewiętnastego wieku. Otacza go również zabytkowy park, pełen starych lip i dębów. Władze powiatowe i wojewódzkie bardzo chcą, aby dworek Czerskiego stał się muzeum regionalnym, a jego zbiory były zaczątkiem muzealnej kolekcji i ekspozycji. Pan jeszcze się nie domyśla, do czego zmierzam?

— Nie, panie dyrektorze.

— Dwór opieczętowano. Ale nie może to trwać w nieskończoność. Trzeba dokonać fachowej inwentaryzacji zbiorów i należy tam posłać człowieka, który obejmie funkcję przyszłego kierownika i kustosza nowo powstającego muzeum. A tym człowiekiem będzie pan, panie Tomaszu. . .

Poderwałem się z miękkiego fotela.

— Ja? Ależ ja nie potrafię. . . Nie umiem — bąknąłem. — Zawsze zajmowałem się rozwiązywaniem zagadek historycznych. . . Jestem chyba kiepskim organizatorem, nie mam wprawy. . .

Dyrektor Marczak nie podjął dyskusji. Wysunął szufladę w swoim biurku, wyjął z niej nieduży arkusik papieru i podał mi go:

— Tu jest pańska nominacja na stanowisko kustosza oraz wszelkie pełnomocnictwa do zorganizowania muzeum w Janówce, bo tak się ta miejscowość nazywa.

— Ależ ja nie potrafię. Może ktoś inny lepiej się będzie do tego nadawał? Mnie interesują zagadki, poszukiwania. . .

Dyrektor Marczak niecierpliwie zabębnił palcami po biurku:

— A ja panu mówię — powiedział z naciskiem — że nikt inny, tylko właśnie pan jest potrzebny w Janówce. A teraz zaprezentuję panu współpracowników.

Zadzwoił na sekretarkę i kazał jej poprosić do gabinetu pannę Barbarę Wierzchoń i pana Jana Bigosa (takie nazwiska wymienił sekretarce).

— To młodzi ludzie, dopiero po studiach — wyjaśnił. — Mam nadzieję, że przy panu staną się dobrymi muzealnikami.

Sprawdziły się moje najgorsze obawy: do gabinetu weszła schludnie ubrana panienka i niechlujny młodzian, czyli panna Wierzchoń i pan Bigos. Ja zaś okazałem się tym tępym nieukiem, który wszystko w życiu zawdzięczał protekcji.

— Przedstawiam wam przyszłego kierownika muzeum w Janówce — powiedział dyrektor Marczak.

Obydwoje obrzucili mnie niechętnym spojrzeniem. Chyba nie domyślali się, że słyszałem ich rozmowę, bo nie zauważyłem na ich twarzach ani odrobiny zmieszania. Tylko wyraźną niechęć.

— A teraz do dzieła — oświadczył dyrektor Marczak. I zwrócił się do mnie: — Kiedy nastąpi wyjazd na nową placówkę?

A ja, choć jeszcze przed chwilą chciałem się bardzo bronić przed wyjazdem do Janówki, teraz powiedziałem zaciskając usta:

— Kiedy wyjazd? Natychmiast, panie dyrektorze.

— Co? — oburzył się Bigos. — Ja nie mogę tak od razu jechać. Mam w naprawie moją gitarę.

— To pojedzie pan bez gitary — odrzekłem.

Dyrektor Marczak z zadowoleniem zatarł ręce:

— To lubię. To bardzo lubię. Z kopyta do nowych zadań. Wnioskuje z tego, że ci młodzi ludzie nieźle zaprawią się do pracy pod pana kierownictwem.

Młodzi ludzie wymienili między sobą tak wymowne spojrzenia i tak wymowne było wzruszenie ramion, które zademonstrowała panna Wierzchoń, że jeszcze mocniej zacisnąłem usta.

— Mój samochód czeka przed Ministerstwem. Daję państwu dwie godziny na zapakowanie się i zlikwidowanie swoich spraw. Jeśli ktoś z państwa nie może dziś wyjechać, proszę przyjechać jutro pociągiem do Janówki. Z dniem jutrzejszym, punktualnie o godzinie ósmej rano rozpoczynamy urzędowanie.

— Od stacji kolejowej do Janówki jest, zdaje się, około pięciu kilometrów pieszego marszu — wtrącił dyrektor.

— W takim razie będę tu za dwie godziny — pośpieszył z zapewnieniem Bigos.

— Ja też przyjdę z walizką — rzekła panna Wierzchoń.

— To lubię. To bardzo lubię — dyrektor znowu zatarł ręce. — Wnioskuje z tego, że pierwsze lody zostały przełamane.

A ja pomyślałem: „Między nami wyrosła góra lodowa, Antarktyda.” I pożegnałem się z dyrektorem Marczakiem. Potem poszedłem do sklepów i dokonałem kilku sprawunków.

Punktualnie po dwóch godzinach zająłem miejsce w swoim dziwnym wehikule, który stał zaparkowany przed Ministerstwem.

Panna Barbara zjawiała się z pięciominutowym opóźnieniem. Już z daleka widziałem, jak szła ulicą, objuczona dużą walizką. W pobliżu Ministerstwa zaczęła przystawać co kilka kroków, zapewne zastanawiając się, który to z parkujących przy krawężniku samochodów jest moją własnością. A stało tam kilka Wartburgów, moskwiczy i piękny Opel rekord. Raptem panna Basia zobaczyła mój pokraczny wehikuł i mnie za jego kierownicą. Coś jakby straszliwa odraza odmalowała się na jej twarzy.

— Co to jest? — wyjąkała, gdy wyszedłem i otworzyłem drzwiczki, aby ją wpuścić do wnętrza.

— Pyta pani o mój samochód? — odpowiedziałem grzecznie. Byłem bowiem już przyzwyczajony, że mój wehikuł budził drwiny.

— To nie jest samochód. Tego nie można nazwać samochodem. O, tam stoją samochody — wskazała wartburgi i opła — a to, czym pan jeździ, jest jakimś okropnym karawanem.

Takim epitetem nikt dotąd jeszcze nie obdarzył mojego auta. Wyznaję, że poczułem się dotknięty. Owszem, zdawałem sobie sprawę, że mój samochód jest brzydki, przypomina skrzyżowanie „latającego talerza” z wells’owskim „wehikułem czasu”, a najściślej — czółno na czterech kołach, nakryte brezentowym namiotem. Mówiono o nim: „poczwara”, wołano: „do lamusa z nim”. Radzono mi, abym swój samochód pokazywał w cyrku albo w muzeum starożytności. Ale żeby ktoś ośmielił się nazwać go „karawanem”? . . .

— To bardzo dobry samochód — odrzekłem, powściągając gniew. — Proszę wsiadać, bo zaraz ruszamy.

— O Boże, czy on się nie rozleci po drodze? — zaniepokoiła się panna Wierchoń.

Nic już nie powiedziałem. Położyłem jej walizkę na tylnym siedzeniu, a ona wgramoliła się na miejsce obok mnie.

— Nie — oświadczyła nagle. — Ja się przesiadę. Na tylne siedzenie. Jeszcze mnie ktoś ze znajomych zobaczy w tym karawanie i pomyśli, że umarłam i wiozą mnie na cmentarz.

— Pani dowcipy są trochę niewybredne — zwróciłem jej uwagę.

Odtąd nie odzywałem się do niej, bardzo obrażony. „Głupia geś” — pomyślałem.

Mogłem jej oczywiście opowiedzieć historię mego wehikułu. O moim wujku Gromille, zapomnianym wynalazcy, który odkupił wrak samochodu „Ferrari 410 — Super America”, rozbitego pod Zakopanem przez jakiegoś Włocha. W rozwalonym samochodzie ocalał wspaniały silnik, a wuj dorobił karoserię, wyposażając wehikuł w najróżniejsze swoje wynalazki i ulepszenia. Darował mi potem ten samochód, a ja przyjąłem go z tej prostej przyczyny, że nie stać mnie było na inny. Teraz zaś, gdy poznałem jego zalety, nie zamieniłbym swego wehikułu na najpiękniejszego Lincolna. Czyż zresztą nie miałem już takich propozycji?²

Próbowałem upiększyć zrobioną przez wujka karoserię, ale wysiłek okazał się płonny. Mój samochód wciąż przypominał czółno, zielonkawożółte, z zaciekami brązowymi i granatowymi, na czterech kółkach, z których dwa tylne miały szprychy, a przednie ich nie posiadały. Nad tym czółnem znajdowało się coś

²Historię wehikułu i związane z nim przygody Czytelnik znajdzie w powieściach: „Wyspa złoczyńców”, „Pan Samochodzik i templariusze” oraz „Księga strachów”

w rodzaju namiotu z celuloidowymi okienkami. Samochód wujka Gromiły miał wygląd przerażający, wydawać się mógł larwą straszliwego owada z wybałuszonymi oczami ogromnych reflektorów. Ale jego silnik? Pod szkaradną powłoką krył się silnik o tak wielkiej mocy, że potrafiłem rozwinąć szybkość ponad 200 kilometrów na godzinę.

Ferrari 410 to wozy turystyczno-wyścigowe najwyższej klasy, produkowane wyłącznie na indywidualne zamówienie. Cóż z tego, że piękna karoseria tego wspaniałego wozu została rozbita i zastąpiła ją brzydka, wykonana przez wujka? Wóz jeździł tak jak dawniej, był chyba najszybszym samochodem, jaki spotkać można na polskich szosach. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że mój samochód różnie mógł budzić skojarzenia, ponure i humorystyczne, ale na pewno nie przypominał karawanu. Dlatego panna Basia nie wydała mi się godna, aby wysłuchać historii o wujku Gromille. A tym bardziej nie uważałem za stosowne zdradzać jej zalet wehikułu.

W zupełnym więc milczeniu siedzieliśmy w wozie, oczekując na młodzieńca nazwiskiem Bigos. Ale minęło dziesięć minut, piętnaście, potem dwadzieścia — młodzian nie zjawiał się.

— Obawiam się, że pani kolega dziś się nie zmaterializuje — powiedziałem ze złością. — Pora ruszyć w drogę. Do Janówki jest dość daleko.

— O nie, on przyjdzie. Bardzo nie lubi chodzić piechotą. Wiadomość o tych pięciu kilometrach od stacji bardzo go zachęciła do jazdy samochodem. Zaczekajmy jeszcze chwilę. On, proszę pana. . .

— Kustosza. I magistra — wpadłem jej w zdanie. — Bardzo lubię, gdy się mnie odpowiednio tytułuje. Wprawdzie muzeum jeszcze nie mamy, ale ja otrzymałem stanowisko kustosza i mam prawo do tego tytułu.

Aż zaniemówiła. Wiem, co pomyślała: „Pyszałek, dureń! Straszne będziemy mieli życie pod jego kierownictwem.”

Po chwili ochłonęła i dokończyła zdanie:

— Kolega Bigos zawsze się spóźnia. Na wykłady też się spóźniał.

Cichuteńko gwizdnąłem przez zęby. A potem warknąłem:

— Już ja go nauczę punktualności. Jeszcze dziś wypiszę listę obecności i będę w niej odnotowywał każde spóźnienie.

— O Boże! — jęknęła. — Lista obecności w tak małym, trzyosobowym zespole? Wydawało mi się. . .

— Co się pani wydawało?

— Powinniśmy darzyć się większym zaufaniem.

— Chciała pani powiedzieć, że powinniśmy tworzyć zgrany i miły zespół, co? Tere-fere-kuku! Nie ze mną takie numery, panno Wierzchoń. Jedno wiem: trzeba podwładnych trzymać w ryzach. Wtedy można coś w życiu osiągnąć. A jak się jeszcze do tego ma znajomości i plecy. . .

Nie dokończyłem. Do wehikułu zbliżył się kolega Bigos. W lewej ręce miał niewielką walizeczkę, w prawej troskliwie niósł dużą, czerwoną gitarę. O dziwo, mój wehikuł nie wywołał u niego ani uczucia grozy, ani śmiechu. Trącił czubkiem buta oponę na kole i rzekł z miną człowieka, którego nic nie jest w stanie zadziwić:

— Zabawny wozik. Byle się toczył. . .

Zjednało mi to do niego odrobinę sympatii. Nawet nie oburzyłem się za spóźnienie. Dopiero potem domyśliłem się, że ta jego postawa wynikała z właściwej mu nonszalancji. Kolega Bigos pozował na człowieka, który zjadł wszystkie rozumy, wszystko przeżył i niczym mu nie można zaimponować.

Walizkę rzucił na tylne siedzenie, obok Baški, a sam usiadł przy mnie. Czerwoną gitarę położył sobie na kolanach, jakby się obawiał, że rozstanie się z nią choćby na okres podróży, przysporzy mu niewymownych cierpień.

Ruszyliśmy. Prowadząc wóz po ulicach Warszawy, uprzejmie zapytałem młodzieńca:

— A pan, panie kolego, dlaczego studiował pan historię sztuki? Czy nie lepiej było wstąpić do „Czerwono-Czarnych” albo zgoła do różowych w kropki pomarańczowe? Czy sądzi pan, że pańskie umiejętności muzyczne okażą się przydatne przy organizowaniu muzeum w Janówce?

— Pan nie lubi muzyki? — zdziwił się kolega Bigos.

— Lubię. Nawet big-beat. Ale wolałbym widzieć w panu przyszłego pracownika naukowego.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — lekceważąco machnął ręką kolega Bigos. A potem dodał ni stąd, ni zowąd: — Grunt się nie przejmować i mieć wygodne buty.

— A pani? — zwróciłem się do koleżanki Wierzchoń. — Pani zapewne tańczy albo śpiewa a la Kasia Sobczyk? Wydaje mi się, że zamiast muzeum zorganizujemy zespół pod nazwą „Wyjcie ze Strasznegu Dworu”.

Basia wzruszyła ramionami:

— Nie śpiewam, nie tańczę. . .

— Ona była na uczelni straszliwym kujonem. Pracuj, pracuj, a garb ci wyrośnie, tak jej zawsze mówiliśmy.

— I wyrósł? — spytałem.

— Trochę się garbi — z tryumfem stwierdził kolega Bigos.

— Nieprawda — oburzyła się koleżanka Wierzchoń. — Każdemu wolno mieć swoje ambicje.

— A pewnie — zgodziłem się. — Ja też mam swoje ambicje. Dziś jestem jeszcze kustoszem w Janówce, a jutro albo pojutrze. . . w Warszawie.

Potraktowali poważnie moje słowa. Odpowiadały ich wyobrażeniu, które się w ich głowach zrodziło, zanim mnie jeszcze zobaczyli i poznali.

— A ja chciałabym być taka, jak ów słynny pan Tomasz — nagle palnęła koleżanka Wierzchoń.

— Jaki „pan Tomasz”? — zdumiałem się. — Ja też jestem Tomasz, ale nie słyszałem, abym był sławny.

Odpowiedziała niemal pogardliwie:

— Nie dziwię się, że pan o nim nie słyszał. Tacy ludzie jak on na pewno pana nie interesują. Jest skromnym pracownikiem, ani myśli robić karierę administracyjną. Opowiadała mi o nim jedna z moich koleżanek. To niezwykle człowiek. Zajmuje się przede wszystkim rozwiązywaniem zagadek historycznych, poszukiwał zaginionych zbiorów. I wiele z nich odnalazł. A przy sposobności przeżył mnóstwo ciekawych przygód.

Chciało mi się śmiać, lecz powiedziałem z ironią:

— Nie słyszałem o takim geniuszu. . .

— Bo on swoją działalnością się nie chełpi. Ale on, proszę pana, rozwikłał zagadkę tajemniczych szachownic na kościołach nad Odrą, odkrył część skarbów zakonu templariuszy, odnalazł zbiory dziedzica Dunina, złoty dukat Łokietka. Lecz nie szuka rozgłosu, nie robi kariery. Jak inni — dorzuciła w moją stronę.

— I pani chce być takim Tomaszem w spódnicy — stwierdziłem.

— A tak.

— Obawiam się, że w dworku Czerskiego nie znajdzie pani pola do działalności. Będzie pani wstawać o siódmej rano, pitrasić śniadanko, i potem aż do czwartej inwentaryzacja zbiorów. Najnudniejsze zajęcie pod słońcem. Wieczór nadchodzi teraz bardzo szybko, nie będzie pani miała dokąd pójść, tylko sięść i płakać. Albo słuchać gitary kolegi Bigosa, co chyba na jedno wychodzi.

Wzruszyła ramionami.

— Nie można powiedzieć, aby pan nas napawał optymizmem.

A kolega Bigos jęknął:

— Najgorsze to wczesne wstawanie. . .

Powróciłem do sprawy Tomasza:

— A tego zapoznanego geniusza pani kiedyś widziała? Wie pani, jak on wygląda?

— Słyszałam, że jest dość przystojny.

Z zadowoleniem zerknąłem do lusterka nad przednią szybą.

— A ja? — spytałem. — Jak wyglądam?

— Tak, jak i pański samochód — burknęła.

Kolega Bigos ozwał się pojednawczo:

— A propos pańskiego samochodu. Czy nie możemy pojechać nieco szybciej? Uwielbiam szybką jazdę. Stówą, panie. . .

— Kustosz — dodała szybko i złośliwie panna Wierzchoń.

— Stówą, panie kustosz — podchwycił Bigos.

— Nie, nie! — krzyknęła koleżanka Wierzchoń. — Bo ten karawan się rozleci.

Znowu zmroziła mnie ta wzmianka o karawanie. „Głupia gęś” — pomyślałem jeszcze raz.

Do tej pory jechaliśmy przez zatłoczone ulice Warszawy, więc z konieczności nie mogłem rozwinąć większej szybkości. Znaleźliśmy się już jednak za miastem i chciałem właśnie przycisnąć pedał gazu. Ale zmieniłem zamiar. Nawet nieco zwolniłem szybkość. Odtąd wyprzedzały nas wszystkie samochody i motocykle. Nawet motorower, bzycający jak zła mucha, wysforował się przed nas, co bardzo oburzyło kolegę Bigosa. Spojrzał na deskę rozdzielczą wehikułu, zauważył na niej dwa zegary-szybkościomierze i inne przedziwne urządzenia wmontowane przez wujka Gromiłę.

— Kabinę ma pan jak w odrzutowcu, a jedzie pan czterdziestką — rzekł z dezaprobatą. — Stową, panie kustosz, stową. . .

Jechaliśmy jednak wciąż czterdziestką. Aż i mnie to w końcu zmęczyło. A zresztą, do Janówki było ponad dwieście kilometrów. Należało trochę przyspieszyć, jeśli chcieliśmy przybyć tam przed nocą. I gdy kolega Bigos zdrzemał znudzony monotonią tak wolnego tempa podróży, docisnąłem pedał.

Nagle usłyszałem za sobą głos koleżanki Wierzchoń:

— Ten pan Tomasz, o którym panu opowiadałam, podobno posiada bardzo szybki i sprawny samochód. Dlatego zowią go „Pan Samochodzik”. Potrafi jechać z szybkością dwustu kilometrów na godzinę. Wyobrażam sobie, jaką on ma piękną maszynę.

Zwolniłem pedał gazu i znowu wlokłem się czterdziestką. . .

Była bardzo ciemna listopadowa noc, zimny wiatr przeniknął nas chłodem. Rozkołysane stare drzewa w ogromnym parku szumiały jak wzburzone czarne jezioro.

Na frontowych drzwiach dworu rozdarłem kartki z pieczęciami i weszliśmy do przepaścistej sieni. Odnalazłem kontakt elektryczny i zapaliłem światło. Potem zwiedziliśmy kilka pokoiów na parterze i zajrzeliśmy na piętro. Dwór wydał się nam strasznie zagracony, na pierwszy rzut oka nie dostrzegłem w nim zbyt cennych zabytków.

Panna Wierzchoń poziewywała dyskretnie, ja także czułem się zmęczony podróżą. Kolega Bigos od czasu do czasu wspierał się o ścianę i zamykał oczy.

— Co panu? — zapytałem.

— Zapadam w letarg, panie kustoszu. Taką mam dolegliwość od dzieciństwa. Letarg. Czuję, że z powodu tej choroby jutro zapewne spóźnię się do pracy.

We dworze znajdowała się wielka kuchnia, ale nikomu z nas nie chciało się przyrządzać kolacji. Woleliśmy iść spać na głodnego.

— Panna Wierzchoń będzie mieszkać w pokoju zielonym — zdecydowałem, kierując się kolorem obić na meblach — kolega Bigos weźmie sobie pokój żółty, a ja czerwony.

Były to trzy sąsiadujące ze sobą pokoje, do których wchodziło się z wąskiego korytarzyka, ciągnącego się wzdłuż frontowej ściany i prowadzącego do pomiesz-

czeń gospodarczych, to znaczy do kuchni i spiżarni. Okna wychodziły na ogród. W każdym z tych pokoi była kanapa albo szezlong do spania. Wyjąłem z samochodu śpiwór i dwa grube wełniane koce, jakie zawsze z sobą wożę. Panna Wierzchoń przezornie zabrała z sobą kołdrę i poduszkę. Koce więc oddałem kolidze gitarzyście, który zapewne sądził, że we dworze czeka na niego wygodne łóżko ze wspaniałą puchową pościelą.

Powiedzieliśmy sobie „dobranoc” i rozeszliśmy się do swoich pokoi. Trząsłem się z zimna, we dworze nie było centralnego ogrzewania, tylko piece kaflowe i kominki. Nikt nie napalił na nasz przyjazd, bo przecież to my mieliśmy tu wnieść nowe życie. Rozłożyłem śpiwór na renesansowej kanapie i natychmiast się do niego wsunąłem. Jutro czekało nas solidne sprzątanie, bo wszędzie zalegała gruba warstwa kurzu. Pan Czerski — o ile zdążyłem się zorientować — korzystał w gruncie rzeczy tylko z dwóch pokoi na piętrze, tuż przy bibliotece.

Zasypiając układałem plan pracy na dzień następny. A więc po pierwsze: sprzątanie i organizowanie pobytu w Janówce. Po drugie: dokładne zwiedzenie dworu i pobieżna orientacja w zbiorach Czerskiego. To byłoby dużo, jak na jeden dzień. I z tą myślą zasnąłem, ukołysany jednostajnym szumem drzew, który dolatywał przez zamknięte okiennice.

Zbudził mnie dźwięk podobny do skrobania myszy. A potem usłyszałem nad swoją głową głośnie stąpanie. Minęła długa chwila i do mych uszu doszedł odgłos kroków.

W starym dworze było nas tylko troje. Bigos i Wierzchoń spali na parterze w pokojach sąsiadujących z moim. A jednak coś działo się na górze, w bibliotece lub w tych dwóch pokojach, gdzie kiedyś mieszkał Czerski.

Zerknąłem na fosforyzujące wskazówki zegarka — właśnie minęła północ. I znowu usłyszałem głośnie stąpanie, a później kroki w dość dziwnym rytmie. Najpierw trzy kroki, i cisza. Znowu trzy kroki, i cisza. Znowu trzy...

Wyskoczyłem ze śpiwora. Chwyciłem elektryczną latarkę i wybiegłem do sieni. Wspiąłem się po drewnianych schodach, wyłożonych pogryzionym przez myszy dywanem. Na podeście zamajaczyła w świetle latarki jakaś okropna twarz. Przeraziłem się, dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że stoi tam duża rzeźba, nawet dość ładna, tylko błysk latarki wykrzywił jej rysy.

Gdy mijałem podest, wydało mi się, że usłyszałem skrzyp drzwi. Wpadłem do biblioteki, ale dłuższa chwila minęła, zanim znalazłem kontakt elektryczny. W tym czasie z sąsiednich pokoi znowu doszedł mnie skrzyp drzwi. Przekreśliłem kontakt — i stwierdziłem, że w bibliotece nie ma nikogo. Tylko głębokie cienie czały się w ogromnych fotelach przy kominku.

Przeszedłem do gabinetu Czerskiego, a później do jego sypialni. Drzwi z sypialni na korytarz zastałem uchylone. „Czyżbym ich nie zamknął?” — zastanawiałem się.

Uchyliłem je więcej i wtedy coś miękkiego spadło mi na głowę, owinęło się wokół niej i zaczęło mnie dusić. „Ratunku!” — krzyknąłem, ale głos mój został stłumiony przez miękką materię.

Zdarłem ją z siebie jednym silnym ruchem. Stałem na korytarzu w otwartych drzwiach, w dłoni trzymałem jakiś duży kawał draperii. Obok mnie nie było nikogo, również i korytarz wydał mi się zupełnie pusty. „Kto na mnie rzucił tę szmatę?” — zapytywałem siebie.

Obejrzałem górną krawędź drzwi i znalazłem na niej kilka nitek draperii. Wynioskowałem, że była uciepiona do framugi. Gdy uchyliłem drzwi, materia się naprężyła, a ponieważ została dość lekko umocowana, natychmiast spadła mi na głowę.

Czy ktoś zrobił to specjalnie?

Na parterze szczęknęła klamka, otworzyły się drzwi.

— Panie kustozu, panie kustozu! Coś się tam dzieje na górze... — przestraszony głos panny Wierzchoń wypełnił sieni.

— Jestem właśnie na górze — odpowiedziałem i zacząłem schodzić na dół.

Panna Wierzchoń w różowej pidżamie stała w sieni i patrzyła na mnie z odrobiną niepokoju:

— Co się stało, panie kustozu? Czy, broń Boże, nie jest pan lunatykiem?

— Gdzie jest kolega Bigos? — burknąłem.

— Nie wiem. To znaczy wiem. Pewnie śpi. To znaczy, jest pogrążony w letargu.

Zapukałem do jego pokoju, ale nikt się nie odezwał. Panowała tam cisza.

— No, zdaje się, że rozumiem... — mruknąłem.

— Czy coś się stało? — dopytywała się panna Wierzchoń.

— Ktoś się zabawiał w ducha. Słyszałem na górze kroki. W bibliotece i w gabinecie Czarskiego.

— I pan myśli, że to Bigos?

— Ktoś zastawił na mnie głupią pułapkę. Draperia spadła mi na głowę.

— Co? Spadła panu na głowę? — koleżanka Wierzchoń z trudem hamowała śmiech. Wreszcie nie wytrzymała i parsknęła głośno: — O, rany, wyobrażam sobie, jak pan zabawnie wyglądał, miotając się w takiej draperii.

Walnąłem pięścią w drzwi pokoju Bigosa.

— Wiem, kto jest tym kawalarzem. Gdzie jest kolega Bigos? Uciekł z biblioteki i na pewno krąży gdzieś po pierwszym piętrze. Albo schował się na strychu.

Koleżanka Wierzchoń przestała się śmiać. Zrobiła obrażoną minę:

— Dlaczego pan podejrzewa Bigosa? On śpi, czyli znajduje się w letargu. Nie obudzi go pan pukaniem, ani nawet waleniem w drzwi. Chyba że go pan walnie pięścią w głowę.

Nacisnąłem klamkę i wszedłem do pokoju Bigosa. Zapaliłem światło.

Bigos leżał na szezlongu przykryty kocami. Dłonie miał złożone na piersiach, usta szeroko otwarte. Wyglądał jak martwy, a jednak żył i chrapał.

— No, widzi pan? On zapadł w letarg. Niesłusznie go pan oskarżył. Wnioskuje z tego, że ma pan o nas jak najgorsze wyobrażenie. I co się tu tylko stanie złego, pan nam przypisze.

— Przepraszam — wybąkałem. — I dobranoc pani.

— A duch? Pozostawi go pan na górze? Może należy go poszukać?

— Goście z zaświatów to nie moja specjalność — odrzekłem i pomaszzerowałem do swego pokoju.

Włącząc do śpiwora słyszałem, jak wiatr łomocze i napiera na okiennice. Pomyslałem: „Gdy ja szedłem po schodach na górę, oni mogli być w bibliotece i zawieszali draperię nad drzwiami. Gdy ja wszedłem do biblioteki, oni uciekli do gabinetu Czerskiego, a potem, przez jego sypialnię, wymknęli się z powrotem na korytarz. Ja szamotałem się z draperią, gdy oni znajdowali się już na dole, w swoich pokojach.”

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem i nasłuchiwałem szmerów.

Czy nocowaliście kiedyś w starym domu? Takie budowle podobne są do dziwnych istot, które w dzień wydają się martwe, a nocą zaczynają żyć swoim własnym życiem. Gdy na dworze jest silny wiatr, wówczas stary dom pełen jest przedziwnych szmerów, trzasków, pisków. Trzeszczą drewniane podłogi, coś puka lub skrobie w meblach, czasem zaszeleści odrobina tynku osypującego się po ścianie, ponuro wyje wiatr w kominach, stukają okiennice.

Nasłuchiwałem tych odgłosów i po jakimś czasie moja podejrzliwość wobec koleżanki Wierzchoń i Bigosa znacznie osłabła. Kto wie, czy w tamtej chwili nie uległem złudzeniu, zwykłe szmery i szelesty wydały mi się tajemniczymi krokami? Z tą draperią też mógł być przypadek. Wisiała nad drzwiami i nagle urwała się.

Albowiem w duchy nie wierzę.

ROZDZIAŁ DRUGI

PORANEK W NIESAMOWITYM DWORZE • W JAKI SPOSÓB BUDZONO BIGOSA • ILE JEST STRASZNYCH SPRAW WE DWORZE • ŻALE STAREGO JANIKA I UROKI PARKU • BIGOS PALI W PIECU • ZAGADKOWY KATALOG • TAJEMNICA „PIĄTEGO ROZDZIAŁU” • PANNA, KTÓRA CHCE SPOTKAĆ DUCHA • NOWA ZAGADKA • DUCH ZJAWIA SIĘ PO RAZ DRUGI • DUCH TRZECI RAZ DAJE ZNAK

Zbudowano ten dwór w 1821 roku, w stylu, który nazywa się klasycystyczny. Historyk sztuki zrobiłby następujący opis: dwór jest murowany, położony w głębi dużego parku w stylu angielskim. Park bardzo zaniedbany. Budynek piętrowy, postawiony na planie prostokąta z półkolistym ryzalitem od ogrodu. Układ wnętrza dwutraktowy, na osi sień i owalny salon. Na zewnątrz kondygnacje są oddzielone gzymsem kordonowym, pod okapem znajduje się gzymś na kroksztynach. Na osi fasady widać joński portyk kolumnowy, zwieńczony trójkątnym szczytem. Dach czterospadowy. Pod trzema środkowymi oknami pierwszego piętra biegnie malowany fryz przedstawiający gryfy z wazami i datą: 1821 rok. W klatce schodowej kolumnada z romantycznym pejzażem, na suficie piętra putti w chmurach. W salonie owalny plafon z Cererą w ramie z rocaillami. W pokoju przylegającym do salonu malowane supraporty z wazami i kwiatami, owocami i liśćmi akantu. Na piętrze w bibliotece owalny plafon, przedstawiający Zeusa na Olimpie, w ramie o dekoracji pompejańskiej. Większość pomieszczeń posiada dębową boazerię, biblioteka i sala balowa jest cała wyłożona dębowym drzewem.

Lecz nam potrzebny będzie inny opis.

Pod portykiem z jońskimi kolumnami wchodziło się do wielkiej, mrocznej sieni, z ogromną latarnią żelazną zawieszoną na ciężkim łańcuchu. W sieni znajdował się czarny stół i dwie długie ławy. Po lewej ręce, w pobliżu frontowego wejścia wąski korytarzyk prowadził do kuchni, po drodze mijało się troje drzwi wiodących do pokoi: zielonego, żółtego i czerwonego. W głębi klatki schodowej były schody na piętro oraz wejście do owalnego salonu. Po prawej stronie na parterze znajdowała się duża sala balowa ze wspaniałym klasycystycznym kominem.

Na piętrze po lewej stronie mieściła się biblioteka z kominkiem i dwa pokoje: dawny gabinet Czerskiego i jego sypialnia. Po prawej zaś strome, nad salą balową, było pięć niedużych pokoi, dwa z nich w amfiladzie, a trzy z samodzielnym wejściem, z głównego korytarza i małego korytarzyka.

W tym miejscu przerwę opis, albowiem bardzo nie lubię chwili, kiedy czytelnik zaczyna przerzucać strony, szukając tej, gdzie zaczyna się akcja. Na później zostawmy więc dokładną lustrację całego wnętrza dworu. Jeszcze nie raz przecież wrócimy do tej sprawy, miała ona bowiem istotne znaczenie dla niniejszej historii.

Na skutek nocnej przygody z „duchem” obudziłem się pięć minut po ósmej. Ja — który swoim podwładnym i współpracownikom w osobach panny Wierzchoń i kolegi Bigosa groziłem surowymi konsekwencjami za spóźnienie, właśnie ja pierwszego dnia swej nowej pracy byłem spóźniony.

Ubrałem się w ciągu kilku minut. Oczywiście, nie myłem się. Nie miałem pojęcia, czy we dworze jest łazienka. Po cichu otworzyłem drzwi i ostrożnie wyjrzałem do sieni. Na razie zamierzałem uniknąć spotkania z młodymi ludźmi, a potem chciałem udać, że już od jakiegoś czasu krążę po górnym piętrze.

W sieni nie było żadnego z nich. Tylko z kuchni doszedł mnie kobiecy śpiew. Panna Wierzchoń śpiewała: „Oj, rudy, rudy rydz, jaka piękna sztukaaa!” A w miarę jak zbliżałem się do kuchni, ogarniał mnie wspaniały zapach smażonej kiełbasy.

— Pani jest jednak śpiewaczką — stwierdziłem, wkraczając do ogromnej kuchni.

— A pan się spóźnił do pracy — zauważyła.

— Och, już od kwadransa. . . — zacząłem.

— Niech pan nie buja, panie kustoszu. Przed dziesięcioma minutami zaglądałam do pańskiego pokoju. Był pan pogrążony w letargu, podobnie jak kolega Bigos.

— Jakim prawem. . . — zacząłem.

— Chciałam, żeby mi ktoś pomógł zrobić śniadanie. Ale jakoś sama sobie poradziłam. W tym dworze jest bieżąca woda, jest również łazienka, ba! nawet dwie. Uruchomiłam hydrofor, proszę pana kustosza. Spenetrowałam również kuchnię i stwierdzam, że jest świetnie wyposażona. Mamy tu gaz w butli, tak że nie trzeba palić pod płytą. Oto smażę kiełbasę, a potem przyrządzę na niej jajecznicę. Pan zaś może się umyć. Łazienka jest w kuchennym korytarzu po prawej ręce.

Bez słowa opuściłem kuchnię. Pobiegłem do pokoju po ręcznik i mydło, umyłem się w lodowato zimnej wodzie. Gdy wychodziłem z łazienki, koleżanka Wierzchoń wracała skądś, dźwigając patelnię pełną pachnącej jajecznicy. Szła do kuchni, za nią kroczył kolega Bigos. Wydawało mi się, że idzie jak ślepiec, miał bowiem zamknięte oczy i obijał się o ściany.

— A pani skąd idzie z tą patelnią? — zdumiałem się.

— Budziłam kolegę Bigosa.

— Patelnią?

— Tak, panie kustoszu. Podłożyłam mu pod nos patelnię z jajecznicą smażoną na kiełbasie, i ocknął się z letargu. Szarpanie za ramię i przemawianie do rozsądku nie odniosłoby skutku. Z letargu budzi go tylko zapach jedzenia.

Zasiedliśmy zgodnie przy kuchennym stole. Panna Wierzchoń wyłożyła jajecznicę na talerze, postawiła półmisek z nakrojonym chlebem posmarowanym masłem.

— Dzisiejsze śniadanie jest na mój koszt — oświadczyła. — Niestety, o obiedzie będzie musiał myśleć pan kustosz.

— Dlaczego właśnie ja? — oburzyłem się. — Niech kolega Bigos pomyśli o obiedzie, a ja o kolacji. Nie rozumiem, dlaczego przewidziano dla tego muzeum aż trzech pracowników naukowych, a ani jednej kucharki, sprzątaczkę lub palacza. Przecież w piecach też trzeba napalić. Ciekawym, czy jest tu węgiel?

— Jest — tryumfująco powiedziała panna Wierzchoń.

Westchnąłem ciężko. Przecież mówiłem dyrektorowi Marczakowi, że nie mam zdolności organizacyjnych. Ta pannica o wiele lepiej nadawała się na kierownika nowo powstającego muzeum.

Bezradnie rozejrzałem się po kuchni. Tak, rzeczywiście była świetnie wyposażona. Stała tu butla z gazem i dwupalnikowa kuchenka. Szafki zdawały się kryć zastawę stołową, na półkach sterczały dzbany gliniane, na ścianach wisiały patelnie. Szuflady kredensu też chyba nie były puste. Spuścizna po Czerskim okazywała się różnoraka. Ale chyba jedzenia nie zostawił?

Kolega Bigos snuł zapewne podobne rozmyślania, nagle bowiem powiedział głośno:

— Ciekawym, czy jest tutaj piwnica ze starymi winami. . .

Panna Wierzchem zabrzączała kluczami na dużym kółku żelaznym.

— Przezornie zamknęłam większość pomieszczeń gospodarczych. Otwartą zostawiłam tylko piwnicę z węglem. Uważam, że powinniśmy dokonać społecznego podziału pracy. Kolega Bigos napali w kilku piecach, bo inaczej pomarznjemy i popadniemy w chorobę. Ja wybiorę się po sprawunki do najbliższego sklepu. Może jest tu gdzieś jakaś restauracja i będziemy mogli jadać w niej obiady? Pan kustosz weźmie się za sprzątanie, cały dwór jest pełen kurzu. Po powrocie ze sklepu pomogę panu kustoszowi, jak również pomóc winien kolega Bigos, gdy już napali w piecach.

— Ja jestem pracownikiem naukowym — stwierdziłem.

— A ma pan etat sprzątaczkę?

— Chyba mi go przydzielią.

— Kiedy? Może za miesiąc. A nie możemy organizować muzeum w brudnych pomieszczeniach.

— W każdym muzeum musi być palacz — dorzucił Bigos.

Panna Wierzchoń wzruszyła ramionami:

— Róbcie jak chcecie, panowie. Ale moim zdaniem, nie ma innego wyjścia, tylko odłożyć na potem sprawy naukowe. A ściślej, godzić je z innymi zajęciami. Powiedzmy, trzy godziny na zajęcia gospodarcze, a pozostały czas na prace naukowe.

Miała rację. Z aprobatą pokiwałem głową.

— Z ust mi to pani wyjęła — powiedziałem. — Właśnie zamierzałem wydać taką decyzję. Trzy godziny na zajęcia gospodarcze, a reszta czasu na organizowanie muzeum. Wyznaję, że nie posiadam zdolności organizacyjnych, a tylko odrobinę znajomości. . .

— To nic. Przy mnie pan się wyrobi, panie kustoszu — dumnie oświadczyła koleżanka Wierzchoń. A potem zapytała z troskliwą ironią: — A jak nocne mary, zwidy, czyli duchy i upiory?

Bigos otrząsnął się ze wstrętem:

— Tu są duchy? Czy nie za dużo strasznych rzeczy w tym dworze? Wystarczająco straszne jest palenie w piecach.

Pominęliśmy milczeniem żale Bigosa.

— Pan będzie łaskaw rozpalić w pokoju koleżanki Wierzchoń i w swoim oraz na górze, w bibliotece, która stanie się naszą pracownią — powiedziałem stanowczo.

— W bibliotece jest kominek — zauważył Bigos.

— Ale i piec kaflowy. Kominek służy chyba raczej do ozdoby. Biblioteka, jak powiadam, stanie się naszą pracownią, a wieczorem będzie miejscem towarzyskich spotkań. Tam będzie pan mógł grać na gitarze, a panna Wierzchoń wtórować będzie: „Ye, ye, ye!”

— A u pana nie trzeba napalić? — zapytała.

— Do późnego wieczora zamierzam pracować w bibliotece. Spać mogę w zimnym pokoju.

— W takim razie ja też nie potrzebuję ciepłego pieca w pokoju. Już wolę, aby kolega Bigos rozpalił wieczorem piec w łazience.

— Co? — oburzył się Bigos. — Za kogo mnie koleżanka uważa? Za kąpielowego?

— Och, to przecież zwykła zamiana. Zamiast palić w moim pokoju, rozpalisz w łazience.

— Świetnie — przytaknąłem. I znacząco spojrzałem na szyję i uszy kolegi Bigosa. Dodałem z naciskiem: — To będzie i dla pańskiego dobra. Robi pan wrażenie abnegata, nie strzyże pan włosów i, zdaje się, nie uznaje pan żyłetek. Ale chyba pan się myje od czasu do czasu?

Bigos lekceważąco machnął ręką, jakby sprawa mycia była czymś nieważnym wobec ogromu problemów, które go zaprzętały. Rzekł niemal z radością:

— Ponieważ ja też mogę spać w zimnym pokoju, pozostaje mi tylko piec w bibliotece i w łazience.

Na tym stwierdzeniu zakończyliśmy śniadanie. Panna Wierzchoń włożyła płaszcz i z siatką w ręku (przezornie wzięła nawet siatkę na zakupy) pomaszowała aleją parkową. Przed tym rekonesansem w teren wręczyliśmy jej po sto złotych, aby miała na zakupy, postanowiliśmy bowiem łożyć wspólnie na jedzenie.

W chwilę po wyjściu panny Wierzchoń ja również opuściłem dwór, żeby zwiedzić park i otworzyć okiennice we dworze.

Wczoraj było pochmurno i dał silny wiatr. Dziś świeciło słońce, ale wiatr był tak samo porywisty i w parku przeniknął mnie listopadowy ziąb. Wokół ciągnęły się rozległe trawniki, na których tu i ówdzie rosły samotnie ogromne dęby i lipy, kępami stały klony, buki, graby. Do wyjścia prowadziła aleja wysadzana starymi lipami. Gdzieniedzie wśród trawników i alejek oraz wokół rozległego gazonu przed frontem dworu rosły gęste krzaki, a raczej od dawna nie strzyżone żywopłoty jaśminowca, głogu, berberysu i bzu. Ale właśnie może przez to zaniedbanie zarośnięte chwastami alejki miały dużo uroku i barwy. Drzewa były już gołe i czarne, lecz rudy dywan traw pokrywały różnokolorowe desenie z opadłych liści: czerwonych, brunatnych, barwy ochry i sieni palonej.

W głębi parku czerwienił się dach niskiej oficyny, która sąsiadowała z wozownią. Po drugiej stronie dworu, w dawnym ogrodzie, gdzie rosło kilkanaście na wpół uschniętych grusz, śliw i włoskich orzechów, widniał wśród chaszczów nieduży, odrapany budynek, zapewne pozostałość po jakiejś ozdobnej altanie.

Kończyłem właśnie zrywanie papierków z pieczęciami na ostatniej okiennicy w sali balowej, gdy z oficyny wyszedł jakiś brodaty mężczyzna i poczłapał w moim kierunku. Na pierwszy rzut oka zrobił na mnie odstręczające wrażenie, może dlatego, że wyglądał brudno i niechlujnie.

— Nazywam się Janiak — ozwał się chrapliwie, a potem zakaszłał i splunął w bok. — Zajmowałem się tutaj ogrodnictwem. . .

— To było chyba dawno — odpowiedziałem, rozglądając się po nie strzyżonym żywopłocie i zarośniętych alejkach.

Zrozumiał moje spojrzenie.

— Dawniej pan Czerski miał więcej pieniędzy. Był ogrodnik, dwie służące i stajenny. Ale potem już sobie sam sprzątał i gotował. Ziemię wydzierżawił, konie sprzedał. Odtąd pracowałem u niego jako dozorca, paliłem w piecach i robiłem, co kazał, różne roboty gospodarskie. Słyszałem, że tutaj ma być muzeum, a pan pewnie jest kierownikiem?

— Tak.

— Chyba mnie nie wyrzucicie z mojej izdebki w oficynie? Jakby co, mógłbym u was pracować za ogrodnika albo palacza.

— Trudno jest mi dać wiążącą odpowiedź. Jak się zorganizuje muzeum, pałac i ogrodnik będzie bardzo potrzebny. I chyba nie ma przeszkód, żeby pan nim został, skoro mieszka pan w najbliższym sąsiedztwie dworu, w mieszkaniu, któ-

re siłą rzeczy będzie służbowe. Ale to dopiero sprawy przyszłości. Pan Czerski umarł przed tygodniem, jeszcze sporo czasu upłynie, zanim zostaną przeprowadzone formalności związane z przejściem przez państwo jego majątku. Lecz, jak pan wie, we dworze są różnego rodzaju zabytki. Przysłało nas tu Ministerstwo Kultury i Sztuki, aby te rzeczy zinwentaryzować, zabezpieczyć przed zniszczeniem, a także zorientować się w możliwościach zorganizowania tu muzeum. Aż do czasu, gdy dwór przejmie państwo i powstanie tu muzeum, niech sprawy pozostają tak, jak były. Proszę mieszkać w oficynie. A wozownia? Czy jest pusta? Chciałbym tam postawić swój samochód.

Zaprowadził mnie do wozowni, która była pusta i miała dobry dach, nie wymagający naprawy. Janiak dał mi klucz i zaraz wprowadziłem tam swój wehikuł.

— Ale oficyna wymaga generalnego remontu — powiedział Janiak. — Tylko moja izdebka jest cała i do niej woda nie cieknie.

— Przypomnę o tym, gdy będzie się ustalało przyszły budżet muzeum — zapewniłem go.

— A jakby coś trzeba było pomóc, to ja chętnie zrobię — ofiarował się Janiak. Rozłożyłem bezradnie ręce.

— Pomoc jest nam bardzo potrzebna. Choćby przy paleniu w piecach. Niestety, nie mamy czym płacić.

— Ja mogę za darmo. Byle tylko potem pan wspomniął o mnie, gdy już będzie muzeum. Chciałbym być dozorcą albo ogrodnikiem i mieć dalej tę swoją izdebkę. Pomogę choćby za to, że mogę tutaj nadal mieszkać. Gdzie ja się podzieje stary, jak mnie stąd wyrzucicie? Myślałem — i nagle wybuchnął goryczą — że pan Czerski zostawi jakiś testament i mnie w nim coś zapisze za tyle lat ciężkiej pracy. Obiecował mi przecież, że w testamencie zapewni mi mieszkanie tu do końca życia. Ale ciągle zwłóczył z napisaniem i umarł bez testamentu. Nie zrobił żadnego zapisu i znowu jestem na czyjejs łasce i niełasce.

Żał mi się go zrobiło.

— Będę się starał, żeby miał pan tu posadę dozorczy, panie Janiak — oświadczyłem.

Wróciłem do dworu, aby chwycić za miotłę. Jednakże gdy otworzyłem frontowe drzwi, stanąłem w kłębach dymu, który wypełniał się i czarną strugą zdawał się spływać gdzieś z góry po schodach. Jakby ktoś świecę dymną zapalił wewnątrz domu.

Pokaszłując i zatykając nos dłonią, pobiegłem do biblioteki.

Otoczył mnie tam niemal mrok, tak było gęsto od dymu.

— Panie Bigos! — wrzasnąłem. — Co pan tu wyrabia? Chce pan spalić nasz dwór?

Z mroków dymu dobiegł mnie zduszony głos:

— Zdaje się, że nareszcie chwyciło, panie kustoszu. . .

Skoczyłem do okien i otworzyłem je na oścież.

— Co chwyciło? Pan ryby łapie na przynętę? — zapytałem z oburzeniem.

— Nareszcie cię chwycił, panie kustoszu. To znaczy, że zaczęło się palić w tym przeklętym piecu.

Zbiegłem do sieni i otworzyłem drzwi. Przepięty powoli wywiewał z dworu strumień dymu. Ale w piecu biblioteki już gorzał płomień, a usmolony kolega Bigos dokładał węgla.

— Zaaplikujemy dziś panu potrójne mycie — oświadczyłem mu i zabrałem się do sprzątanania. Zamiotłem sieni, a potem swój pokój.

Wróciła panna Wierzchoń. W siatce niosła bochen chleba, dwie paczki masła, cukier, herbatę i pęto kiełbasy.

— Obiady możemy już od dziś jadać w domu wczasowym „Postęp”, nad brzegiem rzeki — powiedziała z tryumfem. — Poznałam kierownika ośrodka wczasowego, pana Wasiaka. Jest wielkim zwolennikiem zorganizowania tutaj muzeum. Sam zaofiarował się z obiadami. Tylko prosił, żebyśmy przychodzili punktualnie między trzynastą a czternastą. Nie mają dużo gości, więc trochę wcześniej kończą wydawanie posiłków.

— Świetnie, znakomicie — radośnie zatarłem ręce, bo sprawa naszych obiadów była moją wielką troską.

Panna Wierzchem pociągnęła nosem.

— Cały dwór śmierdzi spalenizną. Czy panowie tu robili pożar?

Z góry zszedł kolega Bigos, czarny jak diabeł.

— Pali się — stwierdził i żarłocznie popatrzył na siatkę z wiktuałami. — A może by tak drugie śniadanko? — zaproponował. — W domu byłem przyzwyczajony jadać drugie śniadanie.

— A tu się pan odzwyczai — rzekłem. — Zna pan to przysłowie: „Consuetudo est altera natura”, co znaczy: „Przyzwyczajenie jest drugą naturą”. Teraz przyzwyczai się pan nie jeść drugiego śniadania.

Bigos popatrzył na mnie z nie tajoną obawą.

— Czy pan aby nie chce mnie w ogóle odzwyczaić od jedzenia? Jak taki jeden facet, co chciał konia odzwyczaić od żarcia. Cztery dni nic nie dawał koniowi jeść i byłby go odzwyczaił, tylko że na piąty dzień koń wziął i zdechł.

— Stary kawał — lekceważąco machnąłem ręką. — Prawdą jednak jest, że pełny żołądek przytępi umysł. A właśnie, teraz poświęćmy się pracy intelektualnej. Potem zaś, około pierwszej, pójdziemy na obiad.

Bigos westchnął:

— Pracuj, pracuj, a garb ci wyrośnie, panie kustoszu. A na obiad to gdzie pójdziemy?

— Do domu wczasowego „Postęp”.

— Czy to aby nie nazbyt daleko?

— Półtora kilometra — powiedziała panna Wierzchoń.

Bigos smutnie pokiwał głową:

— Obiad to dobra rzecz. Ale daleko trzeba iść. Nie ma róży bez kolców.

Kazaliśmy mu się umyć, a potem zebraliśmy się przy ogromnym stole w bibliotece. W pięknym piecu w stylu polskim, z kaflami z brązowej ceramiki, gorzał już ogień, ale w bibliotece było jeszcze bardzo zimno. Usiedliśmy przy stole, na który wyłożyłem z teczki plik papierów, wręczonych mi przed wyjazdem przez dyrektora Marczaka.

— Proszę państwa — zacząłem swoje przemówienie. — Jak wiadomo, bardzo cenne dzieła sztuki, nawet jeśli znajdują się w rękach prywatnych, są w Polsce inwentaryzowane, katalogowane i nawet ubezpieczone. Joachim Czerski posiadał trzy przedmioty dużej wartości, objęte katalogiem zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki. Oto one: *Portret młodej kobiety*, obraz prawdopodobnie z pracowni Rubensa. Znajduje się on w sypialni Joachima Czerskiego. Obraz Pietra Rotari *Główka dziewczyny* z osiemnastego wieku, wisi on w gabinecie Joachima Czerskiego. Trzecie dzieło sztuki dużej wartości to *Książę Józef Poniatowski jadący na koniu*, pędzla Bernardo Belotto Canaletto z osiemnastego wieku, który wisi tu w bibliotece, nad kominkiem. Poza tym Joachim Czerski był posiadaczem kilku cennych starych mebli mniejszej wartości. I to prawie wszystko, co wiemy o zbiorach Czerskiego. Ale gdy Joachim Czerski zmarł, władze powiatowe przysłały tutaj natychmiast kilku urzędników, przeważnie kontrolerów z Powiatowego Zarządu Gminnych Spółdzielni. Dokonali oni czegoś w rodzaju „remanentu”. Spisali wszystkie przedmioty, jakie się znajdowały we dworze. Ponieważ jednak nie byli to fachowcy od spraw sztuki, w ich spisie widnieją po prostu pozycje: „Pokój pierwszy na prawo od sieni. Kanapa, dwa krzesła, stolik, umywalnia, szafka rzeźbiona”, a faktycznie znajdują się tam dwa przepiękne krzesła mahoniowe w angielskim stylu Hepplewhite’a z drugiej połowy osiemnastego wieku, stolik pochodzi ze słynnej pracowni mebli wojewody Michała Ogińskiego. A umywalka też jest bardzo piękna, bo w rodzaju, który zwie się „athenienne”, z początku dziewiętnastego wieku.

— Pan się jednak zna na rzeczy — pokręcił głową kolega Bigos.

Zlekceważyłem tę jego idiotyczną uwagę. Dodałem na zakończenie swej „mowy tronowej”, jak ją w myślach nazwałem:

— Spis dokonany przez władze powiatowe obejmuje dwadzieścia pięć stron kancelaryjnego papieru. Przyda się nam teraz, bo dzięki niemu będziemy mogli stwierdzić, czy nic nie zginęło.

— Och, przecież mógł ktoś podmienić niektóre przedmioty — zauważyła bystro panna Wierzchoń. — Zamiast przepięknego sekretarzyka damskiego w typie „bonheur-du-jour” z końca osiemnastego wieku, który znajduje się w gabinecie Czerskiego, mógł ktoś wstawić zwykłe biureczko. Bo na pewno w spisie inwentarza zanotowano: „Biureczko drewniane.”

— Tak jest — stwierdziłem, zaglądając do spisu. — Ale przecież tego biureczka nie podmieniono. Dwór był opieczętowany i trudno przypuszczać, żeby ktoś

mógł wynieść z niego meble i zamienić je na inne. Jeśli zaś chodzi o drobniejsze przedmioty: porcelanę, wyroby ze srebra i tak dalej, to są one dość dokładnie zanotowane. Ot, na przykład, zapisano: „Zastawa porcelanowa z kwiatkami, różyczkami.” Albo „W kredensie na dole: dzbanuszek srebrny, pozłacany. Koszyczek srebrny”... i tak dalej. Trudno przypuszczać, żeby ktoś zamienił jeden koszyczek srebrny na drugi albo zastawę z różyczkami na inną porcelanową zastawę z różyczkami. A teraz weźmy się do naszej pracy. Zaczniemy od spisu biblioteki Czerskiego. Kolego Bigos, oto czysty brulion. Proszę notować...

I tak rozpoczęły się nasze zajęcia w starym dworze. Bigos napisał w brulionie:

„Biblioteka dworu w Janówce usytuowana jest nad sienią i salonikiem. Posiada dwa okna i oszklone drzwi, wychodzące na balkon umieszczony w górnej części frontowego portyku. Ściany i sufit wyłożone boazerią dębową, czarną, która na suficie tworzy ogromną gwiazdę z klepek o kilku odcieniach czerni. Ze środka gwiazdy zwisa żyrandol szklany, dziewiętnastowieczny, przerobiony na elektryczny z żyrandola świecowego. Na prawej ścianie od wejścia do biblioteki znajduje się kominek klasycystyczny z białego marmuru. Nadproże kominka, wsparte na dwóch kanelowanych kolumnkach tokańskich, zdobi fryz przedstawiający cztery uskrzydłone postacie kobiece. Po bokach fryzu, w części nieco cofniętej umieszczono w metopach między tryglifami motyw głowy byka. Kominek ten należy chyba przypisać architektowi Vincenzo Brennie...”

— Dlaczego akurat jemu? — zdziwiła się koleżanka Wierchoń.

— Identyczny kominek był w słynnym pałacu w Gatczynie, a podobny zobaczyć może koleżanka w pałacu w Nieborowie.

Bigos pisał dalej:

„Na ścianie kominkowej wmontowany został w boazerię wysoki zegar szafkowy, francuski, z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku, ze słynnej firmy paryskiej „Ferdinand Berthoud”. Na tej samej ścianie są drzwi do sąsiadującego z biblioteką gabinetu oraz angielska kanapa mahoniowa z okuciami mosiężnymi (styl Jacob, koniec XVIII wieku). Nad kominkiem wisi obraz *Książę Józef Poniątkowski* pędzla Canaletto.

Pod przeciwległą ścianą stoją cztery szafy angielskie w stylu Jacob oraz sekretarzyk polski, tak zwany „praski”, z połowy XIX wieku. Na środku biblioteki znajdują się cztery stoły mahoniowe składane, tworzące razem jeden ogromny stół (prawdopodobnie również koniec XVIII wieku), i cztery klubowe fotele, kryte skórą, z wieku XIX. W rogu postawiono pulpit drewniany, a na nim przymocowany jest łańcuchem zamkniętym na kłódkę oprawny w skórę foliał...”

— O! — zawołałem radośnie. — W tych skórzanych okładkach, zamiast starego rękopisu, zamocowane zostały kartony ze spisem zbiorów. Na karcie tytułowej jest napisane: Katalog zbiorów Joachima Czerskiego. Nie będziemy już działać po omacku. Mamy jego katalog.

Zbliżyli się do mnie, a ja zacząłem przewracać kolejno grube stronicę katalogu.

— Oto pierwszy rozdział, zatytułowany: Obrazy. Wynika z niego, że Czerski posiadał dwadzieścia pięć obrazów. Rozdział drugi: Meble. Czerski miał w swym zbiorze trzydzieści dwa zabytkowe meble. Rozdział trzeci: Księgozbiór. Wynika z niego, że Czerski posiadał prawie pięć tysięcy książek. Rozdział czwarty: Ekslibrisy. Miał ich ponad tysiąc pięćset. Rozdział szósty: Różne. Tu Czerski spisał przedmioty z porcelany, szkła, srebra, brązu oraz rzeźby.

— A gdzie rozdział piąty? — zapytała panna Wierzchoń.

Miała rację. W katalogu był rozdział pierwszy, drugi, trzeci, czwarty i od razu szósty.

— Niech pan zwróci uwagę — wskazała palcem panna Wierzchoń. — Wygląda na to, że trzy kartki z katalogu zostały wyrwane. O, tutaj, między rozdziałem czwartym i szóstym.

— Ciekawe — mruknąłem. — Ale przecież nic nie brakuje. Wymienione tu działy obejmują całość zbiorów, a więc obrazy, meble, księgozbiór, kolekcję ekslibrisów, a także przedmioty różne, jak szkło, srebro, rzeźby, ba! w rozdziale szóstym wyszczególniono kilka przedmiotów ze złota i pozłacanych. Co mógł zawierać piąty rozdział katalogu?

— Nic — powiedział kolega Bigos. — Czerski zrobił spis i po prostu się omylił. Napisał rozdział czwarty, a potem od razu szósty.

Wzruszyłem ramionami.

— Wykluczone, proszę pana. Taka omyłka jest możliwa, gdy się pisze sto rozdziałów. No, powiedzmy, dwadzieścia. Ale nie sześć. A poza tym panna Wierzchoń zwróciła już uwagę, że trzy kartki zostały wyrwane.

— Może zrobił to sam Czerski — ziewnął Bigos, i zerknął na zegarek. — O rany, już pierwsza. Chodźmy na obiad.

Zamknąłem okładki katalogu.

— Tak, chodźmy na obiad.

Sprawdziłem, czy zamknięte są drzwi kuchenne, potem starannie zamknąłem frontowe wejście. Prowadzeni przez pannę Wierzchoń, poszliśmy ścieżką przez park w stronę szosy i rzeki.

Panna Wierzchoń szła milcząca i zamyślona. Mnie także nie dawała spokoju sprawa piątego rozdziału.

— Panno Wierzchoń — przerwałem te rozmyślania. — Czy nie zechciała by pani przejrzeć po południu księgozbioru Czerskiego? Sprawdźmy go według katalogu. Może i tutaj czegoś brakuje?

— Przecież, jak dotychczas, nic nie brakuje — powiedział zdumiony Bigos. — Zdaje się, że wszystkie meble, obrazy znajdują się na miejscu. Nawet wszystkie patelnie wiszą w kuchni.

— Brakuje piątego rozdziału — przypomniałem.

— Piąty rozdział mógł zawierać na przykład spis kolekcji motyli. Czerski sprzedał ten zbiór albo zamienił go na coś innego, a potem wyrwał kartki z katalogu.

— Nie słyszałem od dyrektora Marczaka, aby Czerski miał kolekcję motyli. Ale to, co pan mówi, nie jest pozbawione sensu. Na razie rzeczywiście nie mamy powodów do najmniejszych podejrzeń. Lecz księgozbiór należy jednak sprawdzić.

— A jeśli nawet będzie brakować kilku książek? — wtrąciła panna Wierzchoń. — Czerski mógł trochę książek rozpozyczyć. I nie zwrócono mu ich. Ale, oczywiście, pomogę panu w sprawdzeniu księgozbioru. Chciałabym przeczytać coś niecoś o historii dworu w Janówce. A chyba Czerski, jako antykwariusz i zarazem właściciel dworu w Janówce, zdobył do swego księgozbioru także i publikacje związane z historią tej posiadłości.

Uśmiechnąłem się.

— Czy wie pani, że ja również w tym celu chcę przejrzeć księgozbiór? A pan, kolego Bigos, pan nam nie pomoże?

Na twarzy młodzieńca pojawił się wyraz obrzydzenia.

— W godzinach pracy przymusowej — tak. Ale popołudnia należą do mnie, panie kustoszu. To chciałbym zastrzec już na wstępie. Muszę odpocząć i odprężyć się, grając na gitarze.

— Odprężyć się? Po czym?

— W tym dworze panuje zbyt nerwowa atmosfera. Pan kustosz wciąż zerka dookoła podejrzliwie. Powiedziała mi koleżanka Wierzchoń, że nocą grasował tu jakiś duch, a pan mnie oskarżył o udział w jego poczynaniach.

— Składam przeprosiny. . .

— Ach, nie gniewam się. Rzecz w tym, że muszę odpocząć. Nałykałem się dymu, rozpalając w piecu i muszę oczyścić płuca. Po pracy wyjdę na spacer, a potem pogram na gitarze.

Bezczelny był ten młodzian. Nie miałem jednak prawa nakazywać mu roboty w godzinach nadliczbowych. A on ciągnął dalej nonszalanckim tonem:

— Trzeba przyznać, że mi pan zaimponował swoją znajomością zabytków. Gdy mi pan podyktował to zdanie: „W cofniętej części fryzu umieszczono w metopach, między tryglifami”, mało z fotela nie spadłem. I tak od razu rąbnął pan o tych szafach w stylu Jacob. I o kominku, że robił go Brenna. Lecz w detektywa niech się pan nie zabawia. Bo po co? Był ten piąty rozdział czy go nie było, jaka różnica? I duchami też nie warto się zajmować. W nocy trzeba spać, panie kustoszu.

— Ach, gdyby tu był z nami ten Pan Samochodzik, o którym wam wspominałam! — powiedziała panna Wierzchoń. — On rozwikłałby natychmiast zagadkę „piątego rozdziału”.

— Przypuszcza pani, że kryje się w tym jakaś zagadka?

— O, tak — odpowiedziała z głębokim przekonaniem. Bigos aż jęknął:

— O rany, ona też chce być detektywem? Błagam was, nie wprowadzajcie zbyt nerwowej atmosfery.

Odezwałem się ze złością:

— Znamy pańskie zasady, kolego Bigos. „Grunt się nie przejmować i mieć wygodne buty”. „Pracuj, pracuj, a garb ci wyrośnie”.

Tak rozmawiając doszliśmy do asfaltowej szosy. Pozostawiliśmy za sobą park, zbliżyliśmy się do rzeki i przerzuconego przez nią mostu. Teraz panna Wierzchoń poprowadziła nas drogą nad brzegiem rzeki. O kilkaset kroków dalej, na skraju lasu stały trzy duże drewniane domy w typie willi podmiejskich. Na czerwonej tabliczce wypisano białymi literami: OŚRODEK WYPOCZYNKOWY F.W.P. W JANOWCE.

— No, patrzcie — Bigos wskazał palcem niewielki pawilonik. — Jest tu nawet kawiarenka z anteną telewizyjną. A dziś, proszę państwa, mamy czwartek. Będą nadawać Kobrę. Przyjdę obejrzeć ten program.

— Przecież pan nie lubi nerwowości.

— W życiu, panie kustosz. W swym pracowitym życiu nie lubię nerwowości. Ale na ekranie telewizyjnym — uwielbiam.

Weszliśmy do jadalni, jeszcze dość puste. Zajęte były tylko cztery stoliki pod oknem, my usiedliśmy przy piątym. Podczas obiadu do jadalni weszło jeszcze z dziesięć osób. W ośrodku przebywało chyba bardzo niewielu wczasowiczów.

Uwagę moją zwróciła prześliczna młoda blondynka, siedząca samotnie przy stoliku obok nas. Miała ładnie wykrojone usta i zabawne dołeczki na buzi, niebieskie oczy i ciemne brwi. Jasne włosy skręcały się w filuterne kędziorki, przez co fryzura jej wydawała się niedbała. Lecz była to niedbałość wyszukana i pełna kokieterii. Równie kokieterijne spojrzenia rzucała co chwila w naszą stronę. Aż wreszcie kolega Bigos odezwał się do niej z właściwą mu nonszalancją.

— Panienska lubi samotnie połykać potrawy? Jeśli nie, to prosimy do nas. Mamy jedno miejsce wolne.

Zerwałem się od stołu:

— Prosimy bardzo... Uprzejmie prosimy...

Panna Wierzchoń burknęła z ironią:

— Wczasowi podrywacze.

A niebieskooka pannica skinęła nam uprzejmie głową, zabrała ze swego stolika talerz zupy i przesiadła się do nas.

— Marysia jestem — przedstawiła się nam.

Bigos przejął w swoje ręce całą inicjatywę, zaprezentował nas:

— To jest koleżanka Barbara. Pan kustosz ma na imię Tomasz, a ja Janek. Pani na wczasach, prawda? Kto to w listopadzie wybiera się na wczasy, i to do jakiejś tam Janówki? Ale chyba jakieś potańcówki tutaj urządzają? A ja mam gitarę, proszę pani. Dziś jest Kobra. Będzie pani oglądać telewizję?

Gadał i gadał, mnie w ogóle nie dopuścił do słowa. Jej też nie dopuszczał. Wreszcie mu przerwała w połowie zdania. Zwróciła się do mnie:

— Bardzo chciałam pana poznać.

— Mnie? Naprawdę?

— To znaczy tego pana, który posiada klucz do starego dworu. Marzę, aby dwór obejrzeć. Tutaj jest naprawdę bardzo nudno i żałuję, że przyjechałam na wczasy do Janówki. Jedyna rozrywka to telewizja i od czasu do czasu brydż. Więc marzę, aby obejrzeć ten dwór. Czy to prawda, że tam są duchy?

Podano na stół drugie danie, ale naprawdę nie pamiętam, co jadłem. Marysia mnie oczarowała, a jej uśmiech, którym raz po raz mnie darzyła, i te jej piękne dołeczki na buzi wywoływały zamęt w mojej głowie.

— Duchy? — zastanowiłem się. — Ależ tak, naturalnie. Są u nas duchy. Najprawdziwsze. Nawet dziś w nocy był duch. Straszny, proszę pani. Narobił ogromnego rumoru w bibliotece. Było to o dwunastej w nocy. On zawsze zjawia się o dwunastej.

Marysia była zachwycona.

— Bardzo bym chciała spędzić noc w takim dworze, gdzie straszy.

— Nic nie stoi na przeszkodzie — zawołałem. — Może nas pani odwiedzić. Sam panią oprowadzę po dworze i pokażę pani ducha.

— A ja? — zasmucił się Bigos.

— Pan? — zastanowiłem się. — Pan będzie oglądał program telewizyjny. Muszę pana chronić przed nerwowością.

Koleżanka Wierzchoń z wyraźną dezaprobatą przysłuchiwała się rozmowie.

— Skąd pani wie, że we dworze są duchy? — zapytała ni stąd, ni zowąd, jakby to było rzeczywiście coś dziwnego, że w takim starym dworze bywają duchy.

Jeszcze dziwniejsza była odpowiedź Marysi:

— O duchu dowiedziałam się od syna kierownika ośrodka wczasowego i od jego koleżanki, czyli od Antka i Zosi. To przemiłe dzieciaki Wracali wieczorem z próby kółka dramatycznego i żeby skrócić sobie drogę, poszli przez ciemny park. Dwór był opieczętowany, a jednak zobaczyli światło w górnych trzech oknach. Podobno świeciło się w bibliotece. Nie mógł tam przebywać nikt inny, tylko duch zmarłego właściciela. Czy tak, panie kustoszu?

— Tak — mruknąłem. I raptem odechciało mi się jeść.

A koleżanka Wierzchoń powiedziała z naciskiem:

— Zadziwiająca. Doprawdy zadziwiająca. . .

Marysia trąkotła:

— Marzę, aby spotkać się z duchem. Nie mogę koleżankom w biurze zaimponować, że byłam na wczasach w Zakopanem albo w Krynicy, więc pragnę choć tym duchem zrobić wrażenie. Powiem im: nie byłam w Zakopanem, ale za to nocowałam w starym dworze, gdzie pojawia się duch. Więc pan mnie zaprasza, panie kustoszu?

— Oczywiście, oczywiście — przytaknąłem — ale jeszcze nie na dzisiejszą noc. U nas jest brudno, wkrótce sprzątniemy i wtedy będę mógł panią zaprosić. Bo my przyjechaliśmy dopiero wczoraj w nocy.

Obiad był skończony. Pożegnaliśmy Marysię i wyszliśmy na drogę do parku. Powiedziałem do Bigosa:

— Czy nie uważa pan, że ona jest bardzo ładna? Wydaje mi się, że warto dla niej wystarać się o jakiegoś wyjątkowego ducha.

— To się da zrobić, panie kustoszu. Pan usiądzie z Marysią na kanapie, a ja głośno tupiąc przespaceruje się po sąsiednich pokojach.

— Pan nie ma żadnej inwencji, panie Bigos — stwierdziłem. — Uważam, że duch powinien się pokazać.

— W białym prześcieradle? — ironizował Bigos. — To dobre dla dzieci, a nie dla takiej dziewczyny. Już lepiej, żeby dzwonił łańcuchami. Albo należałoby zaprosić jakiegoś bardzo nowoczesnego ducha.

— Z czerwoną gitarą — bąknąłem. — Duch big-beatowy. Żeby tańczył i śpiewał „ye, ye, ye”.

Koleżanka Wierzchoń postarała się zepsuć nam miły nastrój. Rzekła ponurym głosem:

— Zdaje mi się, że żadnego ducha stwarzać nie trzeba. Starczy nam ten, który naprawdę grasuje we dworze.

— Pani wierzy opowiadaniu tych dwojga dzieci? — wzruszyłem ramionami.

— Zapomniał pan już o minionej nocy, panie kustoszu? Cóż to pana ze snu wyrwało, że popędził pan jak szalony do biblioteki? Przyznaję, że zaraz po przyjeździe zawiesiłam na drzwiach tę draperię. Wyznaję również, że wraz z kolegą Bigosem chcieliśmy pana nastraszyć. Ale kolegi Bigosa nie mogłam się dobudzić, a mnie samej odechciało się straszenia. Lecz jednak „coś” było w bibliotece i to „coś” spowodowało tam rumor.

— Pani wierzy w duchy! — stwierdziłem z kpiną.

— Ona wprowadza nerwową atmosferę — poskarżył się Bigos. — Po co te zagadki? Po co te niedomówienia? Chcę pracować od ósmej do czwartej, z godziną przerwą na obiad. Ale poza tym chcę mieć spokój, relaks, wytchnienie. Śmierć frajerom, proszę państwa. Koleżanka Wierzchoń nasłuchiwała się za dużo przedziwnych historii o tym panu Tomaszu z jakiegoś prowincjonalnego muzeum i chce go teraz naśladować.

Panna Wierzchoń nic się nie odezwała. A mnie się zrobiło trochę wstyd. „Czyżbym już się postarzał? — pomyślałem. — Ejże, Panie Samochodzik! Zdaje się, że jakaś interesująca sprawa wchodzi ci w ręce, a ty udajesz naiwnego.” Głośno zaś powiedziałem:

— Duchy duchami, a pracować trzeba. Należy sprawdzić księgozbiór.

To żmudne zajęcie jednak tylko mnie przypadło w udziale. Bigos palił w łazience, a panna Wierzchoń zaczęła sprzątać swój pokój, bo przecież nie mogła

spać w pomieszczeniu z centymetrową warstwą kurzu. Potem zabrała się do przygotowywania kolacji, a Bigos przygrywał jej na gitarze.

Nadszedł wieczór. Zjedliśmy kolację i wzięliśmy kolejno kąpiel w wannie. Wymyty do czysta kolega Bigos pomaszerował do ośrodka wczasowego, aby obejrzeć Kobrę, a ja znowu poszedłem do biblioteki, gdzie było już ciepło, piec świetnie się rozgrzał.

Dokończyłem czytania spisu książek w katalogu Czerskiego. Na kartce wynotowałem trzy pozycje, które chciałem potem wyszukać na bibliotecznych półkach. Oczywiście nie mogło być mowy o tym, abym każdą pozycję z katalogu sprawdził. Zajęłoby mi to co najmniej dwa tygodnie, książek było bowiem dokładnie 5428. Po zapoznaniu się z katalogiem, postanowiłem jedynie powędrować palcem wzdłuż grzbietów książek i przeliczyć je dokładnie. Jeśli ilość książek na półkach okazałaby się zgodna z ilością pozycji wymienionych w katalogu, znaczyłoby to, że księgozbiór jest w porządku.

Doliczyłem się już dwóch tysięcy trzystu jedenastu książek, gdy do biblioteki weszła panna Wierzchoń.

— Nareszcie będą mogła panu pomóc — powiedziała. — Czy księgozbiór Czerskiego zawiera jakieś cenne pozycje?

— Owszem, jest kilka bardzo interesujących. Na przykład, dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego *De Republica emendanda*, wydane w Bazylei w 1554 roku, *Biblia* Jana Leopolda z 1561 roku — pierwsze wydanie w języku polskim, Stanisława Leszczyńskiego *Głos wolny wolność ubezpieczający* z 1733 roku, Franciszka Bohomolca *Komedie*, drukowane w latach 1772–1775. A teraz, proszę, może pani będzie dalej liczyć...

Panna Wierzchoń wędrowała palcem wzdłuż grzbietów książek, a ja zająłem się wyszukaniem tych, które wypisałem na kartce. Patem usiadłem na angielskiej kanapie i bardzo długo trwałem w zamyśleniu.

— Pięć tysięcy czterysta dwadzieścia cztery... — liczyła półgłosem panna Wierzchoń. — Pięć tysięcy czterysta dwadzieścia pięć. I na tym koniec. A ile powinno być w księgozbiórze?

— Pięć tysięcy czterysta dwadzieścia osiem.

— W takim razie trzech książek brakuje.

Wstałem z kanapy.

— Nawet wiem, które to książki. Oto one.

I podałem jej kartkę, na której wypisałem trzy tytuły i nazwiska autorów wraz z kolejnym numerem inwentarza.

— Pan jest chyba jasnowidzem — zaśmiała się panna Wierzchoń. — W ponad pięć tysięcy tomów liczącym księgozbiórze brakuje tylko trzech książek, a pan od razu wie, jakie to książki?

— Och, sprawa jest prosta. Chciałem tylko trzy książki wypożyczyć z biblioteki Czerskiego. I akurat tych trzech nie ma.

Przeczytawszy moją notatkę spoważniała.

— Józef Bruśnicki: *Z dziejów dworu w Janówce*, magister Henryk Brzoza: *Przyczynek do historii dworu w Janówce*, Joachim Czerski: *Przyczynek do dziejów wolnomularstwa polskiego w dziewiętnastym wieku*, praca w manuskrypcie. I właśnie tych trzech pozycji brakuje? Dwie z nich dotyczą dworu w Janówce...

— A może i trzecia — powiedziałem.

— Z książkami Bruśnickiego i Brzozy będziemy mogli ewentualnie zapoznać się w Bibliotece Narodowej. Ale zginął manuskrypt Czerskiego. Może jest w jego gabinecie?

Natychmiast wzięliśmy się do przeszukiwania gabinetu. Nie było tam jednak żadnych książek ani rękopisów. Osobiste papiery Czerskiego złożono w depozycie sądowym dla uregulowania spraw spadkowych. W szufladzie biurka leżało tylko kilka paczek listów związanych tasiemkami i sterty starych rachunków za elektryczność, za jakieś naprawy budowlano-remontowe itp.

Było już po dwudziestej drugiej. Do dworu wrócił kolega Bigos. Przyszedł do nas na górę z czerwoną gitarą w ręku. Ciężko usiadł w fotelu przy kominku.

— Zamiast Kobry nadano film kryminalny, tytuł wyleciał mi z głowy — opowiadał. — Akcja toczyła się w starym zamku, zamienionym na muzeum. Najpierw zamordowano kustosza... Potem asystenta... Potem asystentkę... A gdy wracałem przez ciemny park, ciągle mi się zdawało, że ktoś za mną idzie. I pomyślałem, że nie ma właściwie dużej różnicy, czy mieszka się w zamku, czy w starym dworze. Kolejność morderstw też może być inna. Najpierw zamordują asystenta, potem asystentkę, a na końcu kustosza. Dużo nerwów kosztowała mnie ta nocna wędrówka. — Rozejrzał się po bibliotece i dodał ponuro: — A wszystkie te morderstwa odbywały się w bibliotece, w której straszło...

Uderzył palcami w struny gitary. A ja uderzyłem dłonią w mahoniowy stół:

— Dość, panie Bigos. Zagrał nam pan na nerwach, a teraz chce pan nam grać na gitarze? Idziemy spać.

Po opowiadaniu kolegi Bigosa wkradł się między nas dziwny nastrój. Mieliśmy uczucie, jak gdyby w tym starym, pełnym kurzu dworze czaiło się jakieś niewiadome niebezpieczeństwo.

Za oknami zalegała czarna, nieprzenikniona noc. Znowu zerwał się wicher.

— Coś stuka — szepnęła panna Wierzchoń. — Słyszycie?

Zeszliśmy na dół gasząc światła w bibliotece.

— Coś stuka — powtórzyła panna Wierzchoń.

Zapaliłem światło w sieni i otworzyłem frontowe drzwi.

— Nikogo nie ma.

Starłem się przebić wzrokiem gęstą ciemność, ale nikogo nie widziałem. Słyszałem tylko głośny szum drzew w parku i w twarz uderzył mnie zimny podmuch wiatru, który poderwał z alejki zeschnięte liście i z głośnym szelestem rzucił mi je pod nogi.

A jednak coś stuknęło: okiennica na jednym z okien sali balowej. Z zapaloną latarką elektryczną wyszedłem do parku i starannie zaczepiłem okiennicę na haczyku.

— Spać! — zarządziłem po powrocie. Powiedzieliśmy sobie „dobranoc” i każdy z nas zaszył się w swoim pokoju.

Jeszcze przez krótką chwilę słyszałem, jak skrzypią deski podłogi w pokoju panny Wierzchoń, a potem we dworze nastąpiła cisza. Szczekałem z zimna zębami, usiłując rozgrzać się w swoim, śpiworze. Zimno nie pozwoliło mi zasnąć, w końcu jednak, wydaje mi się, ogarnął mnie sen.

I wtedy nad moja głowę coś głośno upadło i rozległ się dziwny, przejmujący dźwięk. Jak gdyby ktoś zajęczał bardzo przenikliwie. Ale tego jęku nie wydało ludzkie gardło.

Wyskoczyłem ze śpiwora i wpadłem do sieni. Niemal równocześnie otworzyły się drzwi pokojów panny Wierzchoń i Bigosa. O dziwo, nie był pogrążony w letargu.

— Za mną. Do biblioteki! — zakomenderowałem. Pędziliśmy po schodach na górę. Jednym silnym szarpnięciem otwarłem szeroko drzwi biblioteki i zapaliłem zyrandol.

— Moja gitara! — zawołał Bigos.

Na podłodze leżała jego czerwona gitara. Nic się jej nie stało. Po prostu upadła i zajęczały w niej struny.

— Zostawiłem ją na fotelu. Zapomniałem zabrać, tak byłem zaprzątnięty ponurymi myślami — tłumaczył się Bigos.

— I sama spadła na podłogę? — dziwiła się panna Wierzchoń.

— Może mysz ją strąciła? Tu są myszy, prawda? — stwierdził pytająco Bigos.

— Mysz strąciła gitarę? — powątpiewałem. — A jak ją pan położył? Może sobie to pan przypomni?

Położył gitarę na fotelu obok kominka. Gitara nie mieściła się na nim. Połowa jej wystawała i zagradała wąskie przejście między kominkiem a fotelem.

Panna Wierzchoń powiedziała głośno to, co i ja pomyślałem:

— W ciemnościach ktoś potknął się o wystającą gitarę i zrzucił ją na podłogę.

— Dlaczego mnie straszycie? — krzyknął rozpaczliwie kolega Bigos.

— Och, duch tego nie zrobił — wyjaśniłem uspokajająco. — Duchy umieją przechodzić nawet przez zamknięte drzwi i na pewno nie zrzucają gitar z foteli.

— Tym gorzej, tym gorzej! — wołał Bigos. — Nie oglądaliście tego straszego filmu. A ja go widziałem i jeszcze jestem pod wrażeniem. Błagam was, nie straszcie mnie.

— A ja wolę wierzyć w duchy — rzekłem.

I stało się znowu coś dziwnego. Zachrobotał stary zegar i z trzaskiem pękło szkło w jego szafce, kryjącej mosiężne serce. Pękło na dwie połówki. Pękło na

naszych oczach. Jakby ktoś w nie uderzył. A przecież nikt z nas nie zbliżał się do zegara.

Jak skamieniali wpatrywaliśmy się w pękniętą szybę.

— Boże drogi — szeptała wreszcie panna Wierzchoń.

Zrozumiałem, że jako przełożony, powinienem w tej krytycznej chwili okazać hart ducha. Udając zupełną beztróskę, stwierdziłem z ogromną pewnością siebie:

— Zjawisko pęknięcia szyby w zegarze jest wytłumaczalne, proszę państwa. Do tej pory w bibliotece było chłodno. Ale właśnie teraz piec się najbardziej rozgrzał. O, proszę, dotknąć go nie można, taki gorący. W bibliotece robiło się coraz cieplej szkło rozszerzyło się i pękło.

— A gitara? — zapytał Bigos.

— Gitarę położył pan nieco inaczej, niż to nam pan pokazał. Bardziej na brzegu fotela. A przedtem siedział pan w tym fotelu, skóra i całe siedzenie ugięło się pod panem. Później pan wstał, pozostawiając gitarę na krawędzi. Siedzenie zaczęło się powoli prostować i w pewnej chwili gitara zsunęła się na podłogę.

— To bardzo prawdopodobne — odetchnął z ulgą kolega Bigos.

Ja też na chwilę sam siebie przekonałem. Zupełnie uspokojeni, zgasiliśmy światło i opuściliśmy bibliotekę. Tej nocy nic już nie zakłóciło nam spokoju.

ROZDZIAŁ TRZECI

DZIWNE ZACHOWANIE JANIKA • KOLBUSZOWSKIE BIURKO I WERGILIUSZ • TAJEMNICZA TAJEMNICZOŚĆ • OPOWIADANIE WASIAKA • CO KROK NOWA ZAGADKA • DZIWNE ZNAKI • ROZMOWA O WOLNOMULARZACH • CZY CZERSKI BYŁ MASONEM? • KTO POZNA ODKRYCIE CZERSKIEGO • POWTÓRNE ODWIEDZINY NIEUCHWYTNEGO OSOBNIKA • SEGREGATORY

Z dworu w Janówce nie zginął żaden z przedmiotów zabytkowych, nie zginęło w ogóle nic z rzeczy pozostałych po dawnym właścicielu, Joachimie Czerskim. Zadaliśmy sobie sporo trudu, aby wszystko sprawdzić zarówno według katalogu Czerskiego, jak i spisu inwentarza dokonanego po śmierci antykwariusza. Brak było tylko piątego rozdziału w katalogu i trzech książek z księgozbioru, ale przecież nie dawało to najmniejszych podstaw do podejrzeń, że po śmierci Czerskiego we dworze grasował złodziej.

A jednak nieustannie natykałem się na zjawiska, których wyjaśnić sobie nie umiałem i dlatego budziły one mój niepokój.

Rano przyszedł do dworu stary Janiak i zaproponował, że napali w piecach. Przystaliśmy na to chętnie po wczorajszych doświadczeniach, jakie miał kolega Bigos. Janiak napalił w naszych pokojach, a potem poszedł do biblioteki.

W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę stamtąd ostrożne pukanie. Po cichu poszedłem na górę i uchyliłem drzwi do biblioteki. Janiak klęczał przy ścianie wyłożonej drewnianą boazerią. Odsunął trochę jedną z szaf angielskich w stylu Jacob i delikatnie, młotkiem do rozbijania węgla, opukiwał ścianę.

— Co pan tu robi? Dlaczego odsunął pan szafę? — zaskoczyłem go swym nagłym pojawieniem się.

Był bardzo zmieszany.

— Zdawało mi się, że listewka w ścianie jest wypaczona i myszy mają tu dziurę — tłumaczył się niezręcznie.

Kazałem przysunąć szafę do ściany. Zrobił to szybko i zaraz zabrał się do palenia w piecu. Postanowiłem Janiaka mieć na oku.

Potem wraz z Janiakiem, Bigosem i panną Wierzchoń znieśliśmy na dół, do mojego pokoju biurko kolbuszowskie, które do tej pory znajdowało się w gabinecie Czerskiego.

— Muszę mieć swoją kancelarię — wyjaśniłem Bigosowi i panie Wierzchoń. — Gdy przyjdą interesanci, nie będziemy ich prowadzić do pokojów muzealnych. Biuro musi być na dole, zaraz przy wejściu. Do tego celu najlepiej nadaje się mój pokój. A do urzędowej pracy potrzebne mi będzie solidne biurko. Jedno jest tylko takie we dworze: biurko Czerskiego. Stara, dobra robota rzemieślników z Kolbuszowej.

Panna Wierzchoń kiwała głową, że mnie rozumie. Ale w jej słowach kryła się ironia:

— Pan kierownik musi mieć swoją kancelarię. A w niej powinno stać ogromne biurko. Im większy kierownik, tym większe musi mieć biurko. A na biurku winny znajdować się segregatory z przychodzącą i odchodzącą korespondencją.

— A na drzwiach musi być napis: „Kancelaria” — dodał Bigos.

— Sądzi pani, że to biurko jest dla mnie za małe? — zastanawiałem się głośno, udając, że nie wyczułem ironii.

— Ach, nie. Wystarczy, panie kustoszu — stwierdziła tłumiąc śmiech.

— Segregatory przywożę z miasta — powiedziałem.

Z gabinetu Czerskiego przeniosłem jeszcze do kancelarii piękną głowę Wergiliusza z ceramiki angielskiej Wedgwood, zrobioną około 1800 roku.

— Ta głowa Wergilego na moim biurku będzie oznaczać, że to nie jest kancelaria zwykłego biura, ale biura muzeum — rzekłem do panny Wierzchoń. — Wprawdzie nie darzę sympatią Wergilego, bo w szkole miałem za jego przyczyną różne kłopoty, lecz na moim biurku jego głowa będzie wyglądać bardzo reprezentacyjnie.

— Pan miał w szkole kłopoty? — podchwyciła panna Wierzchoń, jakby ta sprawa była dla niej szczególnie ważna.

— A pani?

— Byłam zawsze najlepszą uczennicą — oświadczyła z dumą.

— Z powodu *Eneidy* dostałem dwóję od łacinnika. Z matematyki ledwo jechałem na trójkach. To samo z polskiego i historii. Matury o mało nie oblałem przez niedostateczny z geografii — kłamałem na potęgę, bo wielką frajdę sprawiał mi wyraz pogardy, który pojawił się na buzi panny Wierzchoń.

Pod koniec tej rozmowy zjawił się przy nas kolega Bigos.

— Ja również w szkole nie byłem orłem — powiedział takim tonem, jakby dawał nam do zrozumienia: „Nie byłem orłem, a jednak stałem się Einsteinem.”

— Ale za to teraz panu skrzydła odrastają — stwierdziłem z powagą. — Zauważyłem, że w ciągu tych dwóch dni bardzo się pan rozwinął.

— A tak — zgodził się kolega Bigos. — Sam dostrzegam ten rozwój u siebie. Na uczelni, panie kustoszu, sam nigdy nie wiedziałem, jak naprawdę wygląda

biurko kolbuszowskie. Teraz zaś, gdy to biurko znosiliśmy, a było ciężkie jak słoń, już na całe życie zapamiętam biurko z Kolbuszowej.

— Zawsze uważałem, że młodym ludziom najlepiej trafić do głowy przez plecy — powiedziałem.

I tak dogadywaliśmy sobie, sprawdzając inwentarz dworu. Aż nadeszła pora obiadu i zamknąwszy drzwi frontowe, znowu wyruszyliśmy do domu wypoczynkowego „Postęp”.

Panny Marysi nie zastaliśmy w jadalni. Posmutniałem, za to koleżance Wierzchoń wrócił znakomity humor.

— Dlaczego się pan nie żeni, panie kustoszu? — zapytała mnie ni stąd, ni zowąd.

— Pan kustosz kocha się w antykach — wtrącił Bigos.

Nie mogłem zareagować na te słowa. Do naszego stołu podszedł niski, korpulentny pan. Towarzyszył mu trzynastoletni chłopiec o trochę podobnej do ojca figurze.

— Wasiak jestem — przedstawił się nam ów pan. — Bardzo chciałem pana poznać — wyciągnął rękę i serdecznie uścisnął mi dłoń. — Bardzo się cieszę, że państwo będą u nas organizować muzeum. Od pięciu lat jestem tutaj kierownikiem ośrodka wczasowego i przez cały ten czas boleję nad tym, że nasza miejscowość nie rozwija się. Muzeum w starym dworku to byłoby coś atrakcyjnego dla wczasowiczów.

— I duchy — dodał chłopiec.

— Ach, to ty widziałeś duchy w naszym dworze? — uśmiechnąłem się do chłopca.

— Dzieciaki różne rzeczy zmyślają — roześmiał się pan Wasiak.

A chłopiec, który wyglądał na bardzo rozsądnego, powiedział:

— Widzieliśmy światło na piętrze dworu, chociaż był wtedy opieczętowany. Mam na to świadka w osobie mojej koleżanki, Zosi. Ona uważa, że trzeba mówić o duchach, bo to podniesie atrakcyjność naszej miejscowości.

— A tak — zgodziłem się. — Stary dwór wymaga duchów. Nawet w dużej liczbie. Im więcej straszy, tym lepiej.

Bigos nie okazał poczucia humoru:

— Boże drogi, czy to się nigdy nie skończy? Ciągłe tylko duchy i duchy. Po co? Na co? Trzeba mieć materialistyczny pogląd na świat.

— Kolega Bigos bardzo nie lubi duchów — wyjaśniłem. — Nie lubi nawet żartów o duchach.

— Dlaczego? — spytał chłopiec. — Czy ma pan jakieś kompleksy na tym tle?

— Kompleksy, powiadasz? — zdumiał się Bigos. — Ej, ty mały, nie bądź taki psychoanalityk. Nie mam kompleksów związanych z duchami, tylko po prostu lubię sytuacje jasne i klarowne. Żadnej tajemniczości i zagadek. Staram się być człowiekiem nowoczesnym. Cenię prostotę.

— Nie golę się, nie strzygę, nie myję zębów — dodałem. — Jeśli jednak chodzi o mnie, w przeciwieństwie do kolegi Bigosa, cenię sobie tajemniczość. Cały świat wydaje mi się bardzo tajemniczy. . .

— Już w latach szkolnych — z patosem wtrąciła panna Wierzchoń — tajemnicza dla mnie była algebra, geografia, a także historia. Wiele tajemnic krył dla mnie tekst *Eneidy* Wergiliusza, a jego wiersza pozostały dla mnie do dziś niezgłębioną tajemnicą. W tajemniczych okolicznościach zdałem maturę oraz dostałem się na wyższą uczelnię. Pracując w tajemnicy, tajemniczo stałem się kustoszem tajemniczego dworu i zasiadam w tajemniczym pokoju za tajemniczym biurkiem.

— O Boże, jak ja cierpię — westchnął Bigos. I zwrócił się do mnie: — Panie kustosz, czy nie można zorganizować tajemniczych okoliczności dla zaginięcia naszej koleżanki?

Syn Wasiaka głośno się śmiał, a jego tato wtórował mu grubym głosem:

— To świetnie, że dopisuje państwu humor. Ale ja przyznaję rację panu kustoszowi: na świecie jest wiele tajemnic. Jak choćby śmierć pana Czerskiego. . .

— No, wie pan — oburzył się Bigos. — Jeśli pan za chwilę powie, że Czerski zmarł w tajemniczych okolicznościach, to ja przesiadę się do innego stolika. Siła złego na jednego.

— Och, nie musi się pan przesiadać. Śmierć Czerskiego nie była zagadkowa — rzekł pan Wasiak. — Czerski miał siedemdziesiąt pięć lat, a więc był w podeszłym wieku. Nastąpił u niego wylew krwi do mózgu. Najpierw doznał częściowego paraliżu, a w kilka godzin później zmarł.

— Więc w czym kryje się tajemnica?

— Gdy Czerski leżał już sparaliżowany, do dworu przyjechał samochodem jakiś pan. Zobaczył, że Czerski umiera, nie może mówić ani nic nie słyszy, i bardzo się zmartwił. Wreszcie wpadł na pomysł, aby się porozumieć z Czerskim za pomocą pisania na kartce. Jednakże, zapewne ze względu na to, że ja i lekarz z ośrodka zdrowia siedzieliśmy przy chorym, a on miał jakąś tajemniczą sprawę do Czerskiego, tylko narysował dziwny znak i podsunął kartkę Czerskiemu.

— Jak ten znak wyglądał? Mógłby go pan narysować? — Czułem, że mnie ogarnia ogromna ciekawość.

— Owszem. Widziałem te kartkę i znak na niej. Proszę, tak wyglądał.

I Wasiak narysował na bibułkowej serwetce znak cyrkla i poniżej umieszczonego kątownika.

— A co na to Czerski? — indagowałem Wasiaka.

— Czerski miał władną tylko lewą rękę. Wziął w nią ołówek i na tej kartce narysował inny znak, jakby odpowiedź temu panu. Był to taki rysunek przedstawiający sztylet wbijany w odwróconą do góry nogami koronę.

— I co dalej? — niecierpliwiła się panna Wierzchoń.

— Pan ów zdawał się nie rozumieć odpowiedzi Czerskiego. Kręcił głową, potrząsał nią, machał rękami. W tym momencie Czerski zaczął znowu pisać na

kartce. Jednak tym razem nie dla tego pana, a patrząc na mnie i na lekarza. Napisał: „*Zróbcie muzeum. . . W węzłach splecionych i strąconej koronie. . .*” Lecz nie dokończył, ołówek wypadł mu z ręki. W pół godziny później zmarł. A ów pan, bardzo zmartwiony, odjechał.

— Co zrobiliście z tą kartką? — zapytałem.

— W jakiś czas potem przyjechał urzędnik Wydziału Kultury z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Powiedział że tę kartkę można będzie potraktować jako ostatnią wolę zmarłego i odda się ją do sądu. Władze powiatowe chcą w dworku zrobić muzeum i to jest zgodne z wolą zmarłego.

— A te znaki? Te zagadkowe słowa?

— Nie wiedział, jak je wyjaśnić. Tyle tylko, że wskazał nam obraz wiszący na ścianie w sypialni Czerskiego, naprzeciw jego łóżka. Chory, gdy pisał te zagadkowe słowa, patrzył na ten obraz. A na nim właśnie jest napisane po francusku: „*W węzłach splecionych i koronie strąconej ujrzysz trzy postacie królów francuskich.*”

— Widziałem ten obraz — skinąłem głową.

— No właśnie. Urzędnik z Wydziału Kultury i lekarz doszli do wniosku, że Czerski był już nieprzytomny, paraliż obejmował go całego i pierwsze słowa: „*Zróbcie muzeum*”, napisał jeszcze z sensem, lecz dalsze już bez sensu. Miał przed oczami obraz z dziwnym napisem i po prostu to samo napisał.

— Bardzo wygodne tłumaczenie — wzruszyła ramionami panna Wierzchoń.

— A ma pani inne?

— Nie. . .

— A pan co o tym myśli? — zwrócił się do mnie Wasiak. — Prawda, że to bardzo ciekawa historia?

— Tak — przytaknąłem. I dodałem ostrożnie: — Trzeba się nad nią zastanowić. Pan dobrze znał Czerskiego?

— Mieszkam tu już pięć lat i przez ten czas zdążyłem go nieco poznać, nawet kilkakrotnie odwiedzałem go w dworku. On też był w moim domu parę razy. Ale gdybym powiedział, że się z nim przyjaźniłem, to byłaby nieprawda. Dzieliła nas różnica wieku i zainteresowań. On znał się na zabytkach, dziełach sztuki i starych książkach, uwielbiał starocie, a ja się na tych sprawach nie znam i nie interesują mnie.

— Co to był za człowiek? Jak określiłby pan jego charakter?

— Trudno dać zdecydowaną odpowiedź. Uważałem Czerskiego za bardzo sympatycznego staruszka, trochę dziwaka. Był kolekcjonerem, kochał swoje zbiory, pisał również pracę z dziedziny historii. Wiem, że nosił w sobie dużo żalu do świata. Przyznał mi się, że nie ma właściwie żadnego wykształcenia, jest naukowcem-amatorem. Dlatego prawdziwi naukowcy nie uznawali go. Nikt nie chciał opublikować jego ostatniej pracy. Żalił się, że wydawnictwa naukowe zbywają go pod byle jakim pretekstem.

— Czy posiadał jakichś bliskich przyjaciół?

— Chyba nie. Przez te pięć lat nikt go nie odwiedzał. Kiedyś miał chyba przyjaciół, ale się na wszystkich poobrażał, sądził bowiem, że nikt go poważnie nie traktuje jako naukowca. Ale w ostatnim roku. . .

— A właśnie — mruknąłem.

— . . . W ostatnim roku, proszę pana, Czerski jakby się odmienił. Poweselał. Powiedział mi: „Panie Wasiak, jeszcze będę sławny. Dokonałem wielkiego odkrycia. Moi wrogowie popękają z zazdrości.” Pytałem go, co to za odkrycie, ale mi odrzekł, że na razie chce je zachować w tajemnicy. I chyba rzeczywiście jakiegoś odkrycia dokonał, bo w ostatnim roku kilkakrotnie zjawiali się u niego różni ludzie. Ten pan, który przyjechał w dniu śmierci Czerskiego, był u niego aż trzy razy. . .

Syn Wasiaka powiedział szeptem:

— Pan Czerski odnalazł ukryty skarb. . .

Uśmiechnąłem się.

— Nie sądzę, chłopcze, żeby to był skarb. Z sylwetki, jaką nakreślił nam twój ojciec, wynika, że Czerski reprezentował typ naukowca-amatora. Czy wiesz, co dla takiego człowieka byłoby naprawdę wielkim odkryciem? Nie złoto i brylanty, lecz gdyby na przykład udało mu się udowodnić, że *Biblia* Leopoldy wcale nie jest pierwszym polskim przekładem, bowiem istniał wcześniejszy. Albo gdyby odnalazł tekst starszy niż *Bogurodzica*.

— I podobnego odkrycia mógł dokonać w dworku? — powątpiewał chłopiec.

— Naturalnie. Czy wiesz, w jaki sposób odnaleziony został fragment *Kazań Świętokrzyskich*? Stanowiły one oprawę do cennej zresztą książki. W zapisany na pergaminie tekst kazań ktoś potem oprawił inną książkę. Takiego odkrycia można dokonać siedząc w bibliotece w starym dworku.

Spojrzałem na zegarek. Obiad przeciągał się zbyt długo.

— Wracam do dworu — zakomenderowałem. Żegnając pana Wasiaka i jego syna, rzekłem: — Bardzo jestem panu wdzięczny za informacje. Postaram się zrobić wszystko, aby wyjaśnić zagadkową sprawę odkrycia dokonanego przez Czerskiego.

Gdy to mówiłem, panna Wierzchoń spojrzała na mnie z politowaniem. Wiem, że uważała mnie za głupca. Opuszczając jadalnię westchnąłem głośno:

— A śliczna panna Marysia nie przyszła na obiad. . .

— Hm — smutno mruknął kolega Bigos.

— Ach, gdyby tu był ten Pan Samochodzik. . . — powiedziała nagle panna Wierzchoń. — On natychmiast by wyjaśnił zagadkowe odkrycie Czerskiego.

— A pani gorsza? Niech pani spróbuje swoich sił — zaproponowałem.

— Naturalnie, że spróbuje — z pewną siebie miną stwierdziła panna Wierzchoń.

Bigos odezwał się podstępnie:

— Pan kustosz również zobowiązał się zająć tą sprawą. Będę miał piękną zabawę, obserwując, jak rywalizujecie z sobą w rozwikłaniu zagadki starego dworu.

Szliśmy drogą wzdłuż brzegu rzeki, który w tym miejscu był dość wysoki. Widziało się stąd wielkie mielizny piasku, bardzo złotego w promieniach jesienno-słonecznego słońca. Za rzeką rósł gęsty sosnowy bór. Pomyślałem: „Jak dobrze byłoby pójść na samotny spacer...” Ale we dworze czekało mnie jeszcze wiele pracy związanej z inwentaryzacją zbiorów Czerskiego. Toteż, skrywając swe pragnienia, powiedziałem głośno:

— Powiniennem pojechać do miasta po segregatory...

Moje słowa rozgniewały pannę Wierzchoń.

— Tak, właśnie tak. Dla pana kustosza najważniejsze są segregatory. To nic, że jakieś tajemnicze osoby krążą nocą po dworze i usiłują wpaść na trop odkrycia Czerskiego...

— Po naszym dworze krążą nocą tajemnicze osoby? — udałem zdumienie.

— A co? Może wierzy pan w duchy? Biurko, kancelaria, segregatory! Biurko, kancelaria, segregatory! — powtarzała ze złością. — Pan tylko myśli o karierze, a prawdziwa wielka sprawa nic pana nie obchodzi.

— Przecież nie bronię pani zająć się zagadką naszego dworu.

— Jak się mam tym zająć, skoro wiem, że pan jeszcze na dzisiaj zaplanował inwentaryzację salonu. Na rozwiązywanie zagadek trzeba mieć czas i wolne ręce.

— Niestety, nie mogę pani zwolnić od zajęć. Przybyliśmy tutaj, aby dokonać inwentaryzacji i zorganizować muzeum.

— A najważniejsze ucieknie nam sprzed nosa!

— Pani sądzi, że tego rodzaju zagadkę rozwiązuje się siedząc na kanapie angielskiej i rozmyślając?

Lekceważąco wzruszyła ramionami.

— Skąd pan może wiedzieć, jak należy rozwiązywać taką zagadkę? Może właśnie siedząc na kanapie i rozmyślając. Ale na pewno nie — kupując segregatory biurowe.

Wyznaję, że w tym momencie panna Wierzchoń bardzo mnie zirytowała. Nie wiadomo na jakiej podstawie i ona, i Bigos uważali, że jestem jakimś nieukiem, który chce robić karierę. Przy inwentaryzacji biblioteki dałem im do zrozumienia, że znam się na starych dziełach sztuki. Nawet zaimponowałem Bigosowi. Ale jej nic nie mogło do mnie przekonać. Uparła się, żeby mnie uważać za tępaka i karierowicza. Powściągnąłem jednak złość i rzekłem dość spokojnie:

— A pani zdecydowała się rozwiązać zagadkę naszego dworu?

— Tak — wyprostowała się dumnie.

— I mówi to pani poważnie?

— Jak najbardziej.

— Więc ja pani też odpowiem poważnie. Do rozwiązania tego rodzaju tajemnic nie wystarczą jedynie dobre chęci. Trzeba przedtem, między innymi, prze-

prowadzić setki nudnych inwentaryzacji, rozpoznawać dzieła sztuki, trzeba mieć kolosalną wiedzę. Pani rozumie? Niech mi pani powie, co pani pojęła z kartki Czerskiego? Z tych zagadkowych znaków?

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Pan chyba nie chce powiedzieć, że pan je zrozumiał.

— Nie pojąłem ich znaczenia. Ale ich symbolika jest dla mnie zupełnie zrozumiała.

— Czyżby? — powątpiewała z ironią.

Przystanąłem. Podniosłem leżący na drodze patyczek i narysowałem symbol na piasku.

— Proszę zwrócić uwagę. U góry przedstawiony został cyrkiel, a niżej kątownik. Takim znakiem posługiwali się wolnomularze, czyli masoni, panno Wierzchoń.

— Tak. Ma pan rację — wykrztusiła.

Narysowałem drugi znak.

— Proszę się przyjrzeć. Skierowane ku dołowi ząbki to przecież wyobrażenie odwróconej korony. Powiedzmy: korony strąconej, obalonej. Tę koronę przebija puginał, sztylet. Znowu więc mamy do czynienia z symbolicznym znakiem wolnomularzy. Symbolem strąconej korony, przebitej puginałem, posługiwał się w dziewiętnastym wieku odłam wolnomularzy spiskujących przeciw monarchiom.

— Ma pan rację, panie kustoszu. Przecież kiedyś się nawet o tym uczyłam. . .

— A ów obraz, który wisi w sypialni Czerskiego i ma francuski napis: „*W węzłach splecionych, w strąconej koronie znajdziesz trzy podobizny królów francuskich*”, najpewniej pochodzi z loży wolnomularskiej tego antymonarchistycznego odłamu. Czyli po prostu mamy do czynienia z bardzo przyjemnym zabytkiem z gatunku „masoników”.

Bigos zaczął głośno klaskać w ręce:

— Bravo, bravissimo! Trzy zero na korzyść pana kustosza!

Panna Wierzchem popatrzyła na mnie jak na jasnowidza:

— Ale w takim razie co ów przyjezdny chciał od Czerskiego i co mu Czerski odpowiedział?

Bezradnie rozłożyłem ręce:

— No, tego ja, niestety, nie wiem, droga pani.

— Może Czerski był masonem?

— Nie sądzę. Już na początku dziewiętnastego wieku organizacje wolnomularskie w Polsce zupełnie rozpadły się. Nie słyszałem, by współcześnie ktoś u nas bawił się w masonerię. Owszem, tu i ówdzie na Zachodzie, na przykład w Szwecji lub w Szkocji, prowadzą jeszcze tego rodzaju zabawy. Ale poważnie nikt już tego nie traktuje, zresztą, ma pani pole do snucia domysłów.

Panna Wierzchoń nic już się nie odezwała. Bigos również chyba przetrwał zagadkową sprawę znaków masońskich, bo aż do drzwi dworu żadne z nas nie powiedziało ani słowa.

Panna Wierzchoń poszła od razu na górę, aby w sypialni Czerskiego obejrzeć masoński obraz. Towarzyszył jej zamyślony kolega Bigos.

A ja zajrzałem do swojej kancelarii i natychmiast doznałem wrażenia, że podczas mojej nieobecności ktoś tu buszował. Głowę Wergiliusza postawiłem przecież po lewej stronie biurka, a teraz stała po prawej. Dwie szuflady były nie domknięte. W jednej znajdowały się stare rachunki Czerskiego. Ułożyłem je dość starannie, a teraz tworzyły jeden duży kłęb, leżały w nieładzie i były pogniecione, jakby ktoś w nich grzebał pośpiesznie.

Usiadłem w fotelu naprzeciw biurka, zapaliłem papierosa.

Stało się dla mnie oczywiste, że porę naszego wyjścia z dworu i czas spędzony na obiedzie w domu wczasowym „Postęp” ktoś wykorzystał, aby buszować w naszym dworze. Czy miał drugie klucze do drzwi? Raczej wątpliwe, przecież nocą zjawiał się na piętrze podczas naszej obecności. Zresztą, podobno bywał we dworze jeszcze przed naszym przyjazdem, gdy drzwi i okna były opieczetowane. A więc przenikał mimo zamkniętych drzwi. Nie był duchem, czyli że do wnętrza dworu prowadziło zamaskowane przejście.

To był mój pierwszy wniosek.

Uderzyłem dłonią w kolbuszowskie biurko.

— Basta, Tomaszu — mruknąłem do siebie. — Najwyższa pora skończyć z tymi zagadkami!

Należało zacząć od tego, co powinienem był zrobić już dawno. Trzeba było zamknąć wszystkie pokoje we dworze. We wszystkich drzwiach były zamki, a w gabinecie Czerskiego widziałem pęk kluczy. Gdzie one leżały? Chyba w biurku...

Przeszukałem szuflady biurka, ale kluczy nie znalazłem. Może pozostały na górze w gabinecie?

Pobiegłem na górę. Panna Wierzchoń i kolega Bigos siedzieli w fotelach i rozmawiali o czymś półgłosem. Wyglądali jak para spiskowców.

— Panno Wierzchoń — powiedziałem. — Proszę poszukać kluczy od pokoi. Podczas naszej nieobecności ktoś buszował w mojej kancelarii.

— To... nieprawdopodobne — jęknął kolega Bigos. Długo i wytrwale szukaliśmy kluczy w gabinecie.

Niestety, tam ich nie było. Zagięły. Pozostał nam tylko pęk kluczy od pomieszczeń gospodarczych.

— I znowu zagadka — stwierdziła panna Wierzchoń.

— Tajemnicze zniknięcie kluczy — westchnął Bigos. I miał naprawdę bardzo nieszczęśliwą minę.

— Więc pan sądzi, że ktoś tu był? — niepokoiła się panna Wierzchoń.

Machnąłem ręką, dając im do zrozumienia, że wszystkie wyjaśnienia uważam za zbędne. Spieszyło mi się zresztą. Chciałem być w mieście przed zamknięciem sklepów.

— Jadę po segregatory — rzekłem. — Proszę ani na krok nie opuszczać dworu.

Kolega Bigos nagle objawił talent poetycki. Wyrecytował:

Niech tam sobie dziwne stwory dniem i nocą straszą dwory.

Na te dwory i potwory radę mam: se-gre-ga-to-ry!

Jeszcze raz machnąłem ręką i zbiegłem po schodach. Zamknąłem drzwi i pędziłem do wozowni. Po chwili wyjeżdżałem z parku na szosę.

Naprawdę zamierzałem kupić segregatory biurowe. Ale przecież nie one były celem mego wyjazdu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE • CO WIEM O WALDEMARZE BATURZE • PANNA WIERZCHOŃ SŁYSZY „GŁOSY” • CZY MASONI STRASZĄ W NASZYM DWORZE • KRÓTKA HISTORIA WOLNOMULARSTWA • WIECZORNA WIZYTA • STARY BURGUND • PUŁAPKA NA DUCHA • CZY DUCH JEST FIGLARZEM?

Miasteczko P. w województwie łódzkim jest ładne i posiada pewne tradycje historyczne. W centrum znajduje się Stare Miasto, pełne wąskich, malowniczych uliczek. Są tam parki i skwery, kilka ciekawych architektonicznie budynków i wiele zabytków, jak na przykład bardzo stary klasztor.

Ale tego popołudnia zaczął padać listopadowy deszcz, który przyspieszył nadejście jesiennej wieczoru. Opustoszały ludne zazwyczaj ulice; w deszczowym, mglistym półmroku zniknął urok starych uliczek.

W sklepie papierniczym kupiłem segregator. Zrobiłem to ze względu na pannę Wierzchoń, aby ją utwierdzić w przekonaniu, że rzeczywiście pognąła mnie do P. moja skłonność do urzędniczenia. Potem nabyłem dwa pęta kiełbasy i trzy paczki masła oraz dwa bochenki chleba na nasze śniadania i kolacje. Najważniejszego jednak zakupu dokonałem w najzwyczajniejszym kiosku „Ruchu”. Po prostu podszedłem do budki i powiedziałem:

— Poproszę pięć tubek pasty do zębów. Chlorofilowej.

Oczywiście, tej pasty akurat nie było. Proponowano mi pastę miętową firmy „Nivea”. Ale przecząco pokręciłem głową:

— Używam tylko chlorofilową, i to w dużych ilościach.

Tak długo jeździłem po ulicach P., aż wreszcie w jednym kiosku znalazłem pastę chlorofilową. Wtedy zdecydowałem się wstąpić do kawiarni, bo jestem wielkim amatorem czarnej kawy, a w strasznym dworze byłem jej pozbawiony.

Kawiarnia „Pod Ormianinem” mieści się w zabytkowej kamieniczce na Starym Rynku. Składa się z kilku niedużych salek i pokoików na różnych poziomach, ma stylowe sklepienie i gustownie urządzone wnętrza.

W kawiarni nie było ani jednego wolnego stolika. W labiryncie pokoików kryła się przed deszczem młodzież. Wydawało mi się, że nagle zobaczyłem przed sobą dwa plutony Bigosów, tak byli podobni do mego współpracownika. Nosili

długie włosy, bardzo niechlujnie uczesane, i — w większości — czarne swetry. Kilku miało ciemne garnitury z obowiązkowo białą koszulą non-iron. Zapewne podobnie ubrany bywał od czasu do czasu kolega Bigos, gdy odwiedzał kawiarnie.

Już zamierzałem wyjść na ulicę, bo nie mam zwyczaju dosiadać się do obcych ludzi, a szczególnie przeszkadzać młodym parom w ich pogawędkach, gdy ktoś podniósł do góry rękę w moim kierunku i zaczął kiwać zachęcająco.

Batura. Waldemar Batura. Dawny kolega ze studiów historii sztuki. Siedział sam przy stoliku w rogu ciemnej salki, dlatego nie zauważyłem go od razu.

— Siadaj — powiedział, wstając od stolika na powitanie. — Co u ciebie słychać, Tomaszu? Co robisz w P.?

Były to zwykłe pytania, jakie setki tysięcy ludzi zadaje przy takich okazjach i nawet nie bardzo słucha odpowiedzi. Lecz ja natychmiast stałem się bardzo ostrożny. O Waldku Baturze słyszałem bowiem wiele niepocholebnych rzeczy.

Na studiach uczył się świetnie. Uważano go — i nie bez podstaw — za najlepszego studenta na naszym roku. Zdobył duży zasób wiedzy z historii, a w szczególności historii sztuki. A przy tym, podobnie jak ja, posiadał żyłkę detektywistyczną. Jeszcze będąc na ostatnim roku studiów, wpadliśmy razem na trop arcy-ciekawego fałszerstwa dość znanego obrazu, który znajdował się w prywatnych zbiorach.

Potem zaczęliśmy pracę w prowincjonalnych muzeach. Wkrótce dowiedziałem się, że Batura zrezygnował z pracy; krążyły plotki, że zamieszany był w aferę z handlem antykami, lecz nie udowodniono mu przestępstwa. Batura kupił sobie piękną skodę, mieszkanie w Warszawie, ubierał się bardzo wytwornie. Odbył kilka podróży zagranicznych: do Włoch, Anglii i Niemiec Zachodnich, żeby — jak mówił — pogłębić swoje studia nad starą architekturą i obejrzyć najpiękniejsze obrazy w zagranicznych muzeach. Prawda była chyba inna: Batura w dalszym ciągu zajmował się handlem antykami, a był na tyle sprytny, aby nie dać się złapać na nielegalnych transakcjach.

I teraz nagle spotkałem go w P.

— A ty ciągle w Ł.? — pytał mnie z lekceważeniem. — I ciągle jeszcze jeździsz tym swoim gruchotem? Nie widziałem go nigdy, ale ktoś mi mówił, że jak prądem elektrycznym porażasz przechodniów samym jego widokiem.

Skinąłem głową.

— Ciągle mam tego gruchota. Ale teraz przenieśli mnie z Ł. do Janówki. Organizujemy muzeum w starym dworze, a ja otrzymałem stanowisko kierownika muzeum i kustosza.

— Awansujesz, Tomaszu — zaśmiał się. — A zagadki historyczne? Pasjonują cię jeszcze?

— Jeśli się coś ciekawego trafi. . .

— Opowiadano mi, w jaki sposób trafiłeś na skarby templariuszy. Podziwiam cię. Gdybym to ja je znalazł, możesz być pewien, że nie oddałbym tych skarbów do muzeum. Chyba żeby mi zapłacili ogromną premię.

Był szczupłym, średniego wzrostu smagłym brunetem, o kruczoczarnych, gładko zaczesanych włosach. Miał małe czarne wąsiki; kobietom bardzo się podobał, chociaż mówiły, że „Batura jest zbyt piękny jak na mężczyznę”. Nie bardzo rozumiem tego rodzaju poglądy. Czy rzeczywiście mężczyźni powinni być mniej urodziwi niż kobiety?

Teraz patrzyłem w jego przystojną twarz, widziałem jego ładną zagraniczną koszulę w delikatne prążki, garnitur z lekkiej angielskiej wełny i przypomniałem sobie o kilku sprawach, które wiązano z jego nazwiskiem. Batura też pasjonował się zagadkami historycznymi, szukał zaginionych zbiorów, ukrytych skarbów. Ale jeszcze nie zdarzyło się, aby przyniósł coś do któregoś z muzeów. Czyżby rzeczywiście nie udało mu się nigdy nic znaleźć, odkryć, rozwiązać zagadki? Z jego wiedzą i inteligencją, detektywistyczną żyłką?...

— Pracujesz więc w Janówce — stwierdził Batura. — Znam ten dwór. Należał do Czerskiego, starego antykwariusza. We dworze jest kilka pięknych polskich mebli, trzy czy cztery cenne obrazy, ciekawy księgozbiór. I to, zdaje się, wszystkie tamtejsze skarby. Dwór zbudowano na początku dziewiętnastego wieku.

— Doskonale się orientujesz — powiedziałem ze szczerym uznaniem.

Oświadczył nie bez dumy:

— Odwiedziłem już chyba wszystkich polskich kolekcjonerów antyków i oglądałem ich zbiory. Domyślasz się chyba, że zmusiła mnie do tego zawioda konieczność. Zarabiam jako rzeczoznawca przy prywatnych transakcjach dotyczących zabytków sztuki. Od czasu do czasu służę jako pośrednik w handlu, przeważnie starymi meblami. Ludziom w Polsce powodzi się coraz lepiej, chcą ładnie mieszkać. Zapchali mieszkania modnymi kiedyś meblami i teraz każdy co zamożniejszy człowiek chce mieć w domu jakiś antyczny mebel. Choćby jeden stary rypiec w nowocześnie urządzonej wnętrze. Trochę więc na tej modzie zarabiam. Tu kupię jakiś stary fotel, ówdzie stary komplecik lub sekretarzyk, gdzie indziej sprzedam po odnowieniu i doprowadzeniu do porządku. Teraz właśnie mam zamówienie od pewnego reżysera filmowego. Chce koniecznie jakiś piękny sekretarzyk albo sekretkę. W tym celu przyjechałem do P. Miasteczko jest stare, wojna go nie zniszczyła, tu i ówdzie w mieszkaniach trafiają się stare meble. Mam na oku sekretarzyk z osiemnastego wieku, pertraktuję z właścicielem. U Czerskiego też bywałem. Kiedyś nawet kupiłem od niego piękne biurko typu „bonheur-du-jour”. Czerski znalazł się w tarapatkach finansowych, musiał zapłacić podatki, chciał odnawiać dwór czy coś takiego, i z bólem serca biurko sprzedał. Zarobiłem na nim prawie dziesięć tysięcy. A ty, Tomasz? Sporo chyba jeździsz po Polsce. Gdyby ci się trafiło kupno jakiegoś antyku, daj mi znać, znaję nabywcę i trochę się podreperujesz finansowo. Legalnie — zaznaczył. —

Przecież pośrednictwo w sprzedaży nie jest zabronione. Wspominam o tym, bo wiem, jak bardzo jesteś przewrażliwiony na tym punkcie. Aż do przesady, przyjacielu.

Uznałem, że pora skończyć tę rozmowę. Skinąłem na kelnerkę, aby zapłacić za moją kawę.

— Muszę uciekać, przyjacielu — rzekłem. — Wzywają mnie do Janówki obowiązki kustosza. — I znizywszy głos niemal do szeptu, powiedziałem: — Posłuchaj mnie uważnie, Batura. I przyjmij moją radę: trzymaj się z daleka od Janówki. Handluj antykami, pośrednicz w sprzedaży mebli, ale od Janówki trzymaj się z daleka.

— Co ty? Zwariowałeś? — oburzył się Batura.

— Trzymaj się z daleka — powtórzyłem. Skinąwszy mu głową na pożegnanie, poszedłem do wyjścia. Zaraz wsiadłem do wehikułu i pełnym gazem ruszyłem do Janówki.

Wraciałem do dworu ogarnięty złymi przeczuciami, które obudziło we mnie spotkanie z Baturą. Nie miałem oczywiście żadnych podstaw, aby przypuszczać, że nie mówił prawdy o przyczynach swego przyjazdu do P. Historia o reżyserze filmowym, który chciał mieć stary sekretarzyk, wyglądała dość prawdopodobnie. A jednak w pobliżu P. znajdowała się Janówka z jej niesamowitym dworem, w którym działy się dziwne sprawy. Ktoś czegoś szukał w starym dworze i robił to tak sprytnie, że sprawiał wrażenie istoty niematerialnej. A właśnie Batura był człowiekiem obdarzonym niezwykłym sprytem.

„Dzieją się dziwne sprawy” — powtórzyłem w myślach.

I zacząłem zastanawiać się, czy aby nie uległem sugestiom panny Wierzchoń, która zapragnęła stać się detektywem w spódnicy. Nie istniał przecież żaden logiczny związek między brakiem piątego rozdziału w katalogu Czerskiego i trzech książek w księgozbiornie, a światłami, jakie nocą widziano w oknach opieczęowanego domu. Piąty rozdział z jakiegoś powodu usunął być może sam Czerski, on również chyba pożyczył komuś trzy książki ze swego księgozbiornu, światła były złudzeniem, podobnie jak nocne hałasy w bibliotece, czyli wizyty „ducha”. Zniknęły klucze? A może się zawieruszyły i leżą gdzieś w gabinecie? Może wreszcie i mnie tylko wydawało się, że głowę Wergiliusza postawiłem na lewym brzegu biurka. W gruncie rzeczy jedyną sprawą, która mogła budzić podejrzenia, była historia, jaka zdarzyła się przy łożu Czerskiego, zagadkowe znaki i dziwne słowa o „węzłach splecionych”.

Lecz może właśnie dlatego, że wszystkie te sprawy nie wiązały się w całość, były takie nierealne, nieuchwytnie i nieokreślone, budziły we mnie złe przeczucia. Byłem przekonany, że jeśli kryje się za nimi coś złego, nastąpi ich ciąg dalszy i zapewne nie będzie on już tak zabawny, jak do tej pory. Chyba że ci, którzy szukali czegoś we dworze, już to znaleźli. Ta myśl dręczyła mnie najbardziej.

A jeśli jeszcze nie znaleźli? Jak wyjść naprzeciw oczekującym nas zdarzeniom, a najlepiej — w jaki sposób ich lub jego (mogła to być wszakże tylko jedna osoba) uprzedzić w poszukiwaniach? Można to było robić tylko pod jednym warunkiem: że wiedziało się, czego poszukiwano. Czy była to jakaś rzecz zabytkowa: mebel, obraz, książka, rękopis? A może poszukiwania owe związane były z odkryciem, o którym mówił Czernski panu Wasiakowi? Jeśli tak — na czym polegało to odkrycie?

Nawet najlepszy matematyk nie rozwiąże zadania, w którym są same niewiadome. A ja właśnie znajdowałem się w takiej sytuacji. Domyślałem się jedynie, że stary dwór stanowi przedmiot czyjegoś podejrzanego zainteresowania. Ale nawet i to pozostawało niewiadomą, bo przecież także i w tej sprawie nie miałem żadnych namacalnych dowodów.

Pozostawała mi więc bierność — oczekiwanie na dalszy ciąg zdarzeń. Mogłem tylko czekać i starać się być czujnym.

Tak myślałem zamykając samochód w wozowni i przez ciemny park kierując się do dworu.

Paliło się w oknie na parterze, w końcu lewego skrzydła, a więc w kuchni. Otworzyłem drzwi swoim kluczem (drugi klucz miała panna Wierzchoń) i nawet nie wstępując do swego pokoju, od razu pomaszerowałem do kuchni.

Panna Wierzchoń stała przy piecu kuchennym i czytała książkę. Wraz z moim wejściem książka wysunęła jej się z rąk i z traskiem upadła na podłogę.

— O Boże, jak ja się przeraziłam. Pan wszedł tak cicho. . . — powiedziała.

Położyłem na stole przywiezione z P. segregatory i wiktuały. Z zadowoleniem stwierdziłem, że piec przyjemnie emanuje ciepłem, a na płycie kuchennej syczy czajnik z gotującą się wodą.

— Pani nerwy nie są, zdaje się, w najlepszym porządku — odezwałem się z ironią.

Nie była usposobiona do przekomarzań.

— Tak. Atmosfera tego domu źle na mnie działa.

— Czy stało się coś nowego?

— Zginął dywanik z gąbki, który leżał w łazience przed wanną.

— Duch?

— Pan sobie żartuje, a gąbka naprawdę zginęła.

Lekceważąco machnąłem ręką.

— Na pewno wkrótce się znajdzie. Gorzej przedstawia się sprawa z pani nerwami. Jeśli zacznie pani słyszeć głosy, wybierzemy się do lekarza.

— Co? — znowu przeraziła się. — Skąd pan wie o głosach? Pan też je słyszał?

— Nie. Ale pani, zdaje się, słyszała. . .

— I dlatego właśnie jestem tak podenerwowana. Gdy pan wyjechał po te przekłete segregatory, Bigos natychmiast poszedł do domu wczasowego w Janówce,

do kawiarni. Zostałam samiuteńka we dworze. Postanowiłam zapoznać się z historią i sprawami wolnomularzy, bo może to właśnie stanowi klucz do zagadki naszego dworu. Usiadłam w bibliotece i zaczęłam wertować katalog księgozbioru, szukając książki o wolnomularstwie. Znalazłam ich kilka, wybrałam jedną i usiadłam w fotelu, żeby czytać. Tymczasem zapadł mrok, zapaliłam światło w bibliotece. We dworze było cicho i tak jakoś niesamowicie. Raptem do moich uszu doszedł szept, który płynął nie wiadomo skąd. Coś szeptało: „Uciekaj... Uciekaj stąd...” Myślałam, że umrę ze strachu. Uciekłam z biblioteki i zabarykadowałam się w swoim pokoju. A po chwili przyszedł Bigos z panną Marysią. Oprowadził ją po pokojach, a teraz poszli obejrzeć piwnice. Wydaje mi się, że pan już nie ma żadnych szans u tej panienki.

— To się okaże — mruknąłem niezadowolony, że Bigos oprowadza po dworze obce osoby. Obiecałem sobie przecież, że będę czujny. — A co do tych głosów... — podrapałem się po głowie. — Czy pani nie miała w dzieciństwie jakiego urazu czaszki?

Obraziła się. Do kuchni wszedł Bigos z panną Marysią. Jak zdobyczne trofeum niósł w rękę pękatą butelkę wina.

— Burgund, proszę państwa! — zawołał radośnie. — Autentyczny burgund. Stał na półce w piwnicy. Ma oryginalną nalepkę francuską i liczy sobie trzydzieści lat. Wypijemy po kolacji.

— To nie jest nasza własność — zauważyłem.

Bigos spojrzał na mnie jak na wariata.

— Jesteśmy tutaj gospodarzami czy nie, panie kierowniku? Butelki burgunda chyba nie zamierza pan umieścić w muzealnej gablocie?

Spostrzegł segregatory leżące na stole.

— Pan jest biurokrata, to wiemy. Ale chyba nie okaże się pan aż takim formalistą, by nie wypić z nami po szklaneczce autentycznego burgunda. Koleżance Wierzchoń burgund dobrze robi na nerwy. Ja również mam nerwy rozstrojone przez wprowadzoną przez was atmosferę tajemniczości. A pani, panno Mario?

— Ja też się napiję — uśmiechnęła się urocza blondynka.

Wzruszyłem ramionami. Dlaczego nie mielibyśmy się napić? Korzystaliśmy z węgla, który w piwnicy zgromadził Czerski, mogliśmy również i wypić tę butelkę starego wina, tym bardziej że, o ile pamiętam, nie figurowała ona w spisie inwentarza.

W kuchni było bardzo ciepło i przyjemnie. Panna Wierzchoń zaparzyła mocnej herbaty i zabrała się do przyrządzania jajecznicy na kielbasie. Chciałem w jakiś sposób odzyskać stracone pozycje u panny Marysi i zaprosiłem ją na nasz skromny posiłek.

— A potem odprowadzę panią do domu — zaofiarował się kolega Bigos.

— Razem to zrobimy — powiedziałem. — Pan potem umiera ze strachu, wracając samotnie przez ciemny park.

Bigos z dezaprobatą pokręcił głową.

— Pan kustosz używa niedozwolonych chwytów. Chce mnie pan skompromitować w oczach tej pięknej pani?

Marysia uśmiechnęła się uroczo. I do mnie, i do Bigosa.

— Sama wrócę do domu. Nie boję się ciemności. I duchów też się nie lękam. Nawet bardzo pragnę spotkać się z jakimś duchem. Pan mi obiecał, panie kustoszu.

— Co pani obiecałem? Ducha?

— A właśnie.

— Duch jest dziś niedysponowany.

— To macie tylko jednego ducha? — Marysia była wyraźnie rozczarowana. — A ja myślałam, że w takim wielkim dworze mieszkają ich całe hordy.

— Owszem, ale są leniwe. Straszą tylko w sobotę.

— Pojutrze jest sobota.

— Może więc zechcą wziąć się za straszenie? — pocieszałem Marysię.

A Bigos powiedział:

— Jeśli pan kustosz nie załatwi sprawy z duchami, to ja sam postaram się dla pani o jakiegoś wspaniałego ducha.

Tak żartowaliśmy ze sobą i tylko panna Wierzchoń wciąż milczała ponuro. Potem Marysia wzięła do ręki książkę, którą przed kolacją przeglądała panna Wierzchoń, i głośno przeczytała tytuł:

— Wolnomularstwo. Wypisy z encyklopedii. — I zapytała: — Co to są wolnomularze?

Bigos rzekł uczenie:

— Wolnomularze to są masoni.

— Ach, wiem — ucieszyła się Marysia. Znajomość historii nie była, zdaje się, jej najmocniejszą stroną. — Mój ojciec miał znajomego, który twierdził, że wszystkiemu winni są masoni. Oni wywołują wojny, robią spiski i intrygi polityczne na całym świecie. Mają swoją międzynarodową organizację.

— A co się stało ze znajomym, pani ojca? Czy nie trafił do domu wariatów? — zapytałem z niewinną miną.

— A tak. Leczył się na nerwy — powiedziała zdumiona panna Marysia.

Bigos złośliwie wykrzywił twarz w stronę panny Wierzchoń:

— Moja uczona koleżanka też się zabrała do masonów. Jej zdaniem, to oni kryją się za zagadkowymi sprawami w naszym dworze. I od czasu jak się zajęła masonami, słyszy głosy.

Gdyby spojżenia zabijały, Bigos leżałby już trupem na posadzce w dworskiej kuchni. Panna Wierzchoń łypnęła na niego bardzo złowrogo, ale ponieważ spojżenia jednak nie zabijają, Bigos jadł spokojnie jajecznicę na kiełbasie, głośno przy tym mlaskając i siorbiąc herbatę z kubka.

— A dlaczego pani myśli, że z tym starym dworem mają coś wspólnego owi straszni masoni? — zaciekała się Marysia.

— Kolega Bigos tylko żartował — odpowiedziała panna Wierzchoń.

— A jednak pani czyta książkę o wolnomularzach? — przekornie stwierdziła Marysia. I zwróciła się do mnie: — Kochany panie kustoszu, niech mi pan wyjaśni sprawę tych strasznych masonów. Pan Bigos opowiadał mi o tajemniczych znakach, które przed śmiercią rysował właściciel tego dworu, i mówił mi, że pan określił te znaki jako masonskie. Mnie to bardzo ciekawi. Mogłabym o tym opowiadać w biurze.

— Kolega Bigos ma bardzo długi język — zauważyłem. Ale nie znalazłem żadnego powodu, aby nie opowiedzieć jej o masonach. Miałem nadzieję, że mój zasób wiedzy zaimponuje jej. Była przecież bardzo ładna, a takim dziewczętom mężczyźni lubią imponować. Ja też mam tę słabość.

— Początki wolnomularstwa — zacząłem swój wykład — toną w mrokach. Niektórzy historycy uważają, że powstanie wolnomularstwa związane jest z upadkiem tajemniczego zakonu templariuszy w osiemnastym wieku, gdy to wielkiego mistrza, Jakuba de Molay, spalił na stosie król francuski Filip Piękny. Do tej tradycji nawiązywali przede wszystkim wolnomularze w Szkocji, dokąd schroniły się niedobitki prześladowanego zakonu templariuszy. Tam założono pierwszą lożę masonską. Wolnomularze szkoccy nazywali siebie „obozem templariuszy” i głosili walkę z papieżem i władzą królewską, jako zemstę za prześladowania i męczeńską śmierć Jakuba de Molay. W rzeczywistości jednak walczyli o powrót na tron domu Stuartów. W swej symbolice i rytuale wolnomularze sięgali daleko wstecz, nawiązując do legendy o Hiramie, zamordowanym podczas budowy świątyni Salomona. Naprawdę jednak wolnomularstwo rozwinęło się dopiero w 1717 roku w Anglii, a ściślej w Londynie za sprawą pastora Andersona i prawnika Desaguliersa. Z początku było to po prostu zrzeszenie rzemieślników i kupców, którzy wstępowali do związku, aby uzyskać prawo gildii. Z czasem dopiero tajny związek dopracował się swojej ideologii, a nawet filozofii. Dlaczego nazwali się wolnomularzami, czyli inaczej wolnymi murarzami? Po francusku masoneria to „*maçonnerie*”, po angielsku „*freemasonry*”. Typ swojej organizacji wywodzili od średniowiecznych bractw rzemieślników murarskich, wierzyli w istnienie Wielkiego Budowniczego Świata, w swej symbolice używali nie obrabionych kamieni, które ociosywali, aby wznieść „nowy gmach społeczeństwa ludzkiego na zasadach wolności, równości i braterstwa”. Wolnomularze mówili, że ich organizacja uprawia „sztukę”. Miała to być sztuka doskonalenia się, sztuka budowy nowego porządku świata. Duchową treścią tej sztuki było podniesienie własnej moralności, powszechna miłość ludzkości, czysta i prawdziwa pobożność w braterskiej jedności. Wolnomularze głosili, że niezależnie od różnic narodowych, od wyznawania tej czy innej wiary, niezależnie od pochodzenia społecznego — należy kochać się jak bracia. Wypowiedzieli walkę wszelkiej tyranii

i niesprawiedliwości, uprawiali dobroczynność. Wolnomularstwo miało charakter międzynarodowy, kosmopolityczny, nie wykluczało jednak miłości do własnej ojczyzny i podporządkowania się jej interesom. Na przykład, w Polsce w 1819 roku powstało Wolnomularstwo Narodowe, założona przez Łukasieńskiego organizacja patriotyczna, której celem było zjednoczenie i odbudowa Niepodległej Polski. Biorąc pod uwagę czas powstania wolnomularstwa, a więc początek osiemnastego wieku, hasła masonów były niezwykle postępowe i rewolucyjne, głosiły przecież miłość, równość i braterstwo, te same słowa, które na swych sztandarach miała wypisane francuska rewolucja. Kościół katolicki, przeciwny wszelkim postępowym ruchom, kilkakrotnie potępił wolnomularzy. Nałożono na nich karę ekskomuniki, czyli odmówiono im prawa przyjmowania sakramentów. Ale trzeba stwierdzić, że Wolnomularstwo nigdy nie stało się, ani nie było tym, za co je uważają ludzie w rodzaju znajomego ojca panny Marysi. Przechodziło ono przez różne fazy. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że tyle było rodzajów wolnomularstwa, ile istniało łóż wolnomularskich. Na przykład, niektóre loże głosiły walkę z papieżem, a do innych wchodziłi ludzie ściśle związani z Kościołem katolickim: biskupi i kardynałowie. Do jednych łóż wstępowali wolnomularze, a do innych ludzie głęboko wierzący, deści. W jednych lożach głoszono walkę z tyranią i władzą królewską, członkami innych byli magnaci, ba! koronowane głowy. Zdziwieni będziecie, gdy wam wymienię kilka wielkich nazwisk wolnomularzy. Masonami byli tacy władcy i królowie, jak Edward VII, Franciszek I, Karol X, Ludwik XVIII, Wilhelm I, Fryderyk III, Fryderyk II pruski, Fryderyk Wilhelm II, rosyjscy carowie Paweł I i Aleksander I. W Polsce do wolnomularzy należeli królowie: Stanisław Leszczyński i Stanisław August. Masonem był również Waszyngton. Do łóż wolnomularskich należeli najświetniejsi ludzie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, na przykład tacy twórcy, jak Kipling, La Fontaine, a w Polsce Aleksander Fredro, malarz Bacciarelli, poeta Książnin, Koźmian, Wężyk. Masonem był również Tadeusz Kościuszko, Cyprian Godebski, Kazimierz Pułaski, książę Adam Czartoryski, Józef Elsner, Tomasz Zań, Berek Joselewicz, książę Józef Poniatowski i wielu innych. A za granicą? Najświetniejsi poeci i pisarze: Mark Twain, Conan Doyle, Walter Scott, Swift, Beaumarchais, Beranger, Chamfort, Gautier, Stendhal, Wolter, Goethe, Puszkina. Pociągały ich masonskie hasła wolności, równości i miłości między ludźmi. Ale — jak już powiedziałem — wolnomularstwo było wielorakie i bardzo zróżnicowane. Masoni tworzyli organizację tajną, zbudowaną hierarchicznie, to znaczy, jej członkowie przechodzili przez różne kolejne stopnie wtajemniczenia. W poszczególnych krajach i miastach lub rejonach tworzyli oni loże, do których wchodziłi uczniowie, czyli terminatorzy, czeladnicy, i majstrowie, czyli mistrzowie. Na czele stał wielki mistrz i mistrzowie deputowani. Podczas zebrań obowiązywał ich tajemniczy i bogaty obrządek, czyli rytuał, przywdziewali nawet specjalne stroje. Opis tych obrzędów znaleźć można w *Popiołach* Stefana Żerom-

skiego. Co zaś się tyczy wolnomularstwa w Polsce... — urwałem. — O tym to już może innym razem — machnąłem ręką, bo i mnie samego znudził ten wykład.

W kuchni dworskiej przez dłuższą chwilę trwało milczenie. Przerwała je dopiero panna Marysia, w zamyśleniu potrząsając jasną główką.

— Pan bardzo ciekawie mówił o masonach. Ale co to ma wspólnego z zagadkami, jakie zauważyliście w waszym dworze? Tajemniczy osobnik nakreślił Czerskiemu na kartce jakiś znak, który pan rozszyfrował jako wolnomularski. Inny znak, również wolnomularski, narysował mu Czerski w odpowiedzi. I co z tego? Czy pan myśli, że to masoni palili światło w opieczętowanym domu, powodowali nocne hałasy w bibliotece i zabrali z łazienki gąbkę?

Uśmiechnąłem się, skinąłem głową.

— Ależ ja wcale nie uważam, że masoni zakradają się nocą do naszego dworu. Może to panna Wierzchoń ma takie podejrzenia, skoro zabrała się do studiowania dziejów wolnomularstwa. Co do mnie, miła pani, raczej sędzę, że zagadkowe sprawy, o których opowiadał pani kolega Bigos, są dziełem naszej wyobraźni. Po prostu lubimy się trochę straszyć — roześmiałem się nieszczerze. — Dla pani również postaramy się o ducha. Znakomitego — zapewniłem ją.

— Są u nas duchy czy ich nie ma, wypijmy — zaproponował Bigos, sięgając po butelkę burgunda.

Rozlał wino do czterech szklanek. I wtedy usłyszeliśmy głośnie walenie do frontowych drzwi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — mruknął Bigos i ani myślał ich otworzyć.

Poszedłem do sieni i po chwili wprowadziłem do kuchni Antka, syna kierownika ośrodka wczasowego, i trzynastoletnią Zosię, jego koleżankę z klasy.

— Wracamy z próby kółka dramatycznego w szkole — wyjaśniła nam Zosia, dziewczynka z długim, ciemnym warkoczem. — Chcemy zagrać *Balladyne*. Ja będę *Balladyną*.

— Nie chwał się — skarcił ją Antek.

— Nie chwałę się, tylko tłumaczę, dlaczego wędrujemy po nocy. Nie chciałabym, żeby państwo o nas myśleli, że jesteśmy włóczęgami.

— O, nigdy by mi to przez myśl nie przeszło! — zapewniłem ją, uprzejmie zapraszając obydwójce, aby usiedli na ławie, blisko ciepłego pieca.

Antek rozejrzał się po kuchni. Zauważyłem, że na widok otwartej butelki wina przez jego twarz przemknął wyraz niezadowolenia.

— To tylko skromny poczęstunek — czułem potrzebę wytłumaczenia się przed nimi.

— Słyszałem, że wino szkodzi na nerki — powiedział Antek.

Bigos zaoponował:

— Mnie tam nie szkodzi. No to cyk, panie kustoszu — i podniósł do góry szklankę.

Zosia usiadła na brzeżku ławy, skubnęła koniec swojego warkocza.

— Gdyby nie to, że już postanowiłam zostać aktorką, chętnie pracowałabym jako kustosz w takim starym dworze. Podoba mi się tutaj.

— Och, zapewniam cię, że ta praca też ma swoje złe strony — odpowiedziałem.

Potem nastąpiła dłuższa chwila ciszy, ponieważ nie bardzo wiedzieliśmy, o czym rozmawiać z tymi młodymi ludźmi.

— Czy duchy dały znać o sobie? — odezwał się Antek.

— Jesteśmy tą sprawą zainteresowani — dodała Zosia. — Jeśli tu będą duchy, turyści zyskają jeszcze jedną atrakcję i zjadą tłumnie do naszych domów wczasowych. Moja mama prowadzi stołówkę — dorzuciła, jakby to miało ostatecznie wyjaśnić jej zainteresowanie duchami.

Postanowiłem wykręcić się od zdecydowanej odpowiedzi.

— Jeśli chodzi o duchy — zacząłem — sytuacja jeszcze się nie wyklarowała. Natomiast mamy inną ciekawostkę. Panna Wierzchoń słyszała „głosy”.

— Głosy? — Zosia aż usta otworzyła, tak była zdumiona.

— Jak święta dziewica Joanna d’Arc — dodałem.

— Pani ma halucynacje słuchowe? — rzeczowo zapytał Antek. — Coś niecoś na ten temat czytałem, ponieważ w przyszłości zamierzam zostać lekarzem.

Panna Wierzchoń była na mnie bardzo oburzona.

— No wie pan, panie kustoszu! Pan mnie usiłuje ośmieszyć i skompromitować!

— Przecież mówiła mi pani o tych głosach — zakłopotalem się. Wcale bowiem nie chciałem jej ośmieszyć.

— Powiedziała panu o tym w zaufaniu, jako o dziwnym zjawisku. A pan zaraz trąbi o tym na prawo i lewo.

— Powiedziała pani o tym zdarzeniu koledze Bigosowi — broniłem się — a on w zaufaniu opowiedział o tym pannie Marysi. Ja również w zaufaniu zwierzyłem się koledze Antkowi i koleżance Zosi. Czy nie tak?

— Można nam ufać — kiwnął głową Antek. — A swoją drogą, to zdumiewające. Jakiego rodzaju to były głosy? Męskie? Kobięce?

— Dostyc tego! — tupnęła nogą panna Wierzchoń. — Bigos, skocz do swego pokoju po gitarę. Należy zmienić repertuar na dzisiejszy wieczór. No, dzieciaki, co was do nas sprowadza? Wyłóżcie kawę na ławę — mruknęła zagniewana pytaniami Antka.

I źle zrobiła, bo nic bardziej nie złości młodych ludzi, jak lekceważenie.

Antek nadał się, aby wyglądać poważnie. Usiłował nadać swemu głosowi grube brzmienie, ale jak na złość powiedział piskliwie:

— Mamy sprawę do pana kustosza. Poufną. Chcielibyśmy porozmawiać z panem na osobności — zwrócił się do mnie.

Bigos załamał ręce:

— O rany! Jeszcze jedni z nową tajemnicą. Uśmiechnąłem się do dzieciaków i skinąłem, żeby wyszli ze mną do sieni.

Bigos, Marysia i panna Wierzchoń przyjęli to niemal z radością. Bardzo im się śpieszyło do wypicia starego burgunda.

W sieni znajdowała się niewielka wnęka z drewnianą ławą, rzeźbioną w dwa słońca z długimi promieniami. Usiedliśmy. Starąłem się przybrać poważny, pełen skupienia wyraz twarzy.

— Byłem świadkiem pana rozmowy z moim ojcem — rzekł Antek. — Opo-
wiadał o zagadkowych znakach, które narysował przyjezdny w chwili śmierci pa-
na Czerskiego. Zosia i ja znamy tę historię dość dokładnie. Otóż, proszę pana, my
tego człowieka widzieliśmy wówczas, ponieważ w chwili śmierci pana Czerskie-
go kręciliśmy się po parku. To znaczy, widzieliśmy nie jego, ale jego samochód.

— Valcone — dorzuciła Zosia. — Ja będę miała taki sam, jak zostanę słynną
aktorką.

— Otóż ten człowiek przyjechał dzisiaj do Janówki i zatrzymał się w naszym
domu wczasowym.

— Ten sam?

— Tak. Ojciec go poznał. I my. Ma zresztą ten sam samochód, marki valcone.
Jak pan sądzi? Po co on tu drugi raz przyjechał? W dwa tygodnie po śmierci pana
Czerskiego?

— Może mu się tu bardzo podobało? — bąknąłem.

Och, ileż ironii zabrzmiało w głosie Antka:

— I pan w to wierzy?

— To jakaś podejrzana historia — gorączkowo rzekła Zosia. — Czy nie po-
winniśmy go obserwować?

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Jestem przeciwnikiem wplątywania
młodzieży w jakieś takie historie.

— Obserwować go? — zastanawiałem się głośno. — Może określenie to nie
jest właściwe. Po prostu, w chwilach wolnych od nauki zwróćcie na niego uwagę.

— Panu chodzi o określenie, czy o stan faktyczny? — przyparł mnie do muru
Antek.

— O jedno i o drugie. Nie wolno go śledzić ani obserwować. Ale można zwró-
cić na niego uwagę.

— Przecież to jasne, że jemu chodzi o dwór w Janówce — stwierdził An-
tek. — Przyjechał do pana Czerskiego, żeby z nim coś załatwić. Ale pan Czerski
był już sparaliżowany. I nic nie dało się załatwić. Więc może teraz próbuje. . .

— Z Czerskim? Myślicie, że on ma takie możliwości?

— Niech pan nie kpi. Z panem będzie próbował. . .

— Albo z pana współpracownikami — dorzuciła Zosia.

Chrząknąłem.

— To się nie uda. Ale dziękuję za informacje. Zostałem ostrzeżony i postaram się być czujny.

— Gdyby się zdarzyło coś ciekawego, to pana odwiedzimy — zapewniła mnie Zosia. — A teraz pójdziemy, bo się późno zrobiło.

Zajrzałem do kuchni — trzy szklanki były już opróżnione, tylko moja czekała.

— Zosia i Antek idą do domu. Może i pani pójdzie z nimi? — zwróciłem się do Marysi. — Jest bardzo ciemno. Razem będzie wam raźniej.

— Wyprasza mnie pan? Dobrze. Pójdę. Ale przedtem niech pan się ze mną napije.

Bigos dolał wina do pustych szklanek. Wypiliśmy.

— Na pohybel duchom! — zawołał Bigos, głośno stawiając na stole pustą szklankę.

Wino było gorzkie, wstrętne.

— Obrzydliwe — powiedziałem.

— Burgund? Tak pan mówi o autentycznym burgundzie? — zdumiał się Bigos. — A już sądziłem, że pan się na tym zna. To stare, dobre wino.

— Świństwo! — burknąłem.

Odprowadziłem Zosię, Marysię i Antka do frontowego wyjścia. Zaryglowałem starannie drzwi. Ale nie od razu wróciłem do kuchni. Prędyutko skoczyłem do swego pokoju i spod szezlonga, na którym sypiałem, wyciągnąłem gąbkę. Albowiem to ja ją ukradłem z łazienki. Oczywiście nie z chęci zysku, lecz jeśli się tak wolno wyrazić: „pro publico bono”, czyli dla dobra społecznego. Dywanik z gąbki zaniósłem na górę do biblioteki i położyłem w wąskim przejściu między fotelem a kominkiem. „Duch” stracił tam gitarę z fotela.

Potem z pięciu tub wycisnąłem na dywanik chlorofilową pastę do zębów. Esy i floresy wyciśniętej pasty ułożyły się na dywaniku w przedziwny i nawet ładny wzór. Powstała jakby nowoczesna kompozycja malarska.

„Mam talent” — pomyślałem nie bez dumy.

Błądzący po bibliotece „duch” musiał wejść na dywanik i wdepnąć na pastę, która powinna przylepić się do jego butów. Wydawało mi się, że w ten sposób dowiem się nareszcie, dokąd on odbywa swoje nocne spacerki i w którym miejscu znika. Nie chciałem użyć pasty białej, miętowej, ponieważ wypełniłaby całą bibliotekę zapachem mięty, co mogłoby wzbudzić w „duchu” podejrzenia. Zielona pasta tak nie pachniała i nie rzucała się w oczy.

Zadowolony z przygotowanej pułapki, zgasłem światło w bibliotece i pogwizdując radośnie, zbiegłem na dół, do kuchni.

Panna Wierzchoń siedziała przy piecu z miną osowiałą. Bigos głośno ziewał.

— Uprzejmie proszę — oświadczyłem rozkazującym tonem — aby dzisiejszej nocy duch mógł grasować w zupełnym spokoju. Niech hałasuje w bibliotece i w ogóle robi co chce. Duch jest nam potrzebny.

— Jestem taka śpiąca, że może choćby na głowie stawać, a ja nie ruszę się z łóżka — powiedziała panna Wierzchoń.

I zaraz pomaszerowała spać do swego pokoju. Za nią poszedł Bigos, pozostawiając na stole nie dopitą butelkę burgunda. Był już chyba w letargu, bowiem szedł z zamkniętymi oczami, obijając się o ściany.

Ja również nagle poczułem się bardzo śpiący. O szyby dzwonił cichy, jesienny deszcz. Pomyślałem, że to chyba brzydka, słotna pogoda spowodowała w nas ociężałość.

Zgasilem światło w kuchni, a potem w sieni dworskiej. Gdy dowlokłem się do swego posłania, odczuwałem już taką senność, że z największym trudem rozebrałem się i wlałem do spiwora. Zasnąłem natychmiast, jakbym zapadł się w studnię bez dna.

Już nie pamiętam, co mi się śniło. Ale chyba coś straszego. Męczyły mnie jakieś widziadła, które maszerowały po mnie całymi hordami.

Obudził mnie głośny łomot. Czułem ogromny ból głowy i ciało miałem jak rozbite przez hordy koszmarów. W myślach okropny zamęt, z największym wysiłkiem uświadomiłem sobie, że jest już jasny dzień i ktoś dobija się do frontowych drzwi.

W pidżamie i nocnych pantoflach wyskoczyłem do sieni i przekręciłem klucz w zamku. Przed drzwiami stał jakiś mężczyzna.

— Co się stało? — zapytał z niepokojem. — Wałę w te drzwi już chyba z dziesięć minut i nikt nie otwiera. A mam do państwa depeszę z Łodzi.

Zerknąłem na zegarek i przeraziłem się: dochodziła już dziesiąta. Prędiutko podpisałem listonoszowi pokwitowanie, rzuciłem okiem na treść depeszy: „*Przyjeżdżajcie wszyscy dziś do Łodzi. Miejsca w Grand Hotelu i bilety do teatru zarezerwowane. Jutro rano konferencja w sprawie muzeum. Naczelnik Wydziału Kultury WRN.*”

Schowałem depeszę do kieszeni pidżamy i podreptałem do pokoju panny Wierzchoń. Spała. To samo robił także kolega Bigos. A przecież już od dwóch godzin powinniśmy gorliwie pracować.

Dużo wysiłku musiałem włożyć w obudzenie ich. Wstali z łóżek trzymając się za bolące głowy, twarze mieli ziemiste jak po chorobie.

— Ten burgund mi zaszkodził — jęczała panna Wierzchoń.

I mnie w tej samej chwili podobna myśl przyszła do głowy.

— Wino było zatrute! — krzyknąłem. — Ktoś rozpuścił w nim dużą ilość środków nasennych.

Cała nasza trójka popędziła do kuchni, gdzie na stole pozostawiliśmy wczoraj butelkę starego burgunda z nie dopitą resztką wina.

Ale butelka była pusta, ba! starannie wypłukana wodą.

— Pan nie wypił wszystkiego po naszym odejściu? — zapytała panna Wierzchoń.

— Nie. Ktoś wylał resztkę wina i umył butelkę, żeby usunąć wszelkie dowody. Ale i ja zastawiłem pułapkę! — wyprężyłem się dumnie. — Gąbkę z łazienki rozłożyłem w bibliotece i wycisnąłem na nią pięć tub chlorofilowej pasty do zębów. Nocny gość musiał na nią wdepnąć i znajdziemy jego ślady.

Pobiegliśmy na górę do biblioteki. Gąbka leżała tam, gdzie ją wczoraj wieczorem położyłem: między fotelem a kominkiem. Na chlorofilowej paście zaznaczał się wyraźnie ślad czyjegoś buta. Ktoś nocą wszedł na gąbkę i pasta przylepiła mu się do podeszew. Pozostawiając na podłodze zielonkawe ślady, tajemniczy osobnik obszedł stół w bibliotece i skierował się do drzwi.

— Ostrożnie! — wrzasnąłem na Bigosa i Wierzchoń. — Nie zadcpeczcie tych śladów. To są wizytówki ducha.

Duch wyszedł na korytarz, potem po schodach powędrował do sieni. Ślady w sieni prowadziły do drzwi mojego pokoju.

— Odwiedził pana nocą — ze strachem stwierdziła panna Wierzchoń. — To chyba bardzo przerażające zobaczyć ducha obok swojego łóżka.

Jej przerażenie jeszcze wzrosło, gdy przekonaliśmy się, że ślady wiodły wprost do mego szezlongu i urywały się przy moich butach, stojących jak dwaj żołnierze na warcie.

Wziąłem je do ręki. Na podeszwach moich butów widniały ślady chlorofilowej pasty...

— Pan sobie z nas zakpił — rzekł kolega Bigos.

— Pan jest lunatykiem — burknęła panna Wierzchoń.

Przyłożyłem dłoń do piersi:

— Przysięgam, że nocą nigdzie nie chodziłem. Duch spletał mi głupiego figła. Ale oni mi nie wierzyli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DZIWIY SALI BALOWEJ • „ŚWIĄTYNIA DUMANIA” • ZŁAMANA STRZAŁA • NOC ŚPIĄCYCH RYCERZY • ZAGADKA Z KLUCZAMI • KTO KOGO PODEJRZEWA • CO ZNALAZŁA BALLADYNA • BUNT I GROŹBY MOICH WSPÓŁPRACOWNIKÓW • CZY JESTEM PODEJRZLIWY? • CO SIĘ STAŁO W TEATRZE • WYŚCIGI Z VALCONEM • KTO BYŁ WE DWORZE? • GDZIE JEST DEPESSA?

Aż do południa czułem się fatalnie. Bolała mnie głowa, byłem wciąż śpiący i otępiały. Podobnie czuli się moi współpracownicy. Z największym wysiłkiem dokonaliśmy stosunkowo niewielkiej pracy — opisu i inwentaryzacji sali balowej. A choć potem pozostało nam do obiadu jeszcze sporo czasu, zamiast kontynuować inwentaryzację poszedłem na spacer do parku, aby łykami świeżego powietrza spróbować wypędzić ból z głowy.

Lecz gwoli ścisłości opowiem o wszystkim po kolei.

W sali balowej uwagę moją zwrócił przede wszystkim dziwny wystrój wnętrza. Ściany pokrywała czarna boazeria z symetrycznie rozłożonymi na niej płaskorzeźbami, przeważnie o motywach liści. Na wpeł wypukłe kolumny dzieliły ściany na prostokątne pola o różnej szerokości, górą biegł fryz również drewniany, zdobny w motyw spiralnych zwojów wici i liści akantu. Cztery delikatnie rzeźbione kolumny drewniane wspierały niewielki balkonik, na który wchodziło się po krętych schodach drewnianych. Kiedyś, w dniach gdy odbywały się bale, zapewne urzędowała tu orkiestra. Na jednej ze ścian znajdował się ogromny kominek klasycystyczny z czarnego marmuru, z lustrem ujętym w pasy ozdobione ornamentem typu kandelabrowego — z liści dębowych i żołądzi; w konsolach wolutowych, podtrzymujących gzyms, przedstawione były snopy zboża. Identyczne zwierciadło wmontowane było w boazerię przeciwległej ściany. W polu nad zwierciadłem wyrzeźbiono w boazerii lirę w wieńcu laurowym, podkreślając chyba w ten sposób muzyczny, balowy charakter sali. Z sufitu zwieszały się dwa wielkie szklane świeczniki, wyposażone już jednak w światło elektryczne.

Umeblowanie sali prezentowało się bardzo skromnie: cztery krzesła empirowe i do kompletu kanapka oraz fotel. Mebelki były białe, ze złoceniami, obicia miały szkarłatne.

Ta odrobina bieli i szkarłatu na tle czarnych, drewnianych ścian tworzyła ciekawą, lecz nie zamierzony chyba efekt: jeszcze bardziej podkreślała czerń. Sala balowa wydawała się ponura, co chyba sprzeczne było z założeniem jej budowniczych, miała przecież raczej wesołe przeznaczenie. Trochę dziwiłem się upodobaniom dawnego właściciela dworu w Janówce. Ale może w świetle żyrandoli, przy dźwiękach muzyki sala ta przybierała odmienny wygląd?

Niezależnie jednak od moich wrażeń, cieszyłem się, że jest. Świetnie nadała się na główną salę ekspozycyjną muzeum. Można w niej było rozstawić oszklone gabloty i regały z eksponatami dla zwiedzających.

Z ulgą ją jednak opuściłem i wyszedłem do parku, gdzie jasno świeciło słońce. Nie dawało już zbyt wiele ciepła, było nawet zimniej niż we wczorajszy deszczowy dzień. Ale z przyjemnością szedłem po zwałach zeschniętych liści, wdychałem chłodne powietrze późnej jesieni. Idąc tak wolniutko i słuchając szelestu liści pod nogami, wciąż rozmyślałem o minionej nocy.

Czy naprawdę wino zostało zatrute środkami nasennymi? A może po prostu nasze głowy nie są przyzwyczajone do starego burgunda i stąd ten mocny sen i poranna schorzałość?

Jeśli jednak ktoś zatruił wino, zrobił to tylko w jednym celu: aby swobodnie krążyć nocą po naszym dworze. Śladów jednak żadnych nie pozostawił. To ja — a oskarżały mnie moje buty — polazłem nocą do biblioteki i wpadłem w przygotowaną przez siebie pułapkę. Po co tam poszedłem?

Nie! Mogłem przysiąc, że nie byłem nocą w bibliotece. Lecz jednocześnie jakąż miałem pewność, że stare wino nie podziałało na mnie aż w tak dziwny sposób? Może straciłem świadomość i nie wiedząc o bożym świecie, wędrowałem nocą po starym dworze?

Ale skutek tej sprawy był dla mnie dość przykry: moi współpracownicy znowu stracili do mnie zaufanie. Nie mieli go dawniej, potem zdobyłem go odrobinę, imponując im swoją wiedzą. A teraz straciłem i tę resztę przez kradzież gąbki z łazienki i zastawienie pułapki, w którą sam wpadłem. Na miejscu moich współpracowników uznałbym swoje zachowanie za co najmniej dziwne. Byłem pewien, że jeśli znowu zdarzy się coś niezwykłego, mnie za to obwinia.

Tak rozmyślając okrążyłem dwór i znalazłem się w ogrodzie.

Nikt go od lat chyba nie uprawiał, na grządkach i rabatach rósł wysoki po kolana chwast. Wiśnie, czereśnie, jabłonki i grusze miały wiele zmarzniętych i połamanych gałęzi, których nie usunęła ręka ogrodnika. Mały staw, usytuowany w ogrodzie, zarósł trzcinami, stał się bajorem, gdzie gniły jesienne liście.

Nad brzegiem stawu rosła kępa bżów i starych wierzb płaczących. Kryła ona mały budynek, być może „świątynię dumania” lub rodzaj „świątyni Sybilli”, zbudowanej w czasach, gdy właściciele takich dworków, a przede wszystkim ich małżonki rozczytywały się w sielankach pasterskich i w swych parkach pragnęły

posiadać romantyczne zakątki, niekiedy nawet ze sztucznymi ruinami, świątyniami, kaskadami szemrzących strumyków.

„Świątynia dumania” w ogrodzie w Janówce kształtem, swoim przypominała grobowiec, z tą różnicą, że jego kwadratowe pudło wsparte było kilkunastoma klasycystycznymi kolumnkami, a pod czterospadowym dachem przebiegał fryz z uskrzydłonymi gryfami, które wyglądały teraz, jakby przebyły ogromny kataklizm: miały połamane skrzydła, utracone nosy i uszkodzone szponiaste łapy. Cały zresztą ten budynek robił odpychające wrażenie. Był straszliwie odrapany; ongiś biały, teraz wyglądał jak ostrzelany seriami karabinów maszynowych.

Drzwi do „świątyni” były zupełnie nowe, z dębowych desek, zamknięte na zamek. Ktoś starannie zabezpieczył dostęp do wnętrza, co wydawało się tym dziwniejsze, że nie kryło ono żadnych cennych rzeczy. Przekonałem się o tym zaglądając przez małe okienka z wybitymi szybami. W niedużej salce wałały się połamane ławki ogrodowe i gipsowe rzeźby, które ongiś chyba stały w parku i ogrodzie. Zobaczyłem kamiennego lwa, kilka gipsowych figur bez głów i rąk, jakąś okulałą postać, będącą kiedyś zapewne pięknym Apollinem. Pod ścianą leżała naga Diana, a tuż obok stał Kupidyn, niestety, bezrobotny, bo z połamaną strzałą.

— Smutne to, prawda? — usłyszałem za swymi plecami głos panny Wierchoń.

Z okna swego pokoju zobaczyła, jak szedłem tutaj i też wyszła na spacer.

— Smuci mnie widok tych okaleczonych, bezużytecznych rzeźb — powiedziała. — Dawniej uważano, że są piękne. A teraz leżą tu jak umarłe, w grobowcu.

— Może nigdy nie były naprawdę piękne? — odrzekłem.

— Niech pan spojrzy na tego Kupidyna — zajrzała przez okienko do wnętrza. — Jak smutno pomyśleć, że jego łuk nie wypuści już żadnej strzały w niczyje serce.

— Och, tego nigdy nie można być pewnym — uśmiechnąłem się, bo bardzo podobały mi się jej słowa. — Niech pani raczej pomyśli: jego strzała tak głęboko utkwiała w czyimś sercu, że się złamała. Rozpałił jakąś wielką, romantyczną miłość. Sprawił komuś ból lub przyniósł wielkie szczęście. Lecz może nocą zakłada na cięciwę swego łuku jakąś inną strzałę. Niech pani tu nie przychodzi, aby pani nie trafił. . .

Zerknęła na mnie ciekawie, jakby mnie po raz pierwszy zobaczyła.

— Nie sądziłam, że pan jest romantykiem. . .

A gdy tak stała przede mną w szarym, jesiennym płaszczyku, z gołą głową i jasnymi, po chłopięcemu obcięzonymi włosami, z czerwoną apaszką pod szyją, wydała mi się nad wyraz ładna.

I być może właśnie w tej chwili powiedzielibyśmy sobie kilka ciepłych słów, po których stopniałyby lody pomiędzy nami. Ale przez ogród szedł ku nam sta-

ry Janiak. Maszerował szybko, jakby niepokoiło go, że tak długo stoimy obok świątyni, albo miał nam coś ważnego do powiedzenia.

— Czy pan się nie gniewa, że dziś jeszcze nie napaliłem w piecach? — zapytał z obawą w głosie. — Zaspałem. Zmógł mnie sen, dopiero przed chwilą się obudziłem.

— Nie pił pan wina? — zagadnęła go panna Wierzchoń.

A ja mruknąłem do siebie:

— To była noc śpiących rycerzy. . .

Janiak jeszcze bardziej się zaniepokoił:

— Pan, panie kierowniku, myśli, że jestem pijakiem? Nieprawda. Nie wiem, jak to się stało, ale obudziłem się bardzo późno.

Wzruszyłem ramionami.

— Przecież pan nie jest obowiązany palić nam w piecach. I nikt z nas nie może mieć pretensji, że pan długo śpi, jeśli ma pan na to ochotę.

— Ale ja napalę. Zaraz się za to wezmę. Czy można? — zapytał prosząco.

— Oczywiście — kiwnąłem głową. — We dworze jest kolega Bigos. Ma klucz od piwnicy z węglem.

Janiak chciał natychmiast ruszyć do dworu, lecz go zatrzymałem.

— Co to za budynek? — wskazałem „świątynię dumania”.

Spojrzał na mnie z takim zdumieniem, jakbym go zapytał: „Dlaczego słońce świeci?”

— Nie wiem, proszę pana. Zawsze tutaj stał. To pewnie stary lamus.

— Za mały na lamus. Zresztą lamus zbudowano by koło wozowni. Drzwi zrobiono nie tak dawno. A gdzie jest klucz do zamka?

Znowu wyraz zdumienia pojawił się na jego twarzy.

— Klucz musi być we dworze. Pan Czerski kazał te drzwi wstawić i założyć zamek.

Chciałem powiedzieć: „Te klucze zginęły”, lecz w dłoni panny Wierzchoń coś zabrzęczało. Wyjęła z kieszeni duży pęk kluczy. Tych samych, które uznałem za zaginione. Podając mi je, powiedziała:

— Leżały na pana biurku. Pan chyba źle ich szukał. . .

Długą chwilę dopasowywałem klucz do zanika. Okazało się jednak, że w tym dużym pęku brakowało klucza do drzwi „świątyni dumania”.

— Do tego zamka był mały, płaski klucz — rzekł Janiak.

— Czerski miał ten klucz w tym pęku, czy trzymał go gdzieś oddzielnie?

— Nie wiem, panie kierowniku. Gdy zrobiono drzwi, zamknął je i na tym koniec. Nie wiem, co zrobił z kluczem. Nie widziałem też nigdy, żeby choć raz otwierał drzwi i wchodził tutaj. Po co by zresztą miał tu wchodzić, między te rupiecie?

— A po co drzwi dorobił? Mówił coś na ten temat?

— Tak, panie kierowniku. Pan Czerski znalazł tutaj kiedyś rozbite butelki po winie i powiedział do mnie: „Wezwijcie, Janiak, stolarza, niech drzwi nowe doro-
bi. Nie będą mi tu pijacy urządzać libacji.”

— Ach, tak... — rozczarowałem się. Bo już mi się zdawało, że wpadłem na trop nowej zagadki.

Janiak poszedł do dworu. Panna Wierzchoń śledziła wzrokiem jego oddalającą się, przygarbioną sylwetkę. Potem zdecydowanym ruchem wsadziła obydwie ręce do kieszeni płaszczyka i ostro zwróciła się do mnie:

— Bardzo chciałabym wiedzieć, panie kustoszu, dlaczego tak usilnie stara się pan nam wmówić, że we dworze grasuje tajemniczy duch.

— Ja... wam... wmawiam? — wyjąkałem.

— Tak. Ani Bigos, ani ja nie zauważyliśmy śladów ducha. Lecz pan z uporem twierdzi, że we dworze dzieje się coś niesamowitego. Gdy przyjechaliśmy, to pan zaraz poszedł na górę szukać ducha i podniósł pan alarm, że ktoś był w bibliotece. To pan na serio potraktował opowieści o nocnych światłach w opieczętowanym dworze. To wreszcie pan nie przyznał się do kradzieży gąbki i zastawił pan pułapkę, która pana zdemaskowała. To pan twierdził, że klucze zginęły, a przecież leżały na pańskim biurku. To wreszcie pan mówił, że wino było zatrute. A my po prostu jesteśmy przyzwyczajeni do starego, mocnego burgunda.

— Ależ... panno Wierzchoń... — zacząłem.

Nie dała mi jednak możliwości wyjaśnień. Tupnęła nogą.

— We dworze nie dzieje się nic niesamowitego. Nic nie zginęło, nikt nie usiłuje niczego ukraść. A pan we wszystkich sprawach wietrzy jakieś tajemnice i zagadki, stworzył pan atmosferę podejrzliwości.

Czułem się bezbronny wobec tych oskarżeń. Bo w gruncie rzeczy ta dziewczyna miała rację. Tak na zdrowy rozum, jak dotąd, nie zdarzyło się nic złego. Zagadkowe znaki, słowa, które wypowiedział umierając Czerski? Zniknięcie piątego rozdziału z katalogu? Brak trzech książek? Ależ przecie po wielekroć sam sobie tłumaczyłem, że te sprawy zapewne mają jakieś bardzo proste wyjaśnienie.

— Żle się pracuje w atmosferze podejrzliwości — dorzuciła na koniec.

— Przepraszam. To się więcej nie powtórzy — powiedziałem z pokorą.

Poczerwieniała. Spodziewała się, że będę się bronił, a może nawet ją oskarżę o to samo, bo przecie i ona przyczyniła się do powstania atmosfery podejrzliwości. A ja zareagowałem zupełnie inaczej. Z pokorą. I przyjąłem winę na siebie, choć nie byłem całkowicie winien.

Zrobiło jej się trochę nieprzyjemnie. Obróciła się na pięcie i odeszła. A ja znowu rozpocząłem marsz po parku. Nie chciało mi się wracać do dworu, gdzie panna Wierzchoń i kolega Bigos, moi współpracownicy, zbuntowali się przeciw mojej „podejrzliwości” i uznali, że stworzyłem atmosferę, w której trudno im pracować.

Obszedłem dookoła stare dworzyszczce i znowu znalazłem się obok „świątyni dumania”. Wabiła mnie, intrygowała. Zastanawiałem się dlaczego nie znaleźliśmy klucza do jej zamka? Historia z kluczami także była dla mnie zupełnie niezrozumiała, bo przecież dałbym sobie głowę uciąć, że wczoraj nie leżały na moim biurku, szukałem ich i nie znalazłem. A panna Wierzchoń znalazła je bez trudu. „A może ona ma jednak całkowitą słuszność? Jestem zbyt podejrzliwy!” — pomyślałem.

Przez park wracali ze szkoły Zosia i Antek. Chłopak, jak przystało na rozsądnego człowieka, wędrował ścieżką. Natomiast dziewczyna przedzierała się przez krzaki i udając, że zrywa coś z bezlistnych gałązek, recytowała:

*Ach, pełno malin — a jakie różowe,
A na nich perły rosy kryształowe.
Usta Kirkora takie koralowe
Jak te maliny. . . Fiołeczki święte,
Wzdychacie próżno, bo ja nie mam czasu
Zrywać fiołków — bo siostrzyczka zbierze
Dzban pełny malin i powróci z lasu,
I weźmie męża, a ja z fiołkami
Zostanę panną. . . Choćbyście wy był,
Fiołki moje, złotymi różami,
Wolę maliny.*

Antek zauważył mnie, sterczącego obok odrapanego murku świątyni. Skrecił w moją stronę i z powagą podał mi rękę.

— Czy pan nie sądzi, że ona okropnie się zgrywa? — zapytał.
Zosia zmieniła nagle tembr głosu. Z Aliny stała się Balladyną:

*Jak mało malin, a jakie czerwone
By krew. — Jak mało — w która pójde stronę?
Nie wiem, a niebo jakie zapalone?
Jak krew. . . Czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną, niż taki poranek. . .
Gdzie moja siostra? Musiała na prawo
pójść i napętnić malinami dzbanek;
A ja wśród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i lzy gubię w rosie. . .*

Dziewczynka nagle pochyliliła się ku ziemi i podniosła coś spod krzaka.

— Fiuuu! — gwizdnęła. — Spójrzcie, co znalazłam! Na dłoni trzymała gruby długopis, podobny do rakiety.

Antek wziął go od Zosi, obejrzał.

— „Made in Italy” — przeczytał. — Firma „Walker”. Jedenaście kolorów. Bardzo piękny długopis.

— I nawet wiem, kto go zgubił — rzekła Zosia. — Ten pan, który wczoraj wieczorem przyjechał w gościnę do pana z valconem. Zanim poszliśmy na próbę do szkoły, mama prosiła, żebym temu gościowi zaniosiła kolację do jego pokoju, bo on powiedział, że źle się czuje. Był u niego jakiś pan i takim długopisem rysował coś na kartce.

Antek pokręcił głową.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ten pan przyszedł tutaj wieczorem albo w nocy i zgubił długopis?

— Przecież nie ma innego wytłumaczenia — zachnęła się Zosia. — Wieczorem długopis u niego widziałam. A teraz znalazłam go w krzakach.

— Teraz jest południe — zauważyłem. — Mógł przyjść rankiem na spacer do parku.

— I przedzierał się przez krzaki? Gdyby tu był rano na spacerze, to by zauważył, że mu wypadł długopis.

— Niekoniecznie — stwierdziłem.

— A właśnie, że był tu nocą — upierała się Zosia. — Nie macie żyłki detektywistycznej. Przecież on nie nocował w Janówce. Po prostu odwiedził pana z valconem i mógł być u niego tylko do dziesiątej wieczorem, ponieważ u nas wolno gości przyjmować tylko do dziesiątej. Wtedy zapewne opuścił pana z valconem i przyszedł do parku.

Postanowiłem skończyć z podejrzliwością.

— To był zapewne ktoś mieszkający we wsi, w Janowie. Zasiedział się u pana z valconem, potem zaś, żeby skrócić drogę, poszedł nocą przez park. Zgubił ścieżkę w mroku, wlaźł w krzaki i tu zgubił długopis.

— Zgoda! — roześmiała się Zosia. — Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, że ten pan nie jest mieszkańcem Janowa. My tam prawie wszystkich znamy, panie kustoszu. A poza tym on przyjechał do pana z valconem własnym samochodem, wartburgiem. I nie musiał iść pieszo przez park.

Schowała długopis do kieszeni płaszcza.

— Zwrócę mu go, gdy znowu przyjedzie odwiedzić naszego gościa.

— A jeśli nie przyjedzie?

— Oj, wydaje mi się, że on jednak znowu nas odwiedzi. A jeśli nie, oddam długopis panu z valconem. Ciekawa jestem, jaką zrobi minę, gdy powiem, gdzie znalazłam długopis.

I Zosia nagle zwróciła się wprost do mnie:

— Jak sprawa z duchami, panie kustoszu?

— No cóż... — zastanawiałem się, czy opowiedzieć im o historii ze śladami moich butów i zatrutym winem. — Wydaje mi się, że dziś w nocy duchy wypo-
czywały.

— Tak? — powątpiewała. — Bo w moim i Antka przekonaniu, duchy powin-
ny się coraz częściej pojawiać. Nie wierzę, aby pana z valconem urzekło piękno
naszej Janówki. Przyjechał tu, gdy Czerski umierał, nie zdołał się z nim poroz-
umieć, ale chce tę swoją sprawę załatwić. Więc przybył powtórnie. I ten jego
znajomy to też jakiś podejrzany typ...

— Dlaczego zaraz „podejrzany”? — oburzył się Antek.

— Kręcił się nocą po krzakach w parku. Dlatego uważam go za podejrzanego.

Po pensjonarsku dygnęła na pożegnanie, a Antek z powagą podał mi rękę.
I znowu on poszedł ścieżką, a ona przez krzaki, recytując z *Balladyny*:

Ach, pełno malin — a jakie różowe. A na nich perty rosy kryształowe...

Tak wymownie nachylała się nad gałązkami krzaków, że nawet ja zerknąłem
na nie uważnie, szukając czerwonych kulek malin. A przecież była już późna
jesień i w ogóle w ogrodzie nie rosły maliny, tylko krzaki śliwy syberyjskiej, bez-
listne już zresztą, jak umarłe. Uśmiechając się pod nosem poszedłem do dworu,
była już bowiem pora, gdy należało wyruszyć na obiad do Janówki.

Trochę musieliśmy poczekać, póki Janiak nie skończył palenia w piecach.
Dlatego nieco później niż zwykle znaleźliśmy się w jadalni domu wczasowego
„Postęp”. Wczasowicze już chyba zjedli obiad, na sali siedziała tylko Marysia —
zapewne czekała na nas. Była blada, z podkrążonymi oczami.

— Okropnie się czuję po tym waszym burgundzie — powiedziała do nas z wy-
rzutem.

— My też — odrzekłem.

— Boli mnie głowa. Rano nie mogli mnie dobudzić.

— Nie jesteście przyzwyczajeni do starych win — powiedział Bigos. —
Wprawdzie pan kustosz twierdzi, że wino było zatrute, ale moim zdaniem, nie
ma do tego żadnych podstaw.

— Zatrute?

— Pan kustosz jest podejrzliwy — wtrąciła panna Wierzchoń — i we wszyst-
kim wietrzy działalność ducha. Ten duch odpowiada za najróżniejsze sprawy. Za
gąbkę z łazienki, za zawieruszone klucze...

— Czy duch był znowu? — zainteresowała się Marysia.

— Pan kustosz ma urojenia — lekceważąco machnął ręką Bigos.

Odtąd i panna Marysia zaczęła się do mnie odnosić z pobłażliwością, jak do
człowieka nie nazbyt rozsądnego. Ton ironii zabrzmiał również w jej głosie, gdy
zapytała, czy kupiłem segregatory. A więc już jej powiedzieli o mojej skłonności
do urzędniczenia?

— Owszem, mamy segregator — kiwnął głową kolega Bigos. — Brakuje nam tylko pism i korespondencji, które można by do niego wpinać.

— O, przepraszam — powiedziałem. — Początek został zrobiony. Dziś rano przyszło pismo, a właściwie telegram, który wpiąłem do segregatora. Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi zaprasza nas na naradę, na jutro rano. Wprawdzie w tym telegramie proszą, aby przyjechać do Łodzi jeszcze dziś wieczorem, są bowiem dla nas zarezerwowane miejsca w hotelu i bilety do teatru, lecz nie widzę powodów do pośpiechu. Jeśli wyjedziemy o szóstej rano, zdążymy moim samochodem na godzinę ósmą. Nie chciałbym w nocy pozostawiać dworu bez opieki.

Bigos i panna Wierzchoń przez chwilę aż zaniemówili ze zgrozy. A potem krzyknęli na przemian:

— Chce nas pan pozbawić kulturalnej rozrywki? Mamy okazję pójść do teatru, a pan nam to uniemożliwia? Żyjemy jak pustelnicy w tym strasznym dworze, świata bożego nie widzimy, a pan nam odbiera jedyną okazję rozrywki kulturalnej! Dworu nikt nie wyniesie na plecach, zamkniemy drzwi i okiennice.

— Rzecz w tym, że przenikają przez zamknięte drzwi — zaoponowałem.

— Co? — zdumiała się panna Wierzchoń. — Więc pan naprawdę wierzy w duchy? O, Boże — złożyła ręce jak do modlitwy. — I takich ludzi mianują kustoszami muzeów prowincjonalnych.

— Pani też słyszała głosy — odciąłem się.

Panna Marysia parsknęła cichym śmiechem. A koleżanka Wierzchoń, rozszerzona do ostateczności, wzięła się pod boki i rozpoczęła dłuższe przemówienie:

— A owszem. Słyszałam owe „głosy”. Ale dlaczego słyszałam? Bo mam słaby charakter, od dzieciństwa uważano, że łatwo poddaję się wpływom innych ludzi. Można mi zasugerować różne rzeczy i poglądy. Pan, panie kustoszu — wyciągnęła w moim kierunku wskazujący palec, jak oskarżyciel w sądzie — pan stworzył w naszym dworze atmosferę niesamowitości i grozy. I w tej atmosferze usłyszałam „głosy”. Nie tyle usłyszałam, ile wydawało mi się, że je słyszę. Lecz pan za to odpowiada. Tylko pan. A może pragnie pan, abyśmy złożyli skargę do dyrektora Marczaka, że pozbawia nas pan rozrywek kulturalnych i straszy nas pan duchami?

Kolega Bigos nie groził. Spróbował przemówić mi do rozsądku:

— Jaką mamy gwarancję, panie kustoszu, że nawet wyjeżdżając o szóstej rano, zdążymy jutro na godzinę ósmą? Przecież sam pan wie, z jaką szybkością jeździ pana samochód. Wciąż grozi katastrofą. Po co się narażać? Po co ryzykować? Czy nie lepiej jeszcze dziś, spokojnie pojechać do Łodzi i zamieszkać w hotelu? Tym bardziej, że Wydział Kultury opłacił już nasz pobyt i nawet kupiono bilety do teatru. Chce pan Skarb Państwa narazić na straty za nie wykorzystane miejsca w hotelu, za puste miejsca w teatrze?

Czułem się pokonany. Pokornie pochyliłem głowę.

— Dobrze. Pojedziemy dzisiaj do Łodzi.

Skończyliśmy obiad i pożegnawszy się z panną Marysią, szybkim krokiem ruszyliśmy do dworu. Szczególnie śpieszyło się pannie Wierzchoń, która chciała przed wyjazdem zrobić sobie odpowiednią fryzurę. Również i kolega Bigos, zazwyczaj tak lekceważący własny wygląd, tym razem zapragnął odprasować spodnie.

Te przygotowania zajęły im dużo czasu. Lecz, mimo że w starym dworze czekało na mnie sporo zajęć, spędziłem ten czas na jałowych rozmyślaniach w krześle przed kolbuszowskim biurkiem. Tępo wpatrywałem się w głowę Wergilego i wysiłałem mózgownicę, żeby znaleźć wreszcie jakiś klucz do zagadek niesamowitego dworu.

Ot, choćby sprawa kluczy. Przenosząc biurko z gabinetu Czerskiego, zabrałem również pęk kluczy. A potem klucze gdzieś zniknęły i raptem znalazły się znowu na biurku.

Albo inna sprawa. Czyż naprawdę tej nocy poszedłem do biblioteki i wlażem w zastawioną przez siebie pułapkę?

Uderzyłem pięścią w kolbuszowskie biurko. „Wszystko tu jest tajemnicze i niesamowite” — mruknąłem ze złością.

Siedząc w krześle podejrzliwym okiem łapałem na stary, solidny mebel, zrobiony przez rzemieślników z Kolbuszowej. Może i w nim kryła się jakaś zagadka?

Może znajdowała się w nim skrytka? O ile jednak orientowałem się w historii meblarstwa, stolarze z Kolbuszowej nie gustowali w tego rodzaju sztuce. Byli to solidni rzemieślnicy, robili meble duże, ciężkie, trwałe, a jednocześnie niepowtarzalne. To aż dziwne, że w XVIII wieku stolarze z małej miejsciny, położonej w bliskości dawnej Puszczy Sandomierskiej, potrafili tworzyć dzieła tak odmienne od ówczesnych wzorów, tych zwłaszcza, jakie lansowano we Francji. Nie znajdzie się w ich meblach tak modnych wówczas w Europie inkrustacji i bogactwa okuć. Charakterystyczną cechą ich wyrobów było fornirowanie powierzchni, przeważnie jasnym orzechem, czasami przyciemnionym, niekiedy jesionem, trześnią, czeczotą topolową i brzożową. Ich okładziny, rżnięte dość grubą piłą na niewielkie kawałki, musiano układać w ramki i paski, a tym samym podkreślano podział konstrukcyjny mebla. Ozdabiała je intarsja o motywach wstęgowych, geometrycznych i roślinnych. Używano do niej kolorowego drewna, przeważnie wiśni, trześni, gruszy, śliwy, jasnego jaworu, purpurowego cisu, czarnej dębiny.

Wzór na biurku Czerskiego był bardzo ładny, przypominał słoneczko z promieniami, ułożonymi z maleńkich, na przemian jasnych i ciemnych kawałków drewna. Ale, jak zwykle w wyrobach kolbuszowskich, wyraźnie uwidoczniła się konstrukcja całego mebla, świadcząca, że biurko Czerskiego nie zawiera żadnej skrytki. Nie to kolbuszowskie biurko było więc powodem odwiedzin „ducha” w moim pokoju.

Popadłem w tak głębokie zamyślenie, że nawet nie usłyszałem pukania do drzwi.

— A pan ciągle urzęduje — stwierdziła złośliwie panna Wierzchoń.

Była już starannie uczesana, w białej bluzeczce z małą aksamitką pod szyją. Po chwili wszedł za nią kolega Bigos. Jak przewidywałem: dla odmiany przypominał teraz młodych ludzi z kawiarni „Pod Ormianinem”, tych w koszulach non-iron. Niestety, włosy miał nadal zmierzwione, tyle tylko, że nad czołem uformował sobie przedziwny, falujący lok.

Niemal jak wezwanie do boju, rzucił w moją stronę:

— Jedziemy do Łodzi. Okazuje się, że ktoś o nas dba i nie pozwoli nam uschnąć na tej pustyni kulturalnej.

— To ten dwór, pełen starych mebli i książek, nazywa pan „Pustynią kulturalną”? — zdumiałem się.

— Odczuwam brak rozrywek.

— A duchy? — zapytałem.

Bigos spoważniał, panna Wierzchoń ściągnęła brwi.

— Umówmy się, że nie będziemy więcej poruszać tego drażliwego tematu. Czy nie sądzi pan, że najwyższa pora wyjechać do Łodzi? Aktorzy w teatrze nie zechcą na nas czekać.

Podzwaniając kluczami, przespacerowałem się po starym dworze. Kolejno zamykałem drzwi do wszystkich pokojów na piętrze i na parterze. Potem włożyłem płaszcz i wyszliśmy do parku. Starannie zamknąłem drzwi frontowe, wyprowadziłem wehikuł z wozowni.

Na dworze snuł się już mrok, w małym pokoiku w oficynie zapaliło się światełko.

— Może uprzedzić Janiaka, że wrócimy dopiero jutro? — zaproponowała panna Wierzchoń.

— Nie, nie, w żadnym razie — zaproponowałem. — Nie widzę potrzeby, aby ktokolwiek wiedział, że opuściliśmy dwór. Niech ci, którzy się nami interesują, sądzą, że wyjechaliśmy na krótko do miasta.

Panna Wierzchoń westchnęła ciężko, sadowiąc się w wehikule:

— Jakże miłym człowiekiem stałby się pan, gdyby nie podejrzliwość.

Wyjechaliśmy na szosę. Bigos swoim zwyczajem zawołał:

— Stówą, panie kustosz!

Ale zaraz machnął ręką z największą rezygnacją. Znowu bowiem jechałem bardzo wolno, nie przekraczając czterdziestki. Od czasu do czasu wyciskałem sprzęgło, jednocześnie dodając gazu, co powodowało, że silnik zaczynał wyć. Niekiedy raptownie puszczałem sprzęgło. Wówczas panna Wierzchoń składała ręce jak do modlitwy i mówiła błagalnie:

— Żeby się tylko nie zepsuł na drodze... Żeby się tylko nie zepsuł, bo stracimy bilety...

Wkrótce znudziła mi się ta zabawa, a poza tym szkoda mi było samochodu, dodałem więc nieco gazu i przekroczyłem trochę pięćdziesiątkę. Panna Wierzchoń odetchnęła z ulgą.

Zerknąłem na nią kilkakrotnie i stwierdziłem, że wygląda dziś bardzo ładnie, ba! nawet uroczo. Kiedy wozem szarpało, przypominała małą, zatroskaną dziewczynkę. Nagle uprzytomniłem sobie, że panna Wierzchoń dopiero co ukończyła studia i objęła pierwszą w swym życiu posadę. A ja, z racji wieku i urzędu, powinienem być chyba dla niej i dla Bigosa bardziej wyrozumiały i tolerancyjny.

— Jednak rozczarowała mnie pani — odezwał się. — Sądziłem, że weźmie pani w swoje ręce tajemnicze sprawy naszego dworu i mnie, karierowiczowi, pokaże pani, jak powinien pracować człowiek, który poświęcił się muzealnictwu. A tymczasem pani zrezygnowała ze swych pierwotnych zamiarów. Myślałem, że dokonamy pionierskiej pracy przekształcenia dworu Czerskiego w najpiękniejsze muzeum. A tymczasem...

— Przepraszam, o czym pan mówi? — zdziwiła się.

— O odrobinie poświęcenia dla dobra sprawy.

— Niby co miałam poświęcić? Dzisiejszy teatr? Przecież jedziemy na naradę w sprawie muzeum.

— Ale pozostawiliśmy dwór bez żadnej opieki.

Za moimi plecami Bigos burknął:

— Oto przykład konfliktu pokoleń. Panu wszystko przeszkadza, panie kustosz. Moje długie włosy, czerwona gitara, jednym słowem, wszystko. Pan by chciał, żebyśmy nie jedli, nie pili, nie spali, tylko wciąż myśleli o duchach w naszym dworze. A mnie od dzieciństwa starsi ludzie wmawiali, że duchów nie ma.

— Miałem nadzieję, że sprawę duchów potraktował pan, że tak powiem, metaforycznie...

— Ja również wypowiedziałem się metaforycznie. Ale prawdą jest, że w Łodzi czekają na nas zarezerwowane pokoje w hotelu i bilety do teatru. Czy dla pana metafory mielibyśmy z nich zrezygnować?

— W Łodzi może pan nabyć jeszcze jeden segregator. Nawet chyba lepszy od tych, które kupił pan w P. — zauważyła koleżanka Wierzchoń.

— Wnioskuje — powiedziałem — że nie jesteście zadowoleni ze współpracy ze mną.

— Och, aż tak źle chyba nie jest — rzekł kolega Bigos. — Ale nie jest pan równiachą.

— Czym? — przeraziłem się.

— Kolega Bigos — pośpieszyła z wyjaśnieniem panna Wierzchoń — ma na myśli fakt, że nie jest pan „równym facetem”, to znaczy takim, jak mówiło wasze pokolenie, „do tańca i do różańca”.

— Mam zapuścić długie włosy i uczyć się grać na gitarze? — jęknąłem. I dodałem z mocą: — Nigdy! Nigdy! — Spróbowałem być szczery: — Od samego

początku uparliście się widzieć we mnie kogoś innego, niż jestem w rzeczywistości. I oto tło naszych nieporozumień. Daliście wiarę pozorom.

— Pozorom?

Bigos rzekł za moimi plecami:

— Uwaga! Pan kustosz zaczął stosować nową taktykę. Najpierw wmawiał w nas, że we dworze dzieją się jakieś tajemnicze sprawy, a teraz sam chce uchodzić za tajemniczego osobnika o podwójnym obliczu. Jeszcze chwila, a zaczniesz nas przekonywać, że jego samochód też jest czymś więcej niż starym rupieciami. Stową, panie kustosz! — zawołał, a potem z ciężkim westchnieniem opadł na siedzenie samochodu, bowiem mój wóz zwolnił biegu.

— Mój samochód... — zacząłem.

Ale przerwała mi panna Wierzchoń:

— Może jednak zmienimy temat? To bardzo smutne obserwować, jak za pomocą niewyszukanych środków próbuje pan ratować swoją pozycję. Mam pytanie do pana: co sądziłby pan o swoim zwierchniku, jeśliby ni stąd, ni zowąd zabierał gąbkę z łazienki, namaszczał ją chlorofilową pastą do zębów, a potem odbywał po tej gąbce nocne spacerki?

Milczałem. Ponowiła pytanie.

— Nie będzie odpowiedzi. — Obraziłem się. I już aż do Łodzi milczałem uparcie.

W recepcji „Grand Hotelu” przy ulicy Piotrkowskiej poinformowano nas uprzejmie, że oczekują na nas trzy już opłacone jednoosobowe pokoje. Pani z recepcji wręczyła mi również kopertę, w której znalazłem bilety na przedstawienie w Teatrze im. Jaracza. Spektakl rozpoczynał się o godzinie siódmej piętnaście, a ponieważ nie mieliśmy z sobą prawie żadnych rzeczy, więc nawet nie poszliśmy do swoich pokojów, tylko od razu wsiedliśmy do wehikułu i pojechaliśmy do teatru.

Pozostawiłem samochód na małym parkingu, usytuowanym na rogu ulicy Jaracza i Kilińskiego, zdjeliśmy płaszcze w szatni i zajęliśmy miejsca na widowni.

Okazało się, że Wydział Kultury był tak miły, że zakupił dla nas pierwsze miejsca w łoży na parterze.

Rozpoczęło się przedstawienie. Nie umiałbym powiedzieć, jaka była treść pierwszego aktu. Zdaje mi się, że oglądaliśmy sztukę o miłości, bo panna Wierzchoń co chwilę wzdychała i co jakiś czas szeptała do mnie: „Och, jak ona go kocha. A ten wstrętny wujek nie zgadza się na małżeństwo!”

Zamiast dekoracji i poruszających się na scenie aktorów, miałem w oczach pogrążony w mrokach nocy nasz stary dwór. Wydawało mi się, że znajduję się w ciemnej sieni dworskiej i słyszę jakieś tajemnicze szmery i szelesty.

Potem była przerwa i poszliśmy do foyer, aby wypalić papierosa. Spotkaliśmy tam dużo ładnie ubranych pań i panów, spacerowaliśmy pośród nich, a panna

Wierzchoń miała minę, jakby co najmniej każdy wieczór spędzała w teatrze. Tylko Bigos poziewywał dyskretnie. Wreszcie oświadczył:

— Wolałbym, żeby załatwili nam bilety na występ jakiegoś zespołu big-beatowego.

— Och, Boże, cóż za prymityw! — powiedziała o Bigosie panna Wierzchoń. A potem zapytała mnie:

— Pan również wolałby co innego? Na przykład, cyrk?

— Nie... nie — zaprzeczyłem z roztargnieniem, wciąż bowiem myślałem o naszym opuszczonym dworze.

Panna Wierzchoń opacznie zrozumiała moje roztargnienie.

— A więc i pana wzruszył pierwszy akt? A myślałam, że jest pan niewrażliwy jak drewniany kołek. Okazuje się jednak, że ma pan jakąś zaletę: jest pan podatny na wzruszenia artystyczne.

Znowu zajęliśmy miejsca w łoży. Gdy kurtyna szła w górę, panna Wierzchoń szepnęła:

— Powinniśmy chyba podziękować za bilety do teatru... I w ogóle, że tak o nas dbają. Załatwili nam miejsca w najlepszym hotelu... .

A ja nagle doznałem wrażenia, że kurtyna podniosło, się nie tylko nad sceną w teatrze, lecz również w mej świadomości, i w jaskrawym świetle zobaczyłem jakieś ponure, tajemnicze sprawy.

„Do licha — pomyślałem. — Od kilku lat, odkąd jestem pracownikiem prowincjonalnego muzeum, bywałem często zapraszany na przeróżne spotkania i konferencje to do Warszawy, to do Krakowa. I zawsze w najlepszym razie rezerwowano dla mnie łóżko w kilkusobowym pokoju, a już nikomu nawet na myśl nie przyszło zapewnić mi rozrywkę, bilety do teatru czy coś w tym rodzaju. A tutaj oczekiwały na nas trzy jednoosobowe pokoje w najlepszym hotelu i bilety do teatru, jakbyśmy byli jakąś zagraniczną delegacją, a nie pracownikami muzeum, które dopiero ma powstać... . Nie, to nieprawdopodobne... .” — powtarzałem.

Nagle lewą ręką chwyciłem dłoń panny Wierzchoń, a prawą — rękę Bigosa. Ścisnąłem je jak żelaznymi kleszczami.

— Idziemy! Natychmiast, stąd idziemy. Stało się coś strasznego — szepnąłem do nich.

Z taką siłą trzymałem ich za ręce, że posłusznie, trochę przerażeni, wyszli ze mną z teatralnej łoży.

Na oświetlonym korytarzu popatrzyli na mnie ze zdumieniem.

— Co się stało? — wyjąkał Bigos.

— To wszystko jest fikcją — powiedziałem. — Te bilety do teatru, te zarezerwowane pokoje... .

Ich zdumienie wzrosło.

— Co jest fikcją? Przecież dostaliśmy bilety i są dla nas pokoje. To nie fikcja, tylko rzeczywistość — rzekła panna Wierzchoń.

— Czy nie rozumiecie, że wciągnięto nas w pułapkę? Wracamy do Janówki. Natychmiast!

Nie słuchając okrzyków protestu i oburzenia, znowu chwyciłem silnie ich dłonie.

— Ubierać się! — wrzasnałem. — Jedziemy do dworu.

Bigos jęknął:

— O Boże, Boże, za co my cierpimy!...

Ale groźny ton mego głosu nakazywał posłuszeństwo. Szatniarka wydała nam płaszcze, choć również była bardzo zdziwiona.

— Nie podobała się państwu ta sztuka? Przecież to historia o miłości, a państwo tacy młodzi...

Roznosił mnie gniew, niepokój, oburzenie. Nie panowałem już nad sobą.

— To jest pułapka, proszę pani! — zawołałem do szatniarki, niemal wyrывая jej z rąk swój płaszcz.

Bigos ponownie stuknął się palcem w czoło, dając szatniarce do zrozumienia, że jestem niebezpiecznym wariatem. A ja znowu chwyciłem za rękę pannę Wierzchoń i kolegę Bigosa, i zacząłem ich, nieco opierających się, ciągnąć ku drzwiom wyjściowym. Szatniarka głośno biadoliła:

— Takie piękne przedstawienie, a państwo wychodzą... Takie piękne przedstawienie... — chciała powtórzyć, lecz urwała. Ktoś jeszcze wyszedł z widowni i podał jej numerek. Zajęty jednak wyciąganiem na ulicę mych współpracowników, nie zainteresowałem się, kogo to znudził piękny spektakl o miłości.

Na ulicy panna Wierzchoń zbuntowała się.

— Jeśli pan nie puści mojej ręki, zawołam milicję — rzekła.

— Prędeż... prędeż... prędeż — mruczałem. I nawet szturchałem w bok kolegę Bigosa, żeby przyspieszył kroku. Nie zląkłem się też gróźb panny Wierzchoń i nie puściłem jej ręki, dopóki nie zajęła miejsca w wehikule.

— Wracamy do Janówki — szepnąłem radośnie, uruchamiając silnik.

Kolega Bigos zdawał się być pogodzony z losem. Stwierdził:

— Nie mam do pana urazy, ponieważ przedstawienie było nudne. Nie lubię sztuk o miłości. Niepotrzebnie mnie pan poszturchiwał. Zdaje się; że złamał mi pan żebro, panie kustosz.

Panna Wierzchoń kiwnęła głową, udając rezygnację.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Spóźnimy się jutro na konferencję i pana kustosza zwolnią z posady. Nieludzkie traktowanie współpracowników też chyba zostanie wzięte pod uwagę.

Nie słuchałem jej narzekań i złośliwości. Spieszyło mi się do Janówki tak bardzo, że ruchliwe skrzyżowanie Piotrkowskiej i Andrzeja przejechałem na żółtych światłach.

— Pirat drogowy — stwierdziła panna Wierzchoń, dorzucając jeszcze jeden kamyczek do owej góry pretensji, jakie do mnie miała.

— Czy nie rozumiecie, że żadnej konferencji nie będzie? Hotel i bilety do teatru zorganizowano tylko po to, aby nas na całą noc wywabić ze dworu.

— Pańska podejrzliwość przekracza wszelkie granice przyzwoitości — zawołała panna Wierzchoń. — A jeśli nie? Jeśli konferencja jednak się odbędzie?

— To najwyżej spóźnimy się odrobinę. . . — odrzekłem.

Już za miastem wyprzedził nas duży, zagraniczny wóz.

— Valcone — z zazdrością zauważył Bigos.

Panna Wierzchoń dodała:

— Ten pan za kierownicą siedział w sąsiedniej łoży i ciągle się na mnie gapił. Pewnie mu się podobałam.

— Co takiego?! — wrzasnąłem.

A Bigos rzekł z tryumfem:

— I też mu się znudziła sztuka o miłości. Wyszedł z teatru tuż za nami.

Przypomniałem sobie opowiadanie pana Wasiaka o człowieku, który samochodem marki valcone przyjechał do Czerskiego i narysował znak wolnomularzy na kartce podsunętej umierającemu. Przypomniałem sobie informacje Antka i Zosi, że ten sam człowiek zamieszkał w domu wczasowym w Janówce. To nie przypadek sprawił, że znalazł się tego samego, co i my, dnia na tym samym przedstawieniu, w tym samym teatrze. Nieprzypadkowo opuścił teatr w połowie przedstawienia, tak jak i my. Śledził nas, a raczej miał za zadanie obserwować nas. A teraz pędził, aby uprzedzić kogoś, że wracamy do Janówki. Starał się za wszelką cenę nie dopuścić, abyśmy swoim niespodziewanym powrotem przeszkodzili komuś w buszowaniu po naszym dworze.

Ogarnął mnie gniew, że dałem się wystrychnąć na dudka depeszą i pozostawiłem dwór bez żadnej opieki. Poeta powiedziała, że „krew we mnie zagrała”. W dobie mechanizacji lepiej będzie jednak napisać, że zgodnym rytmem zagrało dwanaście cylindrów ukrytych pod brzydką maską mojego wehikułu. Wspaniały silnik ferrari 410, który przy szybkości 60 kilometrów zdawał się drzemać, teraz pod uciskiem pedału gazu jak gdyby wreszcie ocknął się. Trzy gaźniki tłoczyły benzynę do cylindrów, poruszyłem rączką dźwigni w skrzyni biegów. Dwieście osiemdziesiąt koni mechanicznych popędziło szosą w ślad za valconem.

— Stówa — radośnie wykrzyknął Bigos.

Ale strzałka szybkościomierza zaczęła pełznąć dalej. Przy stu czterdziestu kilometrach Bigos tylko jęknął:

— Jezus Maria, panie kustoszu. . .

Była noc i pusta szosa. W listopadzie tylko nieliczni motocykliści mają odwagę wypuszczać się w drogę, bo zimny wiatr potrafi przeniknąć nawet najlepszy skórzany kombinezon. A oni to, motocykliści i chłopskie powolne furmanki, stanowią największe niebezpieczeństwo dla samochodów. Mogłem więc sobie pozwolić na szybką jazdę.

— Sto czterdzieści... Sto pięćdziesiąt!... sto sześćdziesiąt! — Bigos mruczał tonem sędziego wyliczającego z nokautowanego boksera na ringu.

Pęd wiatru łomotał na przedniej szybie. Rozjarzone okna domów migały i gasły jak iskierki. Nocny krajobraz po obydwu stronach szosy zlewał się w jedną całość, przy tej szybkości nie pozwalając wyróżnić żadnego szczegółu. Przy takim pędzie mój wehikuł, jak straszliwy potwór, zdawał się połykać szosę oświetloną smugami reflektorów, niemal wlatywał na pagórki, a potem aż w dołku ściskało, gdy spadał w dół i po chwili znowu wlatywał na następny pagórek.

— Pan jest szalony, panie kustoszu — szepnęła przerażona panna Wierzchoń.

— Sto siedemdziesiąt! — wyliczył Bigos. I wtedy zobaczyliśmy czerwone, tylne światła valcona.

Ale znak drogowy ostrzegał mnie o niebezpiecznym zakręcie, a potem ukazały się lampy jarzeniowe na ulicach jakiegoś osiedla. Strzałka na szybkościomierzu spadła do siedemdziesięciu, a potem do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Valcone znajdował się już jednak tylko o kilkanaście metrów przed nami. Wiedziałem, że nie zdoła nam uciec, ferrari 410 jest od niego szybszy. Ale sztuka nie polegała na tym, aby trzymać się z tyłu valcona, lecz wyprzedzić go i pierwszemu przyjechać do Janówki, zaskakując tych, co korzystali z naszej nieobecności we dworze.

Teraz, gdy samochód jechał wolno, panna Wierzchoń jak gdyby odzyskała mowę.

— Pan nas oszukał, panie kustoszu. Pan jest Tomaszem, zwanym Samochodzikiem. Zrobił pan ze mnie idiotkę. Udawał pan kogo innego, niż pan jest. Nawet pański samochód jest oszukańczy...

— Przecież przez całą drogę do Łodzi mówiłem, że bierze mnie pani za kogoś innego, że nawet mój samochód jest inny, niż się pani wydaje. Ale pani ze mnie sztydziła. To lekcja, że nie należy z góry uprzedzać się...

Ale czy ktoś przyzna się do klęski? Czy przyzna się do niej młoda, ładna, ambitna dziewczyna? Panna Wierzchoń powtarzała uparcie:

— Pan nas oszukał. Nie daruję panu tego. Nigdy, nigdy...

Minęliśmy osadę. Valcone przyśpieszył jazdę i znowu zaczął oddalać się ode mnie. Dodałem więc gazu, zacząłem go dopędzać.

Ten odcinek drogi pełen był niespodziewanych i ostrych zakrętów — zapamiętałem to z jazdy do Łodzi. Nie usiłowałem więc nawet wyprzedzić valcona, a tylko zmniejszyłem odległość między nami i trzymałem się, jego tyłu. A kierowca valcona, czy to poirytowany, że zdołałem go dopędzić, czy też może lubił taką kawalerską jazdę — jeszcze przyśpieszył biegu. Był zresztą znakomitym kierowcą, umiał brać najostrejsze wiraże. Tylko opony straszliwie piszczały, gdy na zakręcie wóz wpadał w poślizg, z którego go natychmiast wyprowadzał.

— Co jemu tak się śpieszy? — zapytała panna Wierzchoń.

— Czy pani nie rozumie, że on chce nas uprzedzić? — mruknąłem przez zaciśnięte zęby.

Jazda stawała się coraz bardziej karkołomna. Kurczowo trzymałem się kierownicy i pochylony do przodu, niemal leżałem na kółku. Ale też każda sekunda nieuwagi, zbyt łagodny albo zbyt gwałtowny skręt kierownicą mógł spowodować wyrzucenie wozu z szosy na rosnące po obu stronach drzewa. Czułem, jak ogarnia mnie gorąco i kropelki potu występują mi na czoło. Wkrótce jednak droga wyprostowała się. Do Janówki pozostało zaledwie trzydzieści kilometrów. Jeszcze kilkanaście minut i powinniśmy zobaczyć ciemny masyw drzew.

Docisnąłem pedał przyspieszacza i spróbowałem wyprzedzić valcona. Szybko zorientował się w moim manewrze i zjechał na lewą stronę szosy. Dał tym niezbity dowód, że nie chce, bym go wyprzedził.

Na liczniku miałem szybkość stu czterdziestu kilometrów. Po chwili wzrosła do stu pięćdziesięciu. Nie jest łatwo wyprzedzać przy takiej szybkości, gdy lada chwila z przeciwka może pokazać się furmanka lub niespodziewanie zjawi się samochód.

— To także jakiś wariat — powiedział za moimi plecami kolega Bigos.

Puściłem długie światła. Ostry blask moich reflektorów powinien był porazić go we wstecznym lusterku. Wiedziałem, że nie wytrzyma długo takiego blasku i będzie musiał ustąpić mi z drogi.

Raz i drugi przycisnąłem klakson. Valcone zjechał na prawą stronę, a wówczas mój wehikuł pokazał wspaniałą zryw silnika ferrari 410. W oka mgnieniu wyprzedziłem valcona, przez sekundę jechaliśmy obok siebie, błotnik przy błotniku. Po chwili już byłem przed nim i gnałem na złamanie karku.

— Stówą, panie kustosz! — mruknąłem, powtarzając zawołanie Bigosa.

Szrałka szybkościomierza zatrzymała się na cyfrze sto osiemdziesiąt. To nie była jeszcze maksymalna szybkość mego wozu. Osiągało się ją dopiero przy dwustu dwudziestu. Ale przecież jechałem po szosie, a nie po torze wyścigowym. I dokoła zalegała noc. Ten, kto nie pędził nigdy z taką szybkością, nie zdaje sobie sprawy, jak zmniejszają się odległości, a jednocześnie, jak zwiększa się droga hamowania. Na sto dwadzieścia metrów sięgają długie światła samochodu, a przecież tę odległość przy tak wielkiej szybkości przebywa się w jednej chwili. W momencie gdy zobaczy się w światłach reflektorów tył chłopskiej furmanki, już się jest obok niej. Króciutki moment roztargnienia i może dojść do katastrofy. . .

Daleko w tyle zostały światła valcona, ale nie zdołałem go wyprzedzić na dużą odległość. Brakowało już czasu i drogi, ukazały się światła Janowa, a potem masyw drzew parkowych w Janówce. Przyhamowałem i wolno skręciłem w aleję parkową. Po skręcie wygasilem wszystkie światła, w zupełnych ciemnościach sunąc do dworu. Jeśli ktoś odważył się w nim buszować podczas naszej nieobecności, pragnąłem go zaskoczyć. Blask reflektorów, gdyby wpadł w okna dworu, mógłby go spłoszyć.

Ale po ciemku musiałem jechać wolno i ostrożnie. Te kilka chwil wolnej jazdy wystarczyło, aby dogonił nas valcone. Skręcił w aleję parkową na pełnych światłach, ba! przycisnął klakson i wypełnił park przeraźliwym rykiem. Strugami ostrego blasku przejechał po oknach dworu.

Dopał mnie przed frontowymi drzwiami, zatrzymał wóz tuż obok, wyłączył światła i syrenę. Właśnie wysiadałem z samochodu i z kluczami w ręku rzuciłem się ku drzwiom, gdy i on wyskoczył ze swego wozu.

Był to starszy, siwy pan, elegancko ubrany. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, co upodabniało go z wyglądu do amerykańskiego gangstera, jakich niekiedy zdarza się oglądać na filmach.

— Pan jest piratem! — zaczął krzyczeć. — Oślepił mnie pan, byłbym się rozbił. Zapiszę sobie numer pana wozu, nauczę pana rozumu. . .

— Przecież to pan nie pozwalał się wyprzedzić! — zawołałem.

Jednakże zdałem sobie sprawę, że ta kłótnia ma ukryty cel. Właściciel valcona zrobił swoje: światłami i klaksonem ostrzegł tych, którzy zapewne buszowali we dworze, a teraz tą kłótnią usiłował powstrzymać mnie przed wejściem.

— Kłóćcie się z nim! — krzyknąłem do panny Wierzchoń. I nie zwracając uwagi na wrzaski właściciela valcona, przekręciłem klucz w zamku. Jak bomba wpadłem do sieni i włączyłem kontakt: sień była pusta. Pobiegłem do biblioteki. Cisza, spokój, żadnego śladu czyjejś obecności. Tylko przez chwilę wydawało mi się, że czuję zapach papierosa, którego ktoś tu jeszcze przed sekundą palił. . .

Zajrzałem do popielniczki na wielkim stole w bibliotece. Tak, leżała w niej odrobina popiołu, ale przecież i ja byłem palaczem. Od czasu do czasu paliła papierosy panna Wierzchoń. Lecz ten zapach dymu w bibliotece. . .

Wolno zszedłem do sieni, a gdy otworzyłem frontowe drzwi, valcona już nie było.

— Nakrzyczał na nas i odjechał. Czy stało się coś złego we dworze? — spytała panna Wierzchoń.

— Nie. . . — odrzekłem niepewnie.

Odprowadziłem wehikuł do wozowni. Po powrocie do dworu zastałem moich współpracowników schodzących z piętra.

— Nie wygląda na to, aby ktoś tu był podczas naszej nieobecności — stwierdziła panna Wierzchoń.

Bigos podrapał się w głowę.

— A jeśli jednak narada się odbędzie?

— Nie — odparłem z głębokim przekonaniem.

Jeśli miałem co do tej sprawy jakieś wątpliwości, to ta szaleńcza jazda, ten człowiek w valconie, te jego światła i ryk klaksonu przekonały mnie o oszustwie. Próbowali się nas pozbyć na całą noc. Podczas naszej nieobecności ktoś tu czegoś szukał, a właściciel valcona miał za zadanie pilnować nas w Łodzi. Był z nami

nawet w teatrze. Gdy się zorientował, że wracamy do Janówki, wyruszył natychmiast za nami, by ostrzec tych, co tu grasowali. Nie mam pojęcia, czego oni szukają we dworze Czerskiego. Do tej pory działali tak sprytnie, że nie pozostawiali najmniejszego śladu. Ale tym razem przechytrzyli. Mam fałszywą depeszę. Ten dowód wystarczy, aby do sprawy włączyła się milicja.

To mówiąc wszedłem do swego pokoju i wziąłem z biurka segregator. Otworzyłem go i przekonałem się, że... jest pusty. Depesza zniknęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

WIELKIE OSZUSTWO • TAJEMNICZY WYWABIACZ • SZUKAMY TAJNEGO PRZEJŚCIA • CZY LUBIĄ PAŃSTWO WYWOŁYWAĆ DUCHY? • UROJENIA I RZECZYWISTOŚĆ • DZIWNA CYGARNICZKA • KOPCIUSZEK • KŁOPOT Z MYSZAMI • NARADA AKTYWU DO WALKI ZE ZJAWAMI

Nazajutrz wczesnym rankiem, jeszcze bez śniadania, pojechałem do Urzędu Pocztowego w Janowie i zamówiłem rozmowę telefoniczną z Łodzią, z Wydziałem Kultury.

Gdy otaczał mnie dzień — wprawdzie smutny, pełen listopadowych mgieł, ale przecież dzień — nocne wrażenia wydały mi się snem. Wraz z mrokiem ulotniły się moje podejrzenia i żałowałem trochę, że wczoraj zmusiłem swoich współpracowników do nagłego opuszczenia Łodzi. „A może jednak narada odbędzie się naprawdę?” — pomyślałem.

Bo w gruncie rzeczy znowu nie miałem żadnych konkretnych dowodów, że usiłowano nas wywabić ze dworu, aby w nim bezkarnie myszkować. Dziwne zachowanie właściciela valcona podczas jazdy na szosie? Iluż kierowców zachowuje się podobnie... Są tacy, których ambicją jest nie dać się wyprzedzić. Powodują wypadki, a mimo to jeżdżą jak wariaci. Może właśnie do takich automobilistów należał i ów jegomość?

Zniknięcie depeszy z segregatora? A może jednak nie włożyłem jej tam, a po prostu gdzieś się zawieruszyła? Gdy odbierałem ją od doręczyciela, byłem półprzytomny po wypitym burgundzie, który nam zaszkodził. Mogłem tę depeszę wetknąć w jakiś kąt i teraz nawet nie pamiętam, co z nią zrobiłem.

Tak rozmyślając, z największym niepokojem oczekiwałem na połączenie z Łodzią. Zastanawiałem się też, co powiedzieć, jeśli okaże się, że narada rzeczywiście miała się dziś odbyć. „Samochód mi się zepsuł, tak powiem” — obmyślałem kłamstwo.

Usłyszałem wreszcie głos z pocztowego okienka, wzywający mnie, abym wszedł do jedynej w urzędzie kabiny telefonicznej.

Rozmowa z naczelnikiem Wydziału nie była długa. Gdy przedstawiłem się, usłyszałem:

— Pan kustosz z Janówki? Przepraszam pana, że nikt z Wydziału Kultury nie zajrzał do pana, zapewne ma pan wiele trudności i kłopotów, w których powinniśmy panu pomóc. Ale w ostatnich dniach jesteśmy wszyscy bardzo zajęci, może w przyszłym tygodniu ktoś od nas przyjedzie do Janówki. Czy skończył pan inwentaryzację? Jakie widzi pan możliwości zorganizowania muzeum? Czy macie opał na okres jesienno-zimowy?

Zasyłał mnie mnóstwem pytań, na które starałem się wyczerpująco odpowiedzieć. Ale jedno z nich wynikało niezbitcie: Wydział Kultury nie zamierzał w najbliższym czasie organizować u siebie żadnej narady ani zapraszać nas do Łodzi. Nie oni wysłali do nas depeszę z wezwaniem do przyjazdu.

— Ktoś was wzywał do Łodzi? — zdziwił się naczelnik.

— Nie, nie. Przejęczyłem się — wyjaśniłem szybko. Jeszcze tylko tego brakowało, abym zaczął opowiadać o dziwnych wydarzeniach w niesamowitym dworze, o duchach i o swoich podejrzeniach. Zupełnie mi nie zależało na tym, aby opinia, jaką mieli o mnie panna Wierchoń i kolega Bigos, że jestem wariatem, dotarła do moich władz zwierzchnich.

Gdy odkładałem słuchawkę, miałem uczucie, jakbym zdejmował z serca ciężki kamień. Nie omyliłem się więc. Usiłowano nas wywabić ze dworu, i to na całą noc. Ktoś nadał fałszywy telegram, zarezerwował i opłacił pokoje hotelowe, zakupił dla nas bilety do teatru.

Podszedłem do okienka pocztowego i płacąc za rozmowę, zapytałem o wczorajszy telegram.

— Telegram? — pokręcił głową kierownik poczty. — O ile sobie przypominam, nie było do dworu żadnego telegramu. Zresztą, zaraz sprawdzę.

Chwile grzebał w papierach na biurku, a potem powiedział stanowczo:

— Nie było do pana depeszy.

Wzruszyłem ramionami.

— Wczoraj rano był u mnie doręczyciel z depeszą. . .

— Doręczyciel? U nas, proszę pana, pracują same kobiety.

Bezradnie rozejrzałem się po Urzędzie Pocztowym. Przecież nie ćmiło mi się w oczach, kiedy odbierałem depeszę. Przyniósł mi ją mężczyzna. Wprawdzie nie miał na sobie munduru listonosza, ale sądziłem, że w małych placówkach pocztowych doręczyciele, szczególnie depesz i ekspresów, nie zawsze noszą mundur.

Gdy tak rozglądałem się, spostrzegłem na stole w poczekalni pudełko pełne blankietów telegraficznych i innych druków. Blankiety po prostu bierze się z pudełka, wypełnia i płaci dopiero przy nadawaniu. Tajemniczy KTOŚ mógł bez trudu wziąć blankiety i wypisać na nim treść, jaka mu się podobała.

W dużych miastach, gdzie pilne wiadomości przekazywane są dalekopisem, na blankietach przylepia się pasek zawierający treść depeszy. Inaczej w wiejskich urzędach. Tutaj wiadomości przekazywane są telefonicznie i urzędnik pocztowy po prostu wypisuje je ołówkiem na blankiecie, który doręczyciel zanoszą pod wska-

zany adres. Ja właśnie otrzymałem blankiet zapisany ołówkiem, co wcale mnie nie zdziwiło. Tajemniczy KTOŚ nie miał więc wielkiego kłopotu z popełnieniem oszustwa. I bez trudu chyba, za niewielką opłatą, znalazł kogoś, kto zechciał odegrać rolę doręczyciela. Potem postarał się tylko, aby dowód oszustwa w postaci sfalszowanej depeszy zniknął bez śladu.

„A więc to wszystko było ukartowane” — powtarzałem sobie, siadając do wehikułu i śpiesząc do Janówki.

Prawie biegiem wpadłem do dworskiej kuchni, gdzie panna Wierzchoń przyrządzała śniadanie. Kolega Bigos niemal zakochanymi oczami patrzył na jej ręce, rozbijające jajka i rzucające je na rozpaloną patelnię. Wydawało się, że panna Wierzchoń przyrządzająca jajecznicę na kiełbasie uosabia dla niego największe piękno.

Opowiedziałem o swojej rozmowie telefonicznej, o sprawie fałszywej depeszy.

— Oszustwo! oszustwo! — krzyczałem. — Chcieli nas wywabić z dworu. Perfidny złoczyńca działa najpodstępniejszymi metodami, aby osiągnąć swój cel.

Lecz te informacje nie zrobiły na nich wielkiego wrażenia.

— Czemu pan tak krzyczy? — powiedział Bigos. — I co pan nazywa perfidią? Jeśli mam pewne pretensje do tajemniczego „wywabiacza”, to tylko jedną: że zafundował nam bilety do teatru, a nie na koncert „mocnego uderzenia”.

Panna Wierzchoń odwróciła się od pieca, ujęła się pod boki i oświadczyła ze srogą miną:

— Co do mnie, panie kustoszu, bardzo chętnie dałabym się znów wywabić stąd na jakieś tańce czy dobry film. Co pan ze mnie zrobił? — jęknęła, załamując ręce. — Z pracownika naukowego zrobił pan kucharkę. Żyję tu jak kopciuszek, garkotłuk, kocmołuch.

— A ze mnie zrobił pan palacza — dorzucił Bigos.

— Ach, więc to tak? — mruknąłem ponuro. Zdałem sobie sprawę, że jestem osamotniony. Sam poprowadzę walkę z tajemniczym KTOSIEM.

Jajecznicę głośno zaskwierczała. Z kuchni rozchodził się jej mocny zapach.

— Znowu jajecznicę — stwierdziłem niechętnie.

— Wymawia mi pan posadę? — zaczętnie zapytała panna Wierzchoń.

Nic się nie odezwałem. Przeraziło mnie widmo pracy bez śniadania i kolacji, gdyby panna Wierzchoń zbuntowała się i przestała być „kopciuszkiem”.

Zjedliśmy śniadanie w milczeniu. Stoczyłem w sobie walkę między poczuciem obowiązku kustosza i detektywa. Wreszcie, ku zdumieniu współpracowników, oświadczyłem:

— Dziś nie robimy inwentaryzacji. Zajmiemy się poszukiwaniem tajnego wejścia do naszego dworu. Mam dosyć tajemniczych wizyt nieproszonych gości.

— Czy nie mógłby pan bliżej sprecyzować naszego zadania? — zapytał Bigos. — W sensacyjnych powieściach, a także widowiskach telewizyjnych, oglą-

dałem tajne przejścia w zamkach i dworach. Sądziłem jednak, że jest to po prostu jeden z elementów ułatwiających literatom przeprowadzenie akcji. W życiu nie zetknąłem się z czymś takim.

— Krótco pan żyje na świecie — burknąłem.

— Ale w jaki sposób szukać tajnych przejść?

— Są różne sposoby. Jeden nich polega na tym, że pomieszczenie wypełnia się dymem i potem obserwuje, którądy ów dym się ulatnia.

— O dym mogę się postarać. Wystarczy, że zacznę palić w piecach — beztro-
sko rzekł kolega Bigos. — A propos palenia w piecach: Janiak się nie zjawił do
tej pory.

— Nie ma obowiązku, a co do dymu: nie skorzystamy z tego sposobu. Będzie-
my opukiwać ściany.

— Całe szczęście — westchnęła panna Wierzchoń. — Bo już przypuszczałam,
że krył się w tym zamysł uwędzenia nas jak węgorzy.

— Ach, węgorzyk — westchnął Bigos — zjadłbym kawałek tłustego węgorza.
A propos stukania. Czy należy stukać mocno, czy słabo?

Panna Wierzchoń szepnęła prawie niedosłyszalnie:

— Ja radziłabym zacząć od stuknięcia się w głowę. Tu nie ma żadnych tajnych
przejść. Dwór pełen jest tylko urojeń pana kustosza. Dziwiłam się dawniej, skąd
aż tyle urojeń u człowieka, który zamierza robić karierę administracyjną. Odkąd
jednak wiem, że jest pan owym Panem Samochodzikiem, detektywem-amatorem,
odkrywcą tajemnic i poszukiwaczem przygód. . .

— Ach, ileż wspaniałych tytułów! — zawołałem.

— . . . otóż teraz wiem, że te wszystkie pańskie dotychczasowe poszukiwania
tajemnic zrodziły w panu manię prześladowczą. Trzeba się z tego leczyć, panie
kustoszu. To jest chyba uleczalne.

A jednak moje polecenie coś jeszcze znaczyło. Po jakimś czasie dwór wypeł-
nił się odgłosami stukania. Upodobił się do ogromnego pnia drzewa, obstukiwa-
nego przez trzy potężne dziecioty.

Przyszedł Janiak, żeby napalić w piecach, więc przerwaliśmy stukanie, nie
chciałem bowiem, aby zobaczył, co robimy. Wkrótce zresztą opuścił dwór, a my
mogliśmy do woli pukać w ściany na górze i na dole. W trakcie tej czynności
znowu popadłem w konflikt z Bigosem, który posługiwał się młotkiem i walił tak
mocno, że aż w kilku miejscach tynk odleciał. Lecz tajnego przejścia nie znaleź-
liśmy.

O pierwszej jak zwykle poszliśmy na obiad do domu wczasowego „Postęp”.
Przy stole pod oknem oczekiwała już na nas panna Marysia, dziś jeszcze bardziej
urocza niż dotychczas. Miała na sobie czerwony sweterek i uśmiechnęła się do
mnie tak promiennie, że wszelkie troska odleciały ode mnie jak spłoszone czarne
kruki, a na ich miejsce przyleciały radosne myśli, podobne do białych gołębi.

— Pani jest dziś bardzo piękna — rzekłem całując jej dłoń, pachnącą, jak mi się zdaje, perfumami „Szałowa”.

— Postanowiłam, że dziś w nocy musimy spotkać się z duchami — powiedziała.

— Jak najchętniej, jak najchętniej — przyświadczyłem ze skwapliwością.

Panna Wierzchoń wtrąciła zgryźliwie:

— Pani oczywiście woli duchy męskiego rodzaju, prawda?

— Och, nie, wszystko mi jedno — broniła się panna Marysia. — Po prostu wydaje mi się, że moglibyśmy wieczorem zorganizować we dworze seans spirytystyczny.

— Hm... — chrząknąłem niepewnie. — Sporo czytałem o takich seansach, lecz nigdy w życiu nie brałem w nich udziału. Nawet nie wiem, jak się taką zabawę organizuje.

— To nie jest zabawa — spoważniała panna Marysia. — Jeśli będziemy do tego podchodzić humorystycznie, duch się nie zjawi.

Na pierwsze danie podano nam czerwony barszczyk z uszkami. Bigos jadł tak łapczywie, że czerwone plamy barszczu miał na policzkach i brodzie, przez co wyglądał jak upiór. Pierwszy zjadł i odsunąwszy od siebie talerz, rzekł:

— Ja mogę być medium na waszym seansie.

— Dlaczego właśnie pan?

— Bo łatwo zapadam w letarg. A przy tym jestem łechczywy. Jak mnie połaskoczą i ocknę się z letargu, usłyszycie ode mnie niejedno.

— Obejdziemy się bez medium — powiedziała panna Marysia. — Wy wołamy ducha za pomocą talerzyka. Duch będzie nam dyktował swoje myśli. W ten sposób zdołamy się z nim porozumieć. Więc zgoda, panie kustoszu? Zorganizujemy dziś w nocy seans spirytystyczny?

— Zgoda — kiwnąłem głową. Trudno się było oprzeć tak uroczej dziewczynie.

Podczas jedzenia drugiego dania panna Marysia zapytała uprzejmie o nasz wczorajszy pobyt w Łodzi i wrażenia z teatru. Spojrzałem groźnie na Bigosa i pannę Wierzchoń, dając im do zrozumienia, żeby nic nie wspominali o naszych przygodach. Bigos — łobuz — udał, że nie dostrzegł mych spojrzeń.

— Wrażenia były niezapomniane. A sztuka piękna i pouczająca — zaczął się rozwodzić, ale go pod stołem kopnąłem w kostkę.

— O czym była ta sztuka? — kontynuowała rozmowę panna Marysia.

— O miłości.

— Czy dobrze się skończyła? Bo ja lubię tylko takie sztuki, które dobrze się kończą.

— Dla nas zakończenie sztuki nie okazało się zbyt szczęśliwe — wyjaśniła panna Wierzchoń. — W połowie drugiego aktu musieliśmy opuścić teatr.

— Co takiego? Dlaczego?

- Pan kustosz zachorował — powiedziała bezczelnie.
- Naprawdę? Czy to było coś groźnego?
- Ogarnęły go złe przecucia. I dlatego nocą wróciliśmy do Janówki.
- Państwo sobie ze mnie dworują! — panna Marysia miała nadąsaną minkę.
- Przysięgam, że to prawda.
- Czy tak, panie kustoszu? — zwróciła się do mnie.

Westchnąłem:

- Niestety, panna Wierzchoń nie mija się z prawdą. Ogarnęły mnie złe przecucia i postanowiłem wrócić do Janówki.
- I co? I co? — dopytywała się.
- Nic, proszę pani. Złe przecucia minęły.
- Nieprawda — mruknął Bigos. — Pan kustosz choruje dalej.

Obiad się skończył, a wraz z nim i dyskusja na temat moich dolegliwości. Pożegnaliśmy pannę Marysię, na odchodnym zaprosiłem ją do nas na dzisiejszy wieczór. Nigdy dotąd nie uczestniczyłem w seansie spirytystycznym i myśl o nim przypadła mi do smaku.

Gdy wyszliśmy za próg domu wczasowego, wybiegła za nami panienka, która podawała posiłki, i wciskając mi do ręki jakiś niewielki karteluszek, szepnęła:

- Pan to zapomniał i zostawił na stole. . .

To był list od Zosi. Pisała go chyba w pośpiechu, przed pójściem do szkoły i poprosiła o dyskretne wręczenie mi, kiedy zjawię się na obiad. Przeczytałem:

„Dziś wczesnym rankiem pan z valconem spakował swoje walizki i wyjechał. Powiedział, że już tu nie wróci. Zosia.”

Panna Wierzchoń, która uważnie obserwowała scenę wręczenia mi kartki, powiedziała złośliwie:

- Zawarł pan znajomość z pokojówkami w domu wczasowym? Liścik miłosny, he? Umówił się pan na randkę? A seans spirytystyczny nie będzie z tym kolidował?

Bigos zanucił modną ongiś piosenkę:

- Cicha woda brzegi rwie. . .

Szybko skończył ją jednak, bo nałykał się wiatru gnającego od rzeki. Aż musieliśmy się zgiąć, by przemoc jego siłę. Siekł nas po twarzach drobnym deszczem.

Spoza lasu wytoczyły się na niebo ogromne zwaliska deszczowych chmur, wichur to wzmagał się, to znów na chwilę słabł. Nie była to więc pora sposobna do dysput na temat liściku, jaki otrzymałem. W milczeniu dobrnęliśmy do dworu.

Przed wejściem przystanąłem:

- Zajmijcie się swoimi sprawami, a ja zajrzę do Janiaka.

Nawet nie zapytali mnie, po co do niego idę. Zrozumiałem, że konflikty między nami wcale się nie zmniejszają, lecz przybierają nową formę: zamiast prawionych dotąd złośliwości, będziemy trwać we wrogim milczeniu.

Janiaka zastałem w jego izdebce. Siedział przy mocno nagrzanym piecu i kozikiem rzeźbił cygarniczkę z wiśniowego drzewa. Jedna, już wyrzeźbiona, leżała na stole.

Janiak znowu zrobił na mnie wrażenie nie umytego, brodę miał zmierzwiona, w izbie panował zaduch. Wszystko to nie nastroiło mnie do niego przychylnie.

Nie okazał zdziwienia, że go odwiedzam.

— Chce pan taką cygarniczkę? — wskazał na gotową, leżącą na stole.

— Zazwyczaj palę fajkę — zawahałem się. Wziąłem jednak do ręki cygarniczkę. Ciekawiło mnie, co on na niej wyrzeźbił.

— Będą panu papierosy lepiej smakowały. Ona jest z wiśniowego drzewa — zachęcał mnie.

Na cygarniczkę wyrzeźbił dwa splecione węże. A miejsce, gdzie wsadzało się papierosa, miało kształt odwróconej korony.

Na końcu języka zatrzymałem pytanie o ten dziwny motyw na cygarniczkę, zdołałem w porę opanować ciekawość. Wydawało mi się, że nie należy Janiakowi zdradzać faktu, iż tak bardzo interesuje mnie hasło masońskie: „*W węzach splecionych, w koronie strąconej...*”

— Dziękuję panu. Wezmę ją — zdecydowałem. I schowałem cygarniczkę do kieszeni.

Pomyślałem, że nie dziś, to jutro zdążę zapytać o tę sprawę. Niecierpliwość mogła okazać się szkodliwa.

Usiadłem na niskim zydelku obok pieca.

— Panie Janiak — zacząłem. — Bardzo bym chciał, aby otrzymał pan stanowisko dozorca przy naszym muzeum. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby się tak stało.

— Dziękuję bardzo. Pan Czerski skrzywdził mnie. Obiecał zagwarantować mi w testamencie prawo do mieszkania w oficynie, a nie napisał żadnego testamentu. Tyle lat już tu mieszkam i pracowałem dla niego. Gdzie ja się podzieję na starość, jeśli mnie stąd wyrzucicie?

— Nikt nie ma zamiaru pana wyrzucać. Rzecz jednak w tym, że już teraz powinien pan czuć się tu dozorcą i choć bez etatu, sprawować opiekę nad dworem.

— Czy stało się coś? — zaniepokoił się.

— Nie wiem. Lecz mam podstawy przypuszczać, że coś niedobrego grozi naszemu dworowi. Jestem pewien, że nocą ktoś składa nam wizyty. Przedostaje się do dworu mimo zamkniętych drzwi. Jednym słowem, istnieje jakieś tajne przejście. Nie wierzę, aby tyle lat tu mieszkając, nie wiedział pan o tym.

Jego twarz pozostawała bez wyrazu. Jak maska kamienna. Tyle tylko, że przestał rzeźbić cygarniczkę, odłożył kozik i kawałek wiśniowego drzewa.

Dopiero po dłuższej chwili zdecydował się na odpowiedź. Jakby potrzebował czasu do namysłu lub walczył ze sobą.

— Nie wiem, proszę pana. Nie wiem, gdzie jest to jakieś tajne przejście.

— Ale ono jest, prawda?

— Tak, proszę pana kierownika. Znał je pan Czerski, lecz nigdy mi go nie pokazał. W ostatnim czasie dwukrotnie raptem pojawił się w ogrodzie, chociaż wiem, że nie wychodził ze dworu żadnymi drzwiami. Gdy go zapytałem, jakim cudem potrafi wyjść i wejść do dworu mimo zamkniętych drzwi, tylko się roześmiał. Ale tajemnicy nie wyjawiał.

— Naprawdę nie domyśla się pan, którądy prowadzi tajne przejście?

— Pan mi nie wierzy? — zaniepokoił się. — Dam panu dowód, że mówię prawdę. Wczoraj nakrył mnie pan w bibliotece, gdy odsunąłem szafę i opukiwałem ścianę. Powiedziałem panu, że listewka się oderwała, więc ją przybijam. Ale naprawdę to ja szukałem tajnego wejścia.

Tak, to już jakiś dowód. Wstałem z zydła.

— Wierzę panu. Proszę jednak uważać, czy jacyś obcy ludzie nie kręcą się po parku. Szczególnie wieczorem i nocą.

Poczochrał palcami brodę, przez co ją jeszcze bardziej zmierzwił.

— Dobrze. Ale to trudna sprawa. Ludzie skracają sobie drogę, przechodząc przez park. Wczasowicze z Janówki też tu odbywają spacery.

— No, tak — zgodziłem się. — Proszę jednak dawać na nich baczenie.

To mówiąc skinąłem Janiakowi głową i opuściłem jego duszną izdebkę. Wracając do dworu rozmyślałem: „Czy naprawdę mogę mieć zaufanie do Janiaka? A może to właśnie on jest tajemniczym duchem, który pojawia się w naszym dworze? Przecież to nieprawdopodobne, aby przez tyle lat pracując u Czerskiego, Janiak nie poznał tajemnic dworu... Może nie wszystkie tajemnice są mu znane, ale o niektórych wie na pewno. A jednak nie chciał się ze mną tym, co wie, podzielić...”

Jegomość z valconem odjechał dziś w nocy. „Czy duch pojawi się znowu?” — zastanawiałem się. I pomyślałem, że wczorajsza historia z teatrem oraz wyścigi na szosie oznaczają, że właściciel valcona ma w Janówce współnika, którego chciał uprzedzić o naszym niespodziewanym powrocie. Kto wie, czy nie jest nim stary Janiak.

Powoli zapadał zmrok. O tej porze roku słońce wschodzi o siódmej rano, a zachodzi o wpół do czwartej po południu. Była dopiero trzecia, ale deszcz przyśpieszał zapadnięcie zmroku.

Przechodząc przez gazon pokryty butwiejącymi liśćmi, zatrzymałem się na chwilę i popatrzyłem na bielejący w półmroku stary dwór. W żadnym z okien nie paliło się światło, stare domostwo wyglądało tajemniczo i groźnie.

I długo tak, stojąc na deszczu, wpatrywałem się w janowski dwór, jakbym starał się przeniknąć wzrokiem mury i zgłębić kryjącą się w nich zagadkę. Raptem ogarnęła mnie przerażająca myśl: „Ten z valconem odjechał dziś rano. Czy to nie znaczy, że osiągnął swój cel? Może podczas naszego wyjazdu do Łodzi jego

wspólnik odnalazł we dworze to, czego szukał? I nigdy nie dowiem się, co było naprawdę powodem dziwnych zjawisk?”

Wszedłem do dworu przekonany, że duch nie pojawi się więcej. Odzyskałem spokój, lecz jednocześnie czułem, że ponieśliśmy jakąś niepowetowaną stratę.

W sieni dworskiej zalegała już ciemność. Z pokoju panny Wierzchoń doszedł mnie dźwięk gitary. Zapewne siedział tam Bigos i zabawiał się w trubadura.

Pozostawiłem płaszcz w swoim pokoju i zapukałem do pokoju mojej współpracownicy.

Siedzieli w półmroku, ona na jednym fotelu, a on z gitarą na drugim. Odniosłem wrażenie, że im przeszkadzam, psuje miły nastrój.

— Przepraszam — szepnąłem i wycofałem się do siebie. Przycisnąłem guziczek lampy na biurku Czernieckiego i zasiadłem w fotelu. Sięgnąłem do kieszeni po fajkę, ale wraz z nią namacałem cygarniczkę podarowaną mi przez Janiaka. Otworzyłem więc walizkę, gdzie miałem paczkę extra mocnych i włożyłem papierosa do cygarniczki. Znowu usadowiłem się w fotelu. Pałac papierosa, miałem przed oczami niezdarne wyrzeźbione dwa splecione węże.

Dlaczego ten masoński symbol znalazł się na cygarniczkę zrobionej przez Janiaka? Dlaczego ostatnimi słowami, którymi Czerniecki pożegnał się ze światem, było: „*W węzach splecionych, w strąconej koronie*”? Co chciał przez to powiedzieć? Co chciał dać do zrozumienia lekarzowi i Wasiakowi?

Przez zamknięte drzwi wciąż dochodziło mych uszu ciche pobrzękiwanie czerwonej gitary Bigosa. Westchnąłem. Tak krótko przebywałem w niesamowitym dworze, a przecież zdążyłem ponieść dwukrotną klęskę. Nie potrafiłem należycie ułożyć sobie współpracy z młodymi kolegami. Nie zdołałem rozwikłać zagadki starego dworu. Pan z valconem, być może, odjechał z jakimś łupem. Jeśli to był zabytkowy przedmiot, a gra chyba musiała się toczyć o nie byle jaką stawkę, klęska moja wydawała mi się ogromna. Zabytkowy przedmiot winien przecież stać się okazem w organizowanym przeze mnie muzeum. Złym byłem kustoszem, skoro dałem sobie sprzątać przed nosa coś niezwykle cennego.

Długo trwały te moje niewesołe rozmyślenia. Czas mijał niepostrzeżenie, zapadła czarna, deszczowa noc. Umilkła gitara w pokoju panny Wierzchoń.

Z zamyślenia wyrwało ranie pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzał Bigos.

— Kopciuszek wzywa pana na kolację.

Powlokłem się do dworskiej kuchni, gdzie, jak się to ongiś mówiło, „wesóło buzował ogień na kominie”.

Usiadłem na brzeжку ławy. Z roztargnieniem sięgnąłem po talerz z jajecznicą. Mało urozmaicone mieliśmy posiłki, ale trudno było o to wnosić pretensję do panny Wierzchoń. Skromne były także nasze zasoby finansowe. Zresztą, czyż to miało znaczenie wobec poczucia podwójnej klęski, jakie w sobie nosiłem?

Nagle uderzyłem dłonią w stół:

— A jednak ten dwór posiada tajemnicę! I ja ją wykryję!

Zaskoczyła ich gwałtowność, z jaką złożyłem to oświadczenie. Dopiero po chwili panna Wierzchoń powiedziała:

— Został pan kustoszem, ale zamiast myśleć, w jaki sposób zorganizować muzeum, wypełnił pan dwór niesamowitymi zjawami, którym wypowiedział pan walkę. Lecz jak do tej pory, zjawy są górą.

— Pani kpi sobie ze mnie. Ale przecież musi pani przyznać, że nie zjawy i duchy zaprosiły nas do Łodzi, opłaciły hotel i bilety do teatru. Nie zjawy sfalszowała depeszę.

Wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że wkrótce cała ta sprawa znajdzie proste i realne uzasadnienie. W naszym dworze znajduje się trochę cennych przedmiotów zabytkowych, ale mimo że zjawy odwiedza nas co noc, nic nie zginęło. Więc dajmy zjawie spokój.

— A piąty rozdział z katalogu Czerskiego?

— Już wielokroć o tym dyskutowaliśmy i bez rezultatu. Co zaś się tyczy wczorajszego zaproszenia do teatru, to jeśli mi pan pozwoli, wyjadę jutro do Łodzi i postaram się wyjaśnić te zagadkę. Dowiem się w hotelu, kto wynajmował dla nas pokój.

— Potrafi pani to zrobić? — ucieszyłem się. — Więc jednak pragnie mi pani pomóc?

— Nie. Chcę panu udowodnić, że zaproszenie do Łodzi nie ma nic wspólnego z groźnymi zjawami, którymi pan zaludnił nasz dwór. Gotowa jestem jechać do Łodzi, aby przekonać pana, że pańskie podejrzenia są bezzasadne. Pojadę więc, aby działać przeciw panu. Czy w tej sytuacji pozwoli mi pan wyjechać?

— Tak — odparłem. — Autobus odchodzi rano z Janowa.

Albowiem bardzo byłem ciekaw, kto opłacił nasz pobyt w hotelu i bilety do teatru. Ta historia naprawdę wymagała wyjaśnień. Chciałem nawet w tej sprawie sam jechać do Łodzi, ale przerażała mnie konieczność opuszczenia dworu. Propozycja panny Wierzchoń była mi niezwykle na rękę.

— A pan, panie kolego? — zwróciłem się do Bigosa. — Czy nie zechce mi pan pomóc w walce ze zjawami?

Bigos brzdąknął w struny czerwonej gitary, którą przyniósł ze sobą do kuchni, i rzekł ze śmiertelną powagą:

— Dam panu dobrą radę, panie kustoszu. Ze zjawami najlepiej walczyć przy pomocy innych zjaw. Wszelkie środki materialne okazują się zawodne w walce z istotami pozaziemskimi. Będziemy dzisiaj wywoływać duchy. Czy nie warto zapytać ich o tajemnicę naszego dworu?

Znów brzdąknął w struny gitary i zaśpiewał pieśń własnej kompozycji:

*Noc ciemna i głucha,
za oknem wiatr dmucha*

*i stuka okiennicaami. . .
Plucha na dworze,
a w strasznym dworze
toczy się walka z duchaaami. . .*

W tym momencie usłyszeliśmy stukanie okiennicy w kuchni. Po chwili za szybą pojawiła się jakaś twarz.

— O, Boże! — jęknęła panna Wierzchoń.

Ale to była panna Marysia. Dawała nam przez szybę znaki, żeby jej otworzyć drzwi.

Bigos rzucił natychmiast gitarę i pobiegł do sieni. Wrócił w towarzystwie panny Marysi, pięknej, jak nigdy dotąd. Na jej jasnych włosach i na kołnierzu palta topniały duże gwiazdki śniegu. Dziewczyna wyglądała tak, jakby ją ktoś obsypał białym confetti.

— Śnieg pada — powiedziała uśmiechając się. — Pierwszy śnieg w tym roku.

W rękę miała rulon owinięty w gazetę. Rozwinęła go i zobaczyliśmy, że jest to duży karton papieru. Czarnym flamastrem było na nim wyrysowane duże koło, podzielone na tyle części, ile jest liter w alfabecie. Wszystkie litery zostały wypisane na brzegu koła. W rogach kartonu widniały znaki zodiaku.

— To posłuży nam do porozumiewania się z duchami — wyjaśniła z tajemniczym półuśmiechem.

— Jak widać, jest pani specjalistką w tej dziedzinie — zauważyłem.

— Trochę się na tym znam. Moja starsza siostra urzędowała kilkakrotnie seanse spirytystyczne. Do rozmowy z duchami trzeba będzie jeszcze wyszukać odpowiedni pokój, bo nie do każdego pomieszczenia one przychodzą. Poza tym musimy mieć świecę i talerzyk, na którym zaznaczę punkcik. Talerzyk będzie się kręcił po kartonie i punkcikiem wskaże odpowiednią literę w alfabecie. Litery ułożą się w wyrazy i w ten sposób duch do nas przemówi.

Panna Wierzchem z ironicznym grymasem na swojej ładnej twarzy otworzyła szeroko drzwi kuchennej szafki.

— Talerzy jest tu sporo. Może być nawet waza albo półmisek. . .

— Wystarczy zwykły, płaski talerz — panna Marysia wyjęła talerzyk z szafki. — A teraz poszukajmy odpowiedniego pokoju.

Lekceważąco machnąłem ręką.

— Ten dwór jest pełen duchów. Po kilkanaście zjaw gnieździ się w każdym pomieszczeniu.

— Przypominam o świecy — zaznaczyła panna Marysia. — Światło elektryczne odstręcza duchy. Wolą blask świecy.

Panna Wierzchoń zachichotała cichutko, wyciągając z kredensu woskową świecę, również pozostałość po gospodarstwie Czerskiego.

— Jak to wspaniale, że pani zna upodobania duchów. Czy pozwolicie jednak, że ja nie będę brała udziału w tej imprezie?

— To niemożliwe! — zawołała panna Marysia. — Seans się nie uda. Muszą wziąć w nim udział co najmniej cztery osoby.

— Tak jest, koleżanko — zgromiłem surowo pannę Wierzchoń. — Musi pani wziąć udział w seansie.

— Z przedstawienia teatralnego, panie kustoszu, to mnie pan wyciągnął w połowie. I powiedział pan, że jest to polecenie zwierzchnika. Czy teraz również otrzymuję od pana polecenie wzięcia udziału w seansie spirytystycznym?

— Tak.

— Czy nie sądzi pan, że mogę to wykorzystać przeciw panu? Ciekawa jestem, co by powiedział dyrektor Marczak, gdyby usłyszał, że zmusza nas pan do wywoływania duchów?

— Pani pragnie objąć moje stanowisko? — zapytałem. — Uprzejmie zawiadamiam, że skargi i zażalenia przyjmuję w poniedziałki, w godzinach od jedenastej do trzynastej.

Nagle Marysi wypadł talerzyk z rąk i rozprysnął się na podłodze. Również pannie Wierzchoń świeca wyleciała z dłoni.

— O Boże, ratunku! — krzyknęła rozpaczliwie i wskoczyła na kuchenny stół, między pozostawione tam kubki i talerze.

— Oooooo! — zapiszczała panna Marysia i poszła za jej przykładem.

Stół zachwiał się, one zachybotwały na nim i podniosły jeszcze głośniejszy wrzask.

Bigos wskazał mi palcem puste miejsce między szafką a piecem: siedziała tam mała, szara myszka i nie zwracając uwagi na wrzaski pań, zjadała kruszynkę chleba.

— Mysz, mysz... mysz! — piszczała panna Marysia.

— O Boże, wypędźcie to zwierzę! — wołała panna Wierzchoń.

Zrobiłem oko do Bigosa i powiedziałem z udanym zdumieniem:

— Nie widzę żadnej myszy. Gdzie ona jest?

— Tam... tam... tam...

— Tam siedzi ten potwór...

Zrobiliśmy z Bigosem zdziwione miny.

— Mysz? — pokręcił głową Bigos. — To nieprawdopodobne. Pan kustosz tak gospodaruje, że wszystkie myszy wyniosły się ze dworu z obawy przed śmiercią głodową.

— Nie udawajcie! Wyproście to zwierzę! — zawołała panna Wierzchoń z wysokości stołu i wskazała palcem myszkę, skubiącą spokojnie okruch chleba.

A my udawaliśmy wciąż, że myszy nie widzimy.

— Kolego Bigos — powiedziałem — biorę pana na świadka, że panna Wierzchoń w godzinach wieczornych obrażała naszą moralność tańcząc na stole kuchennym.

Bigos podrapał się w głowę.

— Nie wiem, czy to można nazwać tańcem, panie kustoszu. Pewne jest jednak, że weszła na stół i pozostawała tam w dziwacznych pozach.

— Czyn taki — dodałem — jest bardzo zastanawiający, jeśli się weźmie pod uwagę, że koleżanka Wierzchoń jest młodym pracownikiem naukowym.

Nagle stół się przechylił. Panna Marysia wylądowała w ramionach kolegi Bigosa, a ja chwyciłem w locie pannę Wierzchoń i uratowałem ją przed upadkiem na podłogę. Spłoszona rumorem mysz czmychnęła w jakiś kąt i przepadła bez śladu.

— Jesteście obrzydliwi — stwierdziła panna Wierzchoń, uwalniając się z moich objęć. — Gdybym wiedziała, że w tym dworze są myszy, przenigdy nie przyjąłabym tu posady. Uważam, że do pana obowiązków, panie kustoszu, należy wytrucie tych potworów.

— Mówiła pani o jednej...

— Na pewno są tu ich tysiące. A pan powinien przeprowadzić deraty...fikację.

— De-ra-ty-za-cję — poprawiłem ją. A potem bezradnie rozłożyłem ręce:

— Nie mogę walczyć ze wszystkim. Na początek będziemy zwalczać zjawy, a potem weźmiemy się za myszy. Walkę z myszami musi poprzedzić specjalna narada.

— Po co?

— Nie wiem, po co. Ale z praktyki życia codziennego wynika, że każdą akcję powinna poprzedzać narada aktywu, a wy jesteście moim aktywem.

Na buzi panny Wierzchoń malowała się niekłamana trwoga.

— Kiedy ja... panie kustoszu... naprawdę boję się myszy. Budzą we mnie straszny wstręt...

Panna Marysia okazała większy hart ducha, ale znajdowała się w znacznie lepszej sytuacji.

— O ile wiem — powiedziała — w naszym domu wczasowym nie ma myszy. Klasnąłem w ręce.

— Spokój, panienki. Zjawy są groźniejsze. Proponuję krótką naradę na temat: z jakim duchem będziemy się kontaktować. Żeby potem nie było nieporozumień. O ile się znam na sprawie, duchy nie lubią kłótni.

Panna Marysia spojrzała na zegarek.

— Seansu chyba nie rozpoczniemy przed dziesiątą wieczorem. Mamy więc jeszcze trochę czasu. Im głębsza noc, tym chętniej zjawiają się duchy.

Znowu zakomenderowałem:

— Proszę siadać. Rozpoczynamy naradę aktywu do walki ze zjawami.

Panna Wierzchem z obawą rozejrzała się po kuchni, poszukując myszy. Z ciężkim westchnieniem przycupnęła na krześle, na wszelki wypadek jednak siadła na podwiniętych nogach.

— Proszę o ciszę — oświadczyłem gromko. — Panna Marysia, jako gość, ma pierwsza głos. Jakiego ducha proponuje pani wywołać i jaki mu podać temat do rozmowy?

Zastanawiała się dłuższą chwilę.

— Wydaje mi się, że najlepiej zrobimy wywołując miejscowego ducha. Zapytamy go po prostu, dlaczego upodobał sobie ten dwór i czemu straszy.

Bigos był odmiennego zdania:

— Uważam, że korzystając z okazji, należałoby wywołać ducha Mozarta. Niechby on autorytatywnie wypowiedział się w sprawie „mocnego uderzenia”. Tyle złych opinii krąży po świecie na temat big-beatu, że jego głos mógłby rozstrzygnąć tę kwestię. Jestem pewien, że Mozart przekona pana kustosza do mojej gitary.

Panna Wierzchoń nie miała w tej materii żadnego zdania. A ja przychyliłem się do koncepcji panny Marysi i zdecydowany byłem zapoznać się z miejscowym duchem oraz przeprowadzić z nim rozmowę dotyczącą jego wizyt we dworze.

I tak o godzinie dziesiątej wieczorem zakończyliśmy naradę. Zabraliśmy z kuchni karton z wyrysowanymi literami alfabetu, talerzyk oraz świecę i poszliśmy do mojej kancelarii, którą panna Marysia uznała za najlepsze miejsce dla odbycia spirytystycznego seansu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SEANS SPIRYTYSTYCZNY • CZY ZJAWA JEST GREKIEM? • ROZMOWA Z DUCHEM POKUTUJĄCYM • ZJAWA DAJE ZNAK • JESTEŚMY W PUŁAPCE • NOCNE WYDARZENIA • CO ROBIĄ ZŁOCZYŃCY? • ZNAKOMITY FORTEL BIGOSA • GDZIE ZNIKNAŁ ANNOPULOS • UWOLNIENIE, I CO DALEJ?

Usiedliśmy na krzesłach dookoła okrągłego stolika, na którym panna Marysia położyła karton z alfabetem i znakami zodiaku oraz talerzyk z zaznaczonym punkcikiem. Bigos przyniósł lichterz i obsadził w nim świecę. Zapaliliśmy ją i zgasiliśmy światło elektryczne.

Blask świecy był nikły i chybotliwy, mój pokój wypełniły ruchliwe cienie. Nasze sylwetki skakały po ścianach i układały się na podłodze. Dwór wypełniała cisza starego domostwa, to znaczy od czasu do czasu trzaskały deski w podłodze, coś szemrało w meblach i boazeriach. Za czarnym od nocy oknem cichutko padał śnieg — bezwiednie pogrążyliśmy się w jakiś dziwny i trudny do nazwania nastrój. Nie pozwalał on na najmniejszy żarcik lub kpinę, która przecież zawsze towarzyszyła wszelkim naszym poczynaniom. Nawet z ust panny Wierzchoń zniknął ironiczny uśmiezek, z jakim odnosiła się do imprezy z duchami. Co do mnie, starałem się zachować jak największą powagę. Nie dlatego, abym wierzył w duchy lub sądził, że ktokolwiek z naszego grona w nie wierzy, lecz po prostu uważam, że zabawa wtedy może się udać, gdy wkłada się w nią całe serce. A przecież seans spirytystyczny miał być tylko zabawą.

Najpierw panna Marysia poprosiła, abyśmy końcami palców delikatnie dotknęli talerzyka. Potem zawołała w półmrok pokoju:

— Duchu pokutujący... wzywamy cię! Duchu pokutujący, wzywamy cię...

Odpowiedziała jej cisza. Słyszeliśmy własne oddechy.

— Duchu pokutujący! — powtórzyła wołanie Marysia. — Odpowiedz nam, czy zjawileś się na nasze żądanie...

Czekaliśmy z napięciem na znak od ducha, głośniejsze trzaśnięcie podłogi lub mebla.

— Duchu pokutujący, czy jesteś z nami?

Nagle talerzyk drgnął pod naszymi palcami. Najpierw nieśmiało przesunął się w lewo, potem w prawo. Po chwili już szybko sunął po kartonie. Czarny punkcik na brzeżku talerzyka dotknął litery „t” i zatrzymał się przy niej na krótki moment. I znowu talerzyk sunął do litery „a” i wrócił do „k”.

„T-a-k” — odpowiedział duch.

Bigos szepnął:

— O rany! Ktoś z nas pcha ten talerzyk. . . Marysia zgromiła go szeptem:

— Niech się pan nie wygłupia. Talerzyk posuwa się pod wpływem fluidów wypływających z naszych palców. Duch już jest razem z nami, w tym pokoju.

I zawołała znowu strasznym głosem:

— Jak się zowiesz, duchu pokutujący? . . .

Talerzyk zaczął sunąć po kartonie.

„A-n-n-o-p-u-l-o-s” — odrzekła zjawa.

— Kim jesteś, duchu pokutujący? — pytała Marysia.

„G-r-e-k-i-e-m.”

Bigos z uznaniem pokiwał głową.

— Jak na Greka, dobrze zna polski i rozumie się na ortografii.

— Cicho! — zgromiła go panna Marysia. Teraz zapytała ducha: — Co robisz w naszym dworze, duchu pokutujący?

Duch odrzekł:

„M-ę-c-z-ę s-i-ę.”

Panna Wierzchoń szepnęła:

— Wszyscy się męczymy. — I nie dopuściwszy panny Marysi do głosu, krzyknęła w półmrok pokoju: — Czy męczysz się z powodu pana kustosza, duchu pokutujący?

Talerzyk szybko pośpieszył ku literze „t”, potem do „a” i do „k”.

„T-a-k” — odpowiedział duch.

— A więc i on cierpi przez pana kustosza — tryumfująco stwierdziła panna Wierzchoń. — To było zresztą do przewidzenia. Nawet zjawom pan żyć nie pozwala. Straszy je pan po nocach, podejrzewa o najgorsze przestępstwa, jeść nie daje, a pracować każe. . .

Byłem oburzony.

— Pozwólcie, że teraz ja o coś tego ducha zapytam. Jestem pewien, że usłyszycie od niego odpowiedź, która pójdzie wam w piętę.

— Nie, nie pozwalamy, żeby pan ducha o coś pytał — zaproponował Bigos. — Nie zgadzamy się, aby pan wykorzystywał ducha dla swoich celów. To prawda, że duchy nie jedzą. Ale my musimy jeść. A co jemy? Ciągła tylko jajecznicą na kielbasie i jajecznicą na kielbasie. Jak w tej piosence, którą śpiewał Witas: „A ona nic, tylko szczaw — pomidory, szczaw — pomidory. . .”

— Popychacie talerzyk — broniłem się.

— Nikt talerzyka nie popycha. To fluidy — powiedziała panna Wierzchoń, a Bigos przytaknął jej skinieniem głowy.

— Fluidy, czyli prądy ponadzmysłowe. — Ale panu kustoszowi żadne duchy nie przemówią do serca. Co innego, gdyby przemówił dyrektor Marczak. Wtedy pan kustosz przejąłby się naszym losem.

— Tak, bo od ducha nie jestem zależny administracyjnie, tylko od dyrektora Marczaka. A poza tym jakim prawem ten Annopulos tutaj mieszka? Nie mamy etatu dla ducha.

— A pewnie — zgryźliwie zauważyła panna Wierzchoń. — Pan kustosz gotów Annopulosa wyeksmitować ze dworu w noc ciemną i w zadymkę śnieżną. Bo nie ma etatu.

Marysia zareagowała dość ostro:

— Proszę państwa, albo rozmawiamy z duchem, albo z sobą. Na sprzeczki macie dość czasu w ciągu dnia. Korzystajmy z okazji i porozmawiajmy z Annopulosem. Przecież chyba warto dowiedzieć się, z jakiego powodu ten Grek pokutuje w tym dworze?

— Niech pani pyta — westchnąłem.

Zaskwierczała świeca, zachybotwały cienie na ścianach.

Panna Marysia krzyknęła w półmrok:

— Duchu pokutujący, nocna maro, dlaczego się męczysz?

Przez jakiś czas talerzyk z cichym szmerem krążył po kartonie. Jakby był niezdecydowany albo walczyły w nim jakieś sprzeczne prądy. Wreszcie duch odpowiedział:

„Z-d-r-a-d-z-i-ł-e-m.”

— Kogo zdradziłeś?

„S-w-e-g-o p-a-n-a” — odparł duch.

Bigos ziewnął głośno.

— Coś mi się wydaje, że teraz usłyszymy jakaś długą i zawiłą historię. A mnie się już spać chce i lada chwila zapadnę w letarg. Proponuję, by duch się streszczał.

Tym razem ja zadałem duchowi pytanie. Uprzejmie zwróciłem się w ciemność:

— Duchu pokutujący, czy ten dwór ma jakieś tajemnice?

Talerzyk szybko sunął od litery do litery. Annopulos powiedział:

„W-i-e-l-e.”

— O rany! — jęknął Bigos. — Jeszcze jeden ze śpiewką o tajemnicach. Gdyby to był duch pana kustosa, to bym się nie dziwił.

— Duchu pokutujący — pytałem dalej — a gdzie się kryją te tajemnice? W którym pokoju?

Talerzyk coraz szybciej krążył po kartonie. Ale nie zatrzymał się przy żadnej literze. Potem zwolnił swój bieg, aż wreszcie zamarł zupełnie.

— A spryciarz — z oburzeniem szepnęła panna Wierzchoń. — Zna tajemnice naszego dworu, ale nie chce ich wyjawić.

— Łobuz — powiedziałem krótko o Annopulosie.

Ku mojemu zdumieniu panna Marysia zareagowała na moje słowa szczerym oburzeniem:

— Tak pan mówi o duchu? Per „łobuz”? Chce pan, żeby duch ukarał pana za to bluźnierstwo?

— Nie wierzę w duchy — ziewnąłem, bo też mi się spać zachciało.

— Ach, tak? Nie wierzy pan? W takim razie zrobimy jeszcze jeden eksperyment. Zgasimy świecę i wezwiemy ducha, żeby dał jakiś szczególny znak.

— O, tak — powiedziałem z przekąsem. — Pani zgasi świecę i korzystając z ciemności da mi pani łokciem w bok. A potem pani powie, że to kara od ducha za moje bluźnierstwo.

— Poprosimy go o jakiś inny znak — powiedziała panna Marysia.

Wtrącił się Bigos:

— Ja proponuję, żeby korzystając z ciemności duch postawił na stole półmisek z kanapkami. Kanapki mogą być z szynką, ogórkiem i kawałeczkiem śledzika. Gdy znajdę na stole taki półmisek, przysięgam, że uwierzę w duchy.

Panna Wierzchoń zaproponowała:

— Korzystając z ciemności, niech duch pokutujący przemieni kustosza w pięknego młodziana.

— Proszę bez osobistych wycieczek — zaproponowałem. — Nie pozwalam wykorzystywać ducha dla własnych ciemnych interesów.

— Tak jest — przyszła mi w sukurs panna Marysia. — Bez żadnych osobistych interesów. Poprosimy ducha. . . — zastanowiła się chwilę. — A zresztą, niech duch sam zdecyduje, jaki da nam znak. Zgoda?

— Zgoda — kiwnąłem głową. — Tylko, powtarzam, nie życzę sobie w ciemnościach dostać sójkę w bok albo żeby mnie duch usmarował sadzą. Duch też powinien pamiętać, że jednak ja tu jestem kustoszem.

Marysia zdmuchnęła świecę. Ogarnęła nas ciemność. Nie widzieliśmy własnych twarzy, swoich rak ani żadnego sprzętu. Tylko okno w pokoju stanowiło nieco jaśniejszą plamę, bo na dworze padał śnieg.

— Duchu pokutujący. . . — wołała grobowym głosem panna Marysia. — Duchu pokutujący. . . zaklinam cię po trzykroć. Daj nam jakiś znak swego istnienia. . . Daj nam znak swego istnienia. . . Daj nam znak! . .

Bezwiednie spoglądaliśmy wszyscy w jasną plamę okna. Dokoła nas trwała martwa cisza. Minęła minuta, dwie. . . Nastawiliśmy uszu.

I nagle aż zamarliśmy. Usłyszeliśmy za oknem cichy szmer. A potem zamknęły się okiennice.

Nikt z nas tego nie mógł zrobić, ponieważ okiennice znajdowały się z drugiej strony okna. Zamykało się je tylko z zewnątrz.

Znaleźliśmy się raptem w zupełnym mroku.

— No, wiecie państwo, coś podobnego — usłyszałem szept Bigosa.

Zerwałem się z krzesła i zapaliłem światło. Potem skoczyłem do drzwi, bo chciałem wybiec na dwór, aby się przekonać, kto zamknął okiennice. Nacisnąłem klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Klucz, który pozostawiłem na zewnątrz, został przekreślony.

Szarpnąłem klamką raz i drugi. Uderzyłem ramieniem w drzwi. Lecz były to solidne, dębowe drzwi starego dworu, trzeba by chyba tarana, aby je wysadzić z zawiasów.

— Jesteśmy zamknięci. I uwięzieni — stwierdziłem.

Marysia i panna Wierzchoń, a wraz z nimi Bigos siedzieli jak przykuci do swych krzesełek. Z niepokojem, a potem ze wzrastającym zdumieniem obserwowali, jak się miotam.

— Dla... dla... dlaczego? — wyjąkał wreszcie Bigos.

— Co dlaczego? — wzruszyłem ramionami.

— Dlaczego jesteśmy zamknięci?

— Nie wiem, panie kolego.

Rzuciłem się do okna. Otworzyłem je, ale trafiłem na zawarte okiennice. Były od zewnątrz zamknięte na żelazną sztabę. I wtedy zrozumiałem, że jesteśmy jak mysz w pułapce.

Panna Marysia i koleżanka Wierzchoń jakby dopiero teraz pojęły sytuację. Jak na komendę wstały z krzeseł i zaczęły biegać po pokoju. Panna Wierzchoń biła pięściami w zamknięte drzwi, łomotała w okiennice, aż ją zaboląły ręce. Wtedy usiadła na krześle i spojrzała na mnie z wyrazem bezradności w oczach.

— Ktoś nas zamknął... .

— A tak — zgodziłem się pogodnie. — A pani nie wierzyła w duchy.

Bigos z ogromnym frasunkiem, który malował się na jego twarzy, długo drapał się w nie uczesaną głowę.

— Zginiemy tutaj z głodu — rzekł po dłuższym namyśle. Ale zaraz się pocieszył: — Na szczęście pan kustosz ma dobry szezlong. Od biedy będziemy mogli na nim spać na zmianę.

Panna Marysia wykrzyknęła z gniewem:

— Ktoś nam zrobił głupi kawał. A ja przecież muszę wrócić na noc do domu wczasowego. Co o mnie pomyślą moje współlokatorki?

— Widocznie duch pokutujący chciał pani zepsuć dobrą opinię — powiedziałem. — Przecież to pani go wzywała i kazała mu pani dać jakiś znak. Dał się nam we znaki, szkoda słów.

— Nie wierzę w duchy — rzekła Marysia.

— Ach, tak? — panna Wierzchoń ze złością podchwyciła jej słowa. — Nie wierzy pani w duchy? A kto nas namówił na seans? Kto zaproponował, żeby duch dał się nam we znaki?

— Pan kustosz zaczął bluźnić — broniła się Marysia.

— No jasne, zawsze ja jestem wszystkiemu winien.

Panna Wierzchoń znowu zerwała się z krzesła. Zbliżyła twarz do zamkniętych drzwi i zaczęła przez nie wołać błagalnie:

— Proszę pana! Niech pan nas wypuści... Niech pan otworzy te drzwi...

— A może to nie jest pan, tylko pani? — zauważyłem.

— Skąd pan wie?

— Nie wiem — wzruszyłem ramionami. — Ale wszystko możliwe.

Panna Wierzchoń skończyła z błagalnymi jękami. Wstąpił w nią srogi gniew.

— Jakim prawem nas tu zamknęto? Trzeba wezwać milicję. Należy surowo ukarać dowcipnisia. To skandal, panie kustoszu. Nikogo nie wolno więzić bezprawnie. Ja żądam, aby sprawcy tego głupiego kawału zostali ukarani.

— Zaczniemy od tego, że to nie jest kawał.

— Zgadzam się. To już nie kawał, a chuligaństwo! — krzyknęła w stronę drzwi panna Wierzchoń.

Usiadłem na krześle, nabiłem tytoniem fajkę. Z całym spokojem zapaliłem ją, co bardzo zdenerwowało pannę Wierzchoń.

— Trzeba działać. Trzeba coś robić, panie kustoszu. Nie wolno siedzieć tutaj z założonymi rękami — pouczała mnie surowo.

— Przecież nie zakładam rąk, tylko nabijam fajkę — powiedziałem. — A zresztą, proszę bardzo. Ma pani pole do popisu. Tym bardziej, że to pani jest wszystkiemu winna.

— Ja? — aż pisnęła z oburzenia. — Ja zamknęłam drzwi i okiennice?

— Tego nie twierdzę. Ale to przecież pani wmawiała mi manię prześladowczą. Oskarżała mnie pani o nadmierną podejrzliwość, wyśmiewała się pani ze mnie, gdy dostrzegałem we dworze jakieś dziwne, niesamowite sprawy. Czy pani w dalszym ciągu nie rozumie, co się tu stało?

— Zostaliśmy zamknięci.

— No, tak. Ale jakim sposobem?

— Ktoś zamknął okiennice i przekręcił klucz w zamku.

— Duch?

— Nie.

— Więc kto? I dlaczego?

— A skąd ja mogę wiedzieć, panie kustoszu!

— Powiem pani: nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby nie osłabiła pani mej czujności, nieustannie wyśmiewając się ze mnie. Tłumaczyłem pani, że ktoś bezkarnie kręci się po naszym dworze mimo zamkniętych drzwi i okien. Nie umiałem wyjaśnić, dlaczego to robi, ale na każdym kroku czułem obecność intruza. Uważam, że dwór posiada tajne przejście z parku. Czyż można inaczej wyjaśnić fakt, że mimo zamkniętych drzwi dostał się teraz do wnętrza i gdy my zajęci byliśmy seansem, po cichu przekręcił klucz w zamku i nas uwięził? Czy

pani naprawdę wciąż jeszcze nie rozumie, że ktoś tutaj czegoś szuka? Co teraz robi w naszym dworze? Proszę o zupełną ciszę i dłuższą chwilę uwagi.

Wstrzymaliśmy oddech w piersiach. My, to znaczy tylko trójka, bo Bigos, gdy rozpoczęła się dysputa między mną a panną Wierzchoń, podkraść się do szezlongu i od razu zasnął, głośno posapując.

Usłyszeliśmy nad głową głośne kroki: ktoś chodził po bibliotece. Potem rozległo się szuranie przesuwanym tam sprzętów, zapewne foteli i krzeseł. Później głośne kroki dobiegły nas od strony schodów.

Osobników było chyba co najmniej dwóch, a może i więcej. Wydało się nam, że słyszymy szmer ściszonej rozmowy prowadzonej w sieni. Po dłuższej chwili stary dwór wypełniły odgłosy stukania, i to w dwóch miejscach naraz.

— Co oni tam robią? — zaniepokoiła się panna Wierzchoń.

— Mówiłem już pani: szukają czegoś. Ostukują ściany.

— A pan im na to pozwala? — oburzyła się. — Pozwoli im pan to „coś” znaleźć i zabrać ze sobą?

— Chętnie skorzystam z pani rady. Gdybym miał siekierę, rozwalilibym drzwi. Ale pięścią tego zrobić nie zdołam. Okiennicy również nie da się wyważyć, bo zamknięta od zewnątrz na sztabę.

— To trzeba wołać o pomoc — zdecydowała panna Wierzchoń. Zaczęła krzyczeć przez zamkniętą okiennicę: — Ratunkuuu! Milicjaaa! Na pomooc!. . .

Jej krzyki wydawały się zupełnie bezużyteczne. Nie było żadnej nadziei, aby o tak późnej porze ktoś przechodził przez park. Nie wierzyłem także, by usłyszał je Janiak w swej izbie w oficynie. Nie wykluczałem zresztą, że znajduje się w tej chwili we dworze jako wspólnik tajemniczych intruzów.

Krzyki panny Wierzchoń przyniosły jednak pewien pożytek — zbudziły Bigosa. Ziewnął potężnie i usiadł na szezlongu.

— Panie kustoszu — zwrócił się do mnie z pretensją w głosie. — Dlaczego pan pozwala, aby ona tak wrzeszczała? W umowie o pracę mamy zagwarantowany nocny odpoczynek.

— Okradają nasze muzeum — powiedziałem. — Panna Wierzchoń woła o pomoc. A pan śpi.

— Bo to najlepsze wyjście w tej sytuacji. Drzwi i okiennice zamknięte. Po co więc na próżno nerwy targać. Poczekajmy do rana, aż Annopulos nas uwolni.

Panna Wierzchoń wciąż krzyczała rozpaczliwie, aż jej głos stał się podobny do piania koguta. Po jakimś czasie można było odnieść wrażenie, że ów kogut jest zarzynany. A po chwili mogła już tylko mówić szeptem, tak była ochrypnięta.

— Niech mnie Bigos zmieni — szepnęła.

— Nie — pokręcił głową. — Nie dam sobie odebrać głosu. Nie mógłbym śpiewać przy wtórze gitary.

— Więc może pani? — z serdeczną prośbą zwróciłem się do Marysi.

Dziewczyna siedziała z głową wspartą na dłoni, smutna i osowiała, a może także śpiąca.

— Zimno mi — poskarżyła się. — Może jednak zamkniemy okno?

Próby wezwania ratunku mocno wyziębily pokój. Zamknąłem więc okno i usiadłem na szeszlengu.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak zdać się na łaskę i niełaskę tajemniczych intruzów — powiedziałem.

Marysia przycupnęła obok mnie. Starczyło miejsca i dla panny Wierzchoń. Bigos usadowił się w fotelu i znowu popadł w letarg.

A z góry i gdzieś z boku dochodziło nas postukiwanie, odgłosy kroków, szuranie przesuwanych sprzętów. Wsłuchani w te dźwięki, trwaliśmy w ponurej zadumie.

Tak minęła godzina, potem druga. Odgłosy stukania i kroków nie ustawały. W starym dworze działo się wciąż coś tajemniczego.

„Co oni tam robią?” — łamałem sobie głowę, w którą, niby młoty, uderzały odgłosy stukania.

Znow minęła godzina. Bigos zbudził się na chwilę i rzekł:

— Ech, zjadłoby się coś...

Potem znowu pogrążył się w letarg.

Panna Marysia skuliła się na szeszlengu i także chyba drzemała, bo nie słyszałem więcej jej westchnień o zepsuciu opinii.

Panna Wierzchoń dotknęła mojej ręki i szepnęła ochrypniętym głosem:

— Panie kustoszu... już więcej nie będę. Wierzę w pańskie nocne zjawy. To jest naprawdę niesamowity dwór.

— Dziękuję pani — uściśnąłem jej rękę.

W tym momencie z letargu ocknął się Bigos. Namyślał się chwilę, a później wziął w ręce opartą o ścianę czerwoną gitarę.

— Przyśnił mi się pewien fortel... — rzekł.

I mocno uderzył w struny gitary. Naprzeciw odgłosom stukania i szurania popłynęły dźwięki.

O, dziwo! Muzyka dolatująca z naszego pokoju jak gdyby zaniepokoiła złoczyńców. Na moment umilkło stukanie.

Wówczas Bigos donośnym głosem wykonał pieśń własnej kompozycji i do własnych słów. Nie miała ona zbyt poetyckich rymów ani rytmu, posiadała jednak znakomity walor: była bardzo głośna, słyszeli ją złoczyńcy.

Bigos śpiewał, uderzając mocno w struny czerwonej gitary:

Na próżnooo stukacieeee...

Na próżnooo pukaacieeee,

Na próżnooo szukacieeee...

Niczegooo nie znaajdziecieeee.

*Bo my to już dawno znaleźliśmyy...
I do Łodzi wywieźliśmyy,
Tajemnice dworu zgłębiliśmyy
I teraz się z was śmiejemyy...*

Rozległ się śmiech Bigosa. Groźny i szyderczy. Był to śmiech, który winien był wstrząsnąć złoczyńcami.

Potem. Bigos jeszcze raz zanucił swoją pieśń i znowu gruchnął jego straszliwy śmiech.

Ku mojemu zdumieniu idiotyczny fortel Bigosa okazał się skuteczny. Wzbudził konsternację wśród złoczyńców. W starym dworze znów zaległa cisza. Może naprawdę uwierzyli, że szukają na próżno? A może po prostu pieśń Bigosa zbiegła się z wybiciem godziny piątej nad ranem, złoczyńcy doszli do wniosku, że czas ich minął?

Nagle zobaczyliśmy, że wiatr odemknął jedną okiennicę: byliśmy wolni.

Otworzyłem okno i wyskoczyłem na dwór, na puszysty śnieg, który padał tej nocy. Przystanąłem i zacząłem się oglądać za śladami, które powinny były pozostać na śniegu.

Gdy tajemniczy KTOS^Ć zamykał okiennice, śnieg dopiero zaczął padać. Ale kiedy odsunął sztabę, śnieg był już głęboki. W puszystej bieli widniały trochę niekształtne ślady jego butów. Prowadziły one od frontowych drzwi dworu i wracały do... drzwi.

Logika kazała wnioskować, że złoczyńca przebywał w tej chwili we dworze. A przecież pewien byłem, że gdybym przeszukał wszystkie pokoje, nie znalazłbym go. Na pewno wyszedł, aby odsunąć sztabę, potem wrócił i prawdopodobnie opuścił dwór tajnym wyjściem.

„Teraz znajdę go, śnieg mi sprzyja” — pomyślałem. I szukając śladów zacząłem obchodzić cały dwór. Spodziewałem się, że ślad butów złoczyńcy odkryję niespodziewanie w jakimś załomie murów lub przed kuchennymi drzwiami. Lecz — nie. Dokoła rozciągała się gładka powierzchnia białego śniegu. Żadna żywa istota nie opuściła dworu przez któreś z okien, przez drzwi kuchenne, ani nie wyszła przez gładką ścianę.

„Więc może on jednak ukrywa się wewnątrz?” — zastanawiałem się. I wróciłem pod okno swojego pokoju.

Zniecierpliwieni moją nieobecnością, panna Wierzchem, Bigos i panna Marysia właśnie wyłazili przez otwarte okno.

— Ja już idę do domu — mówiła płacząco Marysia.

I nawet nie pożegnawszy się z nami, pobiegła przez park w stronę szosy. Na śniegu pozostał po jej butach głęboki ślad, jedyny, jaki oddalał się od dworu.

Wstawał świt, było dość ciepło. Żywopłot i krzaki w parku miały na sobie gruby kożuch świeżego śniegu. Wiedziałem jednak, że zanim nadejdzie południe, śnieg zacznie topnieć, a drzewa i krzaki zgubią swoją piękną szatę.

— I co teraz zrobimy? — z obolałego gardła panny Wierzchem wydobył się cichuteńki szept.

— Wracamy do dworu.

— Którędy?

— Przez drzwi. Myślę, że są otwarte — powiedziałem.

Tak też było. Złoczyńca nie raczył zamknąć drzwi na klucz, który tkwił w zamku po wewnętrznej stronie.

Weszliśmy do sieni. W zamku, w drzwiach mojego pokoju również sterzał klucz. Przekręciłem go i otworzyłem drzwi. Potem zacząłem lustrować wszystkie pokoje na górze i na dole.

Całą noc grasowali we dworze tajemniczy złoczyńcy. Słyszeliśmy, jak puka-
ją w ściany, szurają sprzętami, dochodziły nas nawet odgłosy jakiejś rozmowy. A przecież nigdzie, w żadnym pomieszczeniu nie znaleźliśmy śladu ich obecności. Sprzęty stały na dawnych miejscach, nic nie zginęło. Jakby te odgłosy stukania, szurania i rozmowy snem były tylko.

— To jest naprawdę niesamowity dwór — oświadczył Bigos.

— Wiem o tym — przytaknąłem beztrąsko. Nucąc starą piosenkę: „Błękitne oczy urzekły mnie”, skierowałem się do swego pokoju, aby odpocząć po trudach bezsennej nocy.

Panna Wierzchem i Bigos zastąpili mi drogę.

— Panie kustoszu — szepnęła groźnie panna Wierzchoń. — Pan chyba nie zlekceważy tej sprawy? Pan sobie nuci romanse, a w nocy grasowali złoczyńcy. Biegnij, Bigos, na milicję do Janowa i zawiadom o wszystkim.

„Błękitne oczy urzekły nas” — nuciłem. Bigos złapał się za głowę.

— O Boże, co my mamy z tym kustoszem! No tak, pędzę na posterunek milicji.

— A ja? — zastanawiała się panna Wierzchoń. — Co ja powinnam zrobić? Chciałam dziś jechać do Łodzi. Ale skoro pan kustosz jest w takim stanie...

— Przepraszam — oburzyłem się. — O co wam chodzi? Że śpiewani zamiast ręce załamywać? Tak zawsze nucę, gdy mam kłopoty.

— Ale chyba nie taką bezsensowną piosenkę?

— Piosenka wcale nie jest bezsensowna. W tej niesamowitej historii główną rolę odegrały czyjeś błękitne oczy.

— Nic nie rozumiem. Na wszelki wypadek biegnę jednak na milicję — powiedział Bigos i wyskoczył ze dworu.

— A pani? — zapytałem pannę Wierzchoń. — Jeżeli nie czuje pani nadmiernego znużenia nocnymi wydarzeniami, może jednak pojedzie pani do Łodzi? Jeszcze zdąży pani na autobus odchodzący z Janowa.

Po chwili pozostałem sam w starym dworze. Zamknąłem starannie drzwi i jeszcze raz zacząłem lustrować wszystkie pokoje. Tym razem jednak udało mi się dokonać ciekawego spostrzeżenia.

Oto w bibliotece, tuż obok zegara z pękniętym szkłem, znalazłem na podłodze odrobinę brudnej wody. Wyglądało na to, że ktoś stąpnął na podłogę trochę zaśnieżonym butem, odrobina śniegu odpadła i roztopiła się.

„Więc może tutaj, w bibliotece znajduje się tajne wejście do dworu?” — rozmyślałem.

Lecz znowu naszły mnie wątpliwości. Tę odrobinę śniegu mogłem przynieść na butach ja sam, panna Wierzchoń lub Bigos podczas pierwszej lustracji pokoi. Przecież przyszliśmy tu wprost z zaśnieżonego parku.

„Nic nie wiem, nic nie rozumiem...”. Podrapałem się w głowę i poszedłem do kuchni, żeby przygotować śniadanie dla siebie i dla Bigosa. Oczywiście, nieśmiertelną jajecznicę na kiełbasie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

**NOWE PODEJRZENIA • CO SIĘ PRZYTRAFIŁO BIGOSOWI •
ROZMOWA Z WĄSIKIEM • CZY NAIGRAWAM SIĘ Z WŁADZY? •
GDZIE SIĘ POWINNO UMAWIAĆ NA RANDKI? • SPOTKANIE „POD
ZEGAREM” • JAK DŁUGO IDZIE SIĘ PRZEZ PARK? • ZNIKNIĘCIE
PANNY MARYSI • W TAJEMNICZYM PODZIEMIU • TAJNE
PRZEJŚCIE • NA TROPACH ZJAWY**

Śniadanie zjadłem samotnie, ponieważ Bigos długo nie wracał z posterunku milicji. Pozostawiłem dla niego stygnącą na patelni jajecznicę, narzuciłem na siebie palto i pomaszerowałem do Janiaka. Irytowała mnie myśl, że nobilitowałem go wczoraj na dozorcę, a w nocy zamknięto nas w pokoju i we dworze bezkarnie grasowali złoczyńcy.

Śnieg topniał, ale jeszcze dość grubą warstwą zalegał na trawnikach i ścieżkach. Przed wejściem do oficyny dostrzegłem wyraźny ślad butów. Ślad był pojedynczy, prowadził od szosy do drzwi mieszkania. Wyglądało na to, że nad ranem Janiak wrócił skądś do domu albo że nad ranem ktoś do niego przyszedł i przebywa tam do tej pory.

Długo i mocno waliłem w drzwi. Otworzył mi wreszcie — zaspany, w długiej białej koszuli aż do kostek. Szatę miał jak anioł na świętym obrazku, brakowało mu tylko skrzydeł, lecz jego gęba nie ogolona, ze zmierzwioną brodą i przekrwionymi oczami, nie pasowała do tego niebiańskiego stroju.

— Znowu zasnęłam? — zafrasował się.

— Nocą wdarli się do dworu jacyś osobnicy, zamknęli nas w jednym pokoju i bezczelnie buszowali po wszystkich pomieszczeniach — powiedziałem.

— Co pan mówi! A ja spałam i nic nie słyszałam. Spałam całą noc jak zabity. Nie wiem, co się ze mną dzieje, że mnie taka senność ostatnio ogarnia.

Wzruszyłem ramionami.

— Po co te kłamstwa, panie Janiak? W nocy padał śnieg i widać na nim ślady. Dopiero rano wrócił pan do domu. No cóż, przykro mi, że znowu straciłem do pana zaufanie.

Odwróciłem się na pięcie i pozostawiając go w otwartych drzwiach, ruszyłem w swoją stronę. Rzuciłem jeszcze przez ramię:

— Palić pan już nie potrzebuje, sami damy sobie radę.

Łatwo było powiedzieć, gorzej — wykonać. Bigos wciąż nie wracał z posterunku, więc rad nierad zabrałem się do rozpalania ognia w bibliotece. Zamykałem już drzwiczki pieca, gdy rozległo się głośnie pukanie do drzwi frontowych. U wejścia do dworu stał sierżant milicji. Miał sumiaste, długie wąsy, jak wiarus na starych rycinach.

— Pan jest tu kierownikiem? — zapytał surowo. I zaraz wyciągnął notatnik służbowy. — Czy u pana pracuje niejaki pan Bigos, syn Antoniego?

— Tak jest. Mam takiego współpracownika.

Sierżant „Wąsik” — bo tak go w myślach nazwałem — zerknął na mnie z odrobiną podejrzliwości.

— Więc przyznaje się pan, że niejaki Bigos, syn Antoniego, jest pana współpracownikiem? Bo on, obywatelu, został zatrzymany. Do wyjaśnienia.

— Bi... bigos? — aż zająknąłem się z wrażenia. — Zatrzymany? Co to znaczy, proszę pana?

— Na służbie nie jestem panem, tylko obywatelem — groźnie upomniał mnie Wąsik.

— Za co, obywatelu sierżancie, został zatrzymany? Co on takiego zrobił? — ręce opadły mi bezradnie.

— A to właśnie chcemy wyjaśnić. Co on takiego zrobił?

— Nic nie robi... Właśnie o to chodzi, że nic nie robi. Nie ma z niego żadnego pożytku — poskarżyłem się Wąsikowi. — Więc skoro już został zatrzymany, trzymajcie go nadal — z rezygnacją machnąłem ręką.

— O, przepraszam obywatela — oburzył się Wąsik. — Jeśli jest niewinny, nie ma prawa być zatrzymany. Obywatel żarty sobie stroi z władzy? Jan Bigos, syn Antoniego — Wąsik zajrzał do swego notatnika — wpadł jak bomba na posterunek o godzinie siódmej zero, zero. Następnie głosem wzburzonym złożył doniesienie, że w nocy zjawił się u was jakiś Annopulos, Grek z pochodzenia, u nas nie meldowany. Ów Grek miał rzekomo zamknąć was w pokoju, po czym stuknął i pukał we wszystkich pomieszczeniach. Rankiem odszedł bez śladu. Zgadza się?

— Nie bardzo — mruknąłem.

— A więc Jan Bigos kłamał? — ucieszył się Wąsik.

— Nie kłamał — zacząłem się płatać. — Ten Annopulos był duchem, który...

— Co takiego? — Wąsik patrzył na mnie jak na wariata.

Zrozumiałem, że to człowiek bardzo serio. Zaprosiłem go do biblioteki, usiedliśmy w fotelach. Opowiedziałem mu dzień po dniu o moich wrażeniach z pobytu w starym dworze. Wysłuchał mnie bardzo uważnie, zrobił sobie sporo notatek.

— I nic nie zginęło? — zapytał krótko. Albowiem był to, jak się okazało, człowiek bardzo rzeczowy. Brakowało mu tylko poczucia humoru.

— Podejrzewam, że tajemniczy złoczyńcy poszukują tu czegoś — powiedziałem. — Czerski dokonał jakiegoś odkrycia, ale tajemnicę zabrał z sobą do grobu.

Oni wiedzą o tym więcej ode mnie i starają się tę tajemnicę zgłębić. Nawet domyślam się, kto należy do szajki złoczyńców.

— Kto taki?

Wymieniłem nazwiska. Przecząco pokręcił głową:

— Z góry mówię, że aresztowanie nic nie da. Po prostu nie przyznają się do niczego i nie zdradzą, co wiedzą o tajemnicy. Trzeba będzie obmyślić jakiś inny sposób na te ptaszki. A na razie — zastanowił się chwilę — zostawmy wszystko, jak jest. Nie należy ich płoszyć. Być może obserwują ten dwór i zobaczyli, że tu przyszedłem. Więc aby ich uspokoić, że milicja zlekceważyła wasze doniesienie, wyjdę stąd głośno się zaśmiewając, wstąpię do sklepu gromadzkiego i bąknę, że kierownik we dworze jest trochę stuknięty, bo wierzy w duchy. Oni się na pewno o tym dowiedzą, to uśmierzy ich obawy i na całego ruszą do akcji. A my przemysłimy, w jaki sposób się z nimi rozprawić.

Wstał z fotela, obciągnął na sobie pas. Notatnik schował do torby. Odprowadziłem go aż do drzwi.

— A tego Bigosa zaraz pan będzie miał we dworze — rzekł na pożegnanie, ściskając mi rękę. — I niech go pan pouczy, że milicji trzeba składać oświadczenia krótko i węzłowato.

— Tak jest. Krótko i węzłowato — wyprężyłem się służbiście.

Poszedł. Obserwowałem go przez okno. Szedł ścieżką przez park. W pewnej chwili przystanął. Zastąpił mu drogę Janiak. Już ubrany, w kozuchu i w baraniej czapce na głowie.

Janiak o coś zapytał sierżanta, widziałem, że Wąsik roześmiał się i wskazał palcem dwór. Zapewne powiedział staremu, że kustosz jest wariatem, wywołuje duchy i prowadzi pogawędki ze zjawami.

Z zadowoleniem zatarłem ręce. I choć spotkanie nasze zaczęło się tak niefortunnie, to jednak teraz wierzyłem, że przy pomocy Wąsika wyprowadzimy w pole tajemniczych złoczyńców.

W pół godziny później zjawił się we dworze kolega Bigos. Przyszedł, jak gdyby nic mu się nie przytrafiło. Był tylko trochę markotny. W milczeniu odgrzął sobie jajecznicę na kiełbasie.

— Gdzie pan był tak długo? — zapytałem go z głupia frant.

— Na posterunku. Składałem wyjaśnienia. A oni pisali i pisali, i pisali. Dlatego to tak długo trwało.

— I co? Przeprowadzą dochodzenie?

— A czy ja wiem? Wyśmiali mnie — mruknął Bigos. — Powiedzieli, że takim, co wywołują duchy, różne rzeczy mogą się przytrafić. To nie są ludzie na wysokim poziomie intelektualnym, panie kustoszu. Niech pan za bardzo nie liczy na ich pomoc.

— A ja myślałem, że pana zamknęli.

— Mnie? A niby dlaczego? — oburzył się Bigos.

— Bo ma pan wygląd bardzo podejrzany. Te długie włosy, nie ogolona broda, wzrok dziki, suknia plugawa. . .

— E, pan kustosz zawsze swoje — z niechęcią stwierdził Bigos. I zabrał się do śniadania. Wyraźnie chciał uniknąć dalszej rozmowy na temat swego pobytu na posterunku MO w Janowie.

Potem zajęliśmy się opisem i inwentaryzacją obrazów, rozwieszonych w dworskiej sieni i na klatce schodowej. Tak zbliżyła się pora wydawania obiadów w domu wczasowym „Postęp”.

Zdecydowałem, że na obiad pójde sam, dwór bowiem nie może pozostać bez opieki nawet na krótki czas. Bigos jadł późno jajecznicę, więc nic się nie stanie, jak pomaszeruje na obiad po moim powrocie.

— Ale pan szybko przyjdzie? Na pewno? — niepokoił się Bigos. Przeróżająca mu się wydawała myśl, że mógłbym się spóźnić i on by nie zdążył na obiad do stołówki.

Poszedłem więc do Janówki samotnie, brnąc po topniejącym śniegu.

Stołówka była pełna gości wczasowych, których oglądałem dzisiaj po raz pierwszy. Zapewne rozpoczął się nowy turnus wypoczynkowy. „A panna Marysia nie wyjechała — pomyślałem. — Nie zapowiadała przecież wyjazdu.”

Lecz Marysi w stołówce nie było. Wyznaczony nam przez pana Wasiaka stolik pod oknem nie został zajęty, usiadłem więc przy nim i oczekiwałem, aż podadzą zupę. Po chwili do stołówki zajrzała Zosia, a za nią Antek. Przysiedli się do mojego stolika, czułem, że Zosia ma mi coś ważnego do zakomunikowania.

— Panna Marysia wróciła dopiero rano — oświadczyła mi intymnym szeptem. — To bardzo podejrzane.

Machnąłem ręką.

— Wiem. Razem z nami siedziała zamknięta w mojej kancelarii.

I opowiedziałem dzieciakom o wydarzeniach minionej nocy.

— Ależ to straszna historia! — załamała dłonie Zosia.

— Straszna? Przecież nic złego się nie stało — rozsądnie zwrócił jej uwagę Antek.

— Skąd wiesz? Może tajemniczy Annopulos jednak dokonał swojego? Czy pan kogoś podejrzewa? — zwróciła się do mnie.

Miałem wiele podejrzeń, zwierzyłem się z nich zresztą Wąsikowi. Nie chciałem jednak tymi sprawami zatruwać myśli dwojga miłych dzieciaków.

— Przyszłość wkrótce wyjawí prawdę — rzekłem zagadkowo.

Zosia wygodniej usiadła na krześle i pochyliwszy się ku mnie, zaczęła szeptać:

— Wczoraj napisałem do pana kartkę, że ten facet z valconem opuścił na zawsze nasz dom wypoczynkowy. I to prawda, proszę pana. Z tą różnicą, że zamieszkał chyba gdzieś bardzo niedaleko. Może w hotelu w Piotrkowie? Wczoraj wieczorem, gdy wracaliśmy z generalnej próby *Balladyny*, na szosie w Janowie przemknął obok nas jego valcone. Poszliśmy dalej i zauważyliśmy, że valcone

stoi na szosie przy wjeździe na most. Miał zgaszone światła. Wydało się nam to podejrzane, więc przemknęliśmy bokiem, żeby nas z samochodu nie dostrzeżono. Wleźliśmy z Antkiem pod most i czekamy, co będzie dalej. A dalej tak było, że valcone stał i stał. Zmarzliśmy porządnie i już byliśmy zdecydowani iść do domu, gdy nagle na drodze ktoś się pokazał i skierował do samochodu. Niech pan zgadnie, kto to był?

— Janiak.

— Nie — zachichotała Zosia. — To była panna Marysia.

— Hm — mruknąłem groźnie.

— I niech pan zgadnie, co było dalej?

— Panna Marysia wsiadła do samochodu i pojechała do Piotrkowa na czarną kawę w lokalu „Pod Ormianinem”?

— Kiepski z pana detektyw. Nigdzie nie pojechała. Ten pan wysiadł z samochodu i krótką chwilę rozmawiał z nią bardzo cicho. Potem pożegnali się, a ona powiedziała do niego: „No, dobrze. Będę pod zegarem.” I on odjechał. A ona poszła w kierunku waszego dworu. Pod pachą niosła jakiś rulon owinięty w gazetę. Podejrzane, prawda?

Podrapałem się w głowę. To spotkanie wcale nie wyglądało podejrzanie. Rulon również nie krył żadnej tajemnicy. Panna Marysia niosła w nim karton z alfabetem i znakami zodiaku. Szła na umówiony z nami seans spirytystyczny.

Głos zabrał Antek. Jak zwykle bardzo rozsądnie.

— Niech pan nie przyjmuje żadnych sugestii od Zosi.

— Sugestii? — zdumiała się. — Przecież nic nie daję panu kustoszowi?

— Sugestia to termin naukowy — wyjaśnił jej. — Jest to podsuwanie komuś jakichś własnych myśli. Na przykład, poddawanie myśli osobie pogrążonej w hipnozie. Ty próbujesz nam wmówić, że panna Marysia jest podejrzana. Jak również ten pan z valconem. Ja nie jestem podatny na niczyje sugestie. Lekarz musi być rozsądnym człowiekiem. Oświadczam panu, że w postępowaniu panny Marysi nie było nic podejrzanego. Pan z valconem mieszkał w naszym domu wczasowym, poznał pannę Marysię, a potem musiał wyjechać w jakichś sobie tylko znanych sprawach. Przed jego wyjazdem umówili się na spotkanie. Ludzie dorośli lubią takie spotkania. Nazywa to się randka, prawda?

— Tak jest.

— Na randki ludzie umawiają się w kawiarni, a nie przy wjeździe na most, gdy pada śnieg — przerwała mu Zosia.

Teraz ja się wtrąciłem:

— Przepraszam bardzo, ale wybór miejsca na randki jest sprawą bardzo indywidualną. W czasach studenckich umawiałem się na spotkania w parku, przed kinem. Nieważne było dla mnie, czy padał deszcz, śnieg, wiał wiatr. Nawet burza z piorunami nie odstraszała mnie od umówionego spotkania.

— I dziewczęta przychodziły na te randki? — zaciekawiała się Zosia.

— Różnie to bywało. . .

— Ale nie umawiał się pan przy wjeździe na most. Ani pod zegarem — rzekła tryumfująco Zosia.

— Niestety, w moim rodzinnym mieście, to jest w Łodzi, nie ma żadnego mostu — stwierdziłem. — A pod zegarem się umawiałem. Na placu Wolności w Łodzi jest ratusz, a na nim zegar. I pod tym zegarem wyznaczaliśmy sobie spotkania.

— Więc oni spotkają się w Łodzi, pod zegarem ratuszowym? — powątpiewała Zosia.

— Niewykluczone. I nie ma w tym nic złego — roześmiałem się. — Może zresztą umówili się w innym mieście, pod innym zegarem?

Zosia posmutniała. Na krótką chwilę. Zaraz się ożywiła i zapytała:

— Ale jutro wieczorem pan przyjdzie na przedstawienie *Balladyny*? Przyniosę do dworu specjalne zaproszenie. Przedstawienie odbędzie się w naszej szkolnej sali gimnastycznej. Wczoraj mieliśmy próbę generalną i podobno świetnie grałam.

— Zarozumialec! — burknął Antek.

A ja powiedziałem:

— To dobrze, że wreszcie odbędzie się wasze przedstawienie. Przestaniecie wracać po nocach z prób w Janowie.

— Po nocach? — zdziwił się Antek. — Wczoraj wracaliśmy o szóstej wieczorem.

Tym razem ja się zdumiałem:

— O szóstej wieczorem spotkaliście valcona i pannę Marysię?

— A tak. Co w tym podejrzanego? — zainteresowała się Zosia.

— I panna Marysia wtedy poszła do dworu z rulonem pod pachą?

— Tak.

— W takim razie szła bardzo długo. Albowiem do naszych drzwi zapukała dopiero o dziewiątej. Pod pachą miała rulon z alfabetem do porozumiewania się z duchami.

— Szła przez park trzy godziny — zamyślił się Antek. Ale zaraz tę zagadkę wyjaśnił z właściwym sobie rozsądkiem:

— Może pod drzwiami dworu stwierdziła, że czegoś zapomniała, i wróciła do Janówki? My tego nie mogliśmy zauważyć, ponieważ byliśmy już w domu.

— Może — kiwnąłem głową.

Skończyłem jeść drugie danie i dopijałem wodnisty kompot, gdy Zosia wskazała palcem okno:

— O, panna Marysia. Pewnie znowu idzie na randkę.

Dopiłem kompot.

— Zapytam ją, jak się czuje po nie przespanej nocy — powiedziałem.

Pożegnawszy moich młodych przyjaciół, wyszedłem ze stołówki.

Miałem do panny Marysi sporo pytań, które wymagały odpowiedzi. Ale ona szła szybkim krokiem. Nim opuściłem stołówkę, ona już znajdowała się na szosie przy moście. I jak w opowiadaniu Zosi i Antka, w tym samym momencie nadjechała szosą piękny valcone. Zatrzymał się obok panny Marysi. Kierowca z wozu nie wysiadł, a tylko rozmawiał z nią przez uchylone okno. Wyglądało to tak, jakby obydwój — kierowca i ona — spieszyli się bardzo lub obawiali się, żeby ktoś nie zauważył ich spotkania. Wskazywało na to zachowanie panny Marysi, która w czasie rozmowy raz po raz rozglądała się bacznie na wszystkie strony. Oczywiście, przezornie skryłem się za pnem drzewa rosnącego przy drodze.

Valcone zaraz odjechał, przebył most i znikł w lesie na drugim brzegu rzeki. A Marysia dziarskim krokiem przeszła szosę i znalazła się na ścieżce biegnącej przez dworski park. Ścieżka ta, jak wiemy, była kręta, kluczyła między drzewami, więc po chwili dziewczyna zniknęła mi z oczu.

Wtedy, jak się to mówi, „ruszyłem z kopyta”. Prawie biegiem dopadłem naszego parku. Obliczyłem sobie, że powinienem Marysię dogonić w pobliżu dworu. Ale choć biegłem, dziewczyny już nie zobaczyłem. „Gdzie ona się podziała?” — zastanawiałem się. I pomyślałem, że zawiodły moje przewidywania: pewnie już zdążyła zapukać do drzwi i Bigos wpuścił ją do dworu. Bo gdyby ścieżką szła dalej, musiałbym ją teraz znów zobaczyć między drzewami.

Otworzyłem frontowe drzwi i wszedłem do sieni. Bigosa zastałem w bibliotece, grzał się przy rozpalonym przeze mnie piecu.

— Och, jaki jestem głodny! — Złapał się za brzuch. — Już myślałem, że pan kustosz nie wróci ze stołówki i umrę z głodu.

Rozejrzałem się po bibliotece.

— A gdzie panna Marysia?

— Nie wiem — zdumiał się Bigos.

Nie chciałem mu zaprzętać głowy tajemniczym zniknięciem dziewczyny.

— Niechże pan rusza na obiad — powiedziałem. — Już późno, zaraz skończą wydawanie jedzenia.

W Bigosa jakby nowy duch wstąpił. Nie — jakby go ktoś batem podciął. Zerwał się gwałtownie spod pieca i usłyszałem tylko łomot jego butów na schodach. Prawie natychmiast trzasnęły drzwi frontowe. Bigos pędził do stołówki.

„Gdzie jest panna Marysia?” — medytowałem stojąc w palcie na środku biblioteki.

Zszedłem na dół i zamknąwszy za sobą drzwi (Bigos też miał klucze od dworu), postanowiłem zlustrować aleje. Niewykluczone było, że dziewczyna spaceruje po parku, i to wyjaśniałoby tajemnicę jej zniknięcia.

W alejach parkowych śnieg już prawie zupełnie stopniał. Połacie zszarzałego śniegu zalegały jeszcze tylko trawniki, jak przybrudzone białe płachty, które ktoś rozrzucił bez ładu i składu. Brnąc po mokrej mazi, dotarłem do odrapanej „świętyni dumania” i stanąłem przed dębowymi drzwiami. Zerknąłem przez okno do

wnętrza świątyni, jakbym się łudził, że pannę Marysię zobaczę między cudacznymi figurami, za pan brat z nieszczęsnym Kupidynem.

Przez zakratowane okno wpadała do wnętrza smuga światła. Widziałem więc Kupidyna, figury gipsowe z poobtłukiwanymi nosami, ogrodowe ławki zwalone w bezładną kupę.

I nagle — aż oczy wytrzeszczyłem: na brudnej drewnianej podłodze znaczył się mokry ślad. Przed chwilą więc ktoś był w „świątyni dumania”. Wszedł tam w butach oblepionych tającym śniegiem. Wszedł, choć — jak twierdził Janiak — drzwi były od dawna zamknięte, a klucz gdzieś przepadł.

Nacisnąłem klamkę dębowych drzwi. Otworzyły się bez trudu. Uchyliłem je szerzej i wśliznąłem się między rupiecie.

Ze wszystkich kątów spojrzały na mnie jakieś kalekie postacie, żalosne gryfy bez głów i łap. W moje serce mierzył z łuku Kupidyn, ale na szczęście nie miał strzały.

Interesował mnie tylko mokry ślad na podłodze. Był pojedynczy. Ktoś wszedł do świątyni, ale jeszcze z niej nie wyszedł, chyba że mu buty obeschły. Równie jednak nieprawdopodobna wydała się myśl, że ów ktoś jeszcze przebywa w tym niewielkim przecież, zagraconym pomieszczeniu. „Może kryje się za stertą ławek?” — pomyślałem. Zrobiłem kilka kroków i ostrożnie zajrzałem za ławki, lecz nie zobaczyłem tam nikogo. Ślad kończył się w rogu pomieszczenia. „Przecież ów ktoś chyba się nie rozpląnął, ani nie wsiąknął w ścianę?” — zastanawiałem się gorączkowo.

W miejscu gdzie urywał się ślad, zauważyłem w podłodze prostokątną ryse. Jakby niewielką szczelinę. W podłodze znajdowało się coś w rodzaju kłapy do piwnicy, jaką często spotyka się w wiejskich domach. Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że ów „ktoś” otworzył tę klapę i teraz siedzi w piwnicy pod świątynią.

Zapałałem nie tylko ciekawością, ale i oburzeniem. Przecież ten dwór wraz z przyległościami stał się własnością państwa, należał do organizującego się muzeum. A ja byłem tu kierownikiem i kustoszem. Bez mojej zgody, ba! bez mojej wiedzy ktoś buszował po moich „posiadłościach”. Zapraǳiałem spotkać się z nim oko w oko i zapytać, jakim prawem to robi.

„A może to tajne przejście?” — zelektryzowało mnie nagłe przypuszczenie. W takim razie pod klapą krył się nieuchwytny dotąd duch, sprawca niesamowitych wydarzeń we dworze.

„Ostrożnie, Tomaszu. Nie daj się ponieść nerwom” — upominałem sam siebie. „Duch” mógł być uzbrojony. I chyba świetnie orientował się w podziemnych przejściach. A ja nie miałem przy sobie nic, co mogłoby mi się okazać pomocne do obrony. Ba! nie miałem nawet latarki elektrycznej, a tylko paczkę zapalek i fajkę. Czytałem kiedyś o detektywie, który sterroryzował złoczyńcę za pomocą

fajki. Lecz może ów nieuchwytny „duch” również czytał o tym w książkach i nie da się nabrać na moją fajkę?

„Należy wrócić do dworu po jakiś łom albo zaczekać na powrót Bigosa” — przestrzegął mnie rozsądek. Ale ciekawość okazała się silniejsza. Przykucnąłem na brudnej podłodze i wsadziłem palce w szczelinę. Bez wielkiego wysiłku uniosłem wieko i odsunąłem je na bok.

Zobaczyłem schody zakręcające pod podłogę i niknące w mroku. Schody były z cegły, znaczył się na nich mokry ślad butów.

Zapałem zapałkę i trzymając ją ostrożnie w dwóch palcach, zsunąłem się na ceglane stopnie. Nie zamknąłem za sobą klapy, aby zapewnić sobie łatwy i szybki powrót na górę.

Krok za krokiem, powoli schodziłem w mrok. Naliczyłem siedemnaście stopni, gdy wypaliła się zapałka. W ostatnim błysku gasnącego płomienia zobaczyłem czerniejący przede mną otwór podziemnego korytarza, dość niskiego, zbudowanego z cegły.

Zapałem nową zapałkę i zacząłem posuwać się korytarzem, który wiódł prosto, jak domyślałem się, w kierunku dworu. Zanim dobrnąłem do końca, dwukrotnie musiałem zapalać zapałkę. Potem korytarz raptownie się zwęził. Był tak ciasny, że ramionami ocierałem się o ściany. I znowu zaczynały się schody w górę, dość strome.

„Już wiem — pomyślałem. — Znajduję się we dworze. Wąski korytarz i schody biegną w bardzo grubej, tak zwanej kominowej ścianie.”

Wypaliła się kolejna zapałka. W ciemnościach, jakie mnie ogarnęły, zauważyłem z lewej strony nikły promyk światła. Płynął on z maleńkiego, okrągłego otworu w ścianie. Przytknąłem do niego oko i ujrzałem. . . klatkę schodową naszego dworu. Otwór znajdował się pod sufitem, w drewnianej boazerii. Był to świetny punkt obserwacyjny i chyba z tą myślą go zrobiono. Widziało się przez niego nie tylko klatkę schodową, ale całą sień, ba! nawet frontowe drzwi. Ukryty w korytarzu człowiek mógł zauważyć każdego, kto wchodził do dworu, kto szedł z dołu na górę. „To z tego miejsca obserwował nas nieuchwytny „duch” — myślałem. — Widział nas i śmiał się w kułak, gdy szukając go miotaliśmy się po sieni, biegaliśmy na górę po schodach. Widział też, jak niosłem do biblioteki gąbkę, aby zrobić na niego pułapkę.”

Domyślałem się również, dokąd prowadziły stopnie w korytarzyku, w którym się w tej chwili znajdowałem. Nieuchwytny „duch” wchodził nimi do biblioteki. „Ale którądy? którądy?!” — zapytywałem siebie. I gnany ogromną ciekawością, zupełnie zapomniałem o niebezpieczeństwie, jakie mogło mi grozić. Zapomniałem, że wraz ze mną znajdował się tu także i ów „duch”, o czym świadczył mokry ślad w „świątyni dumania”.

Nie zapalałem już zapalek, aby mej uwagi nie uszły dalsze otwory obserwacyjne, jakie spodziewałem się jeszcze napotkać. Po omacku, w zupełnych ciemnościach zrobiłem kilka kroków po schodach.

Nagle doznałem bolesnego uderzenia w głowę. Było tak silne, że czułem, jak ogarnia mnie bezwład i kolana się pode mną uginają. Wydawało mi się, że tracę oddech. A potem straciłem przytomność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**REFLEKSJE UWIEŻIONEGO • CO ZROBI „DUCH”? • NA WIDOWNI
ZJAWIA SIĘ WRÓG • GDZIE JEST SKRYTKA? • ZAPROSZENIE NA
„BALLADYNĘ” • DŁUGOPIS DEMASKUJE INŻYNIERA • JAKI JEST
MÓJ SĄD O BIGOSIE • ZNOWU O WOLNOMULARZACH •
PRZYGODY W PODZIEMNYM KORYTARZU • ROZUMIEMY JUŻ
TAJEMNICZE ZNAKI**

Ocknąłem się pod wpływem dotkliwego chłodu, który przenikał moje ciało. Tył głowy bolał mnie bardzo i ból ten promieniował aż na czoło. Gdy chciałem dotknąć czoła, przekonałem się, że ręce mam związane do tyłu. Tak samo — grubym powrozem — spętano mi nogi. W ustach miałem jakąś okropną szmatę, lecz na próżno starałem się ją wypluć lub wypchnąć językiem. Przytrzymał ją szalik, owiązany wokół mojej brody.

Dokoła zalegała nieprzenikniona ciemność, zorientowałem się jednak, że znajduję się nadal w tajnym korytarzyku. Tkwiłem w nim związany, w pozycji siedzącej. Plecami opierałem się o ścianę.

Nie mogłem sobie uświadomić, jak długo przebywam tutaj. Nie potrafiłbym też powiedzieć, czy na dworze jest jeszcze dzień, czy też zapadła już noc. Domyślałem się tylko, że chyba znajduję się tu od dość dawna, ponieważ trząsnąłem się z zimna, chłód murów przenikał mnie aż do kości.

Było bardzo cicho. Ale od czasu do czasu odnosiłem wrażenie, że przez mury albo otwory obserwacyjne w ścianach dochodzi do mnie słaby głos czyjejs rozmowy i echo kroków.

Nogi i ręce miałem zdrętwiałe. Zacząłem więc nimi poruszać na tyle, na ile pozwalały mi więzy. Robiłem to tak długo, aż uczucie zdrętwienia ustąpiło. Od tego ruchu zrobiło mi się cieplej, ale wysiłek odezwał się w czaszce tępym bólem, który omal nie przyprawił mnie o ponowne omdlenie. „Duch” obszedł się ze mną bardzo brutalnie. I skrępował mnie sznurem tak mocno, że o uwolnieniu się z więzów własnymi siłami mogłem tylko marzyć. Pozostało mi jedynie cierpliwie czekać.

„Czekać? Na co? — przemknęło mi przez głowę. — Tajemniczy „duch” nie-samowitego dworu — medytowałem — nie zamierza chyba zamrozić mnie w korytarzu czy też skazać na głodową śmierć?”

I zaraz przyszła inna myśl, niewesoła:

„A kto mu przeszkodzi właśnie tak postąpić?”

Trudno sobie było wyobrazić, aby „duch”, który starał się pozostawać nieuchwytny i nigdy nie pokazał nam swego oblicza, obezwładniwszy mnie w tajnym korytarzu, raptem przyszedł do mnie, związanego jak barana, i uchyliwszy kapelusza, powiedział: „A teraz uwolnię pana z więzów i uprzejmie pozwolę, aby opuścił pan tajny korytarz.”

Było oczywiste, że uwalniając mnie, sam skazywał się na kłopoty.

„Ale chyba nie zamierza mieć na swoim sumieniu mojej śmierci?” — pocieszałem się.

Skoro jednak nie wiedziałem, kim jest „duch”, nie mogłem również wiedzieć, czy nie ma sumienia czarnego jak noc w podziemiu. Pozostawała mi więc tylko nadzieja, że może zechce tak długo mnie tu więzić, aż odkryje to „coś”, czego szuka w starym dworze. Bo przecież chodziło o coś, co znajduje się w Janówce.

„A może ktoś inny mnie uratuje?” — zastanawiałem się. Natychmiast jednak odrzuciłem tę myśl. Nikt mnie przecież nie widział, jak wchodziłem do „świątyni dumania”. Nikt też nie mógł się domyślić, że zniknąłem w podziemiu.

„Mogę liczyć tylko na jedno: po mojej śmierci Bigos ułoży balladę o zaginionym kustosz i odśpiewa ją przy wtórze swej czerwonej gitary” — rozważałem. I cieszyłem się, że mimo ciężkiej sytuacji dobry humor mnie nie opuszcza.

Czas jednak mijał, a w moim położeniu nie następowała zmiana. Powoli ni-
kła we mnie nadzieja, że wkrótce odzyskam wolność. Dobry humor ustępował miejsca coraz bardziej ponurym rozmyśleniom.

Na czyją pomoc mogłem liczyć? Bigosa? Panny Wierzchoń?

O Bigosie miałem wyrobiony sąd. Przecież nawet zwykłego meldunku w milicji nie potrafił złożyć. Tak wszystko zagmatwał, że aż sam się wydał podejrzany. A panna Wierzchoń? Powie do Bigosa: „Kustosz gdzieś przepadł, nareszcie będziemy mieli trochę spokoju. Ja go zastąpię.”

Sierżant Wąsik?

Tak, to była osoba, którą należało poważnie brać pod uwagę. Na wieść o moim zniknięciu zapewne zaraz gorliwe zabierze się do poszukiwań. Ale kiedy zostanie zawiadomiony o moim zniknięciu? I czy trafi do podziemnego korytarza? Przecież nawet ja, kustosz i kierownik muzeum, nie wpadłem na myśl, że wejście do tajnego korytarza kryje się w „świątyni dumania”.

Mogłem więc tylko oczekiwać, że nieuchwytny „duch” zdobędzie się na odrobinę litości i znalazłszy wreszcie to, czego szukał we dworze, uwolni mnie z więzów.

„Liczysz więc na dobre serce złoczyńcy? — szydziłem z siebie. — Obyś się nie przeliczył, przyjacielu. . .”

I nagle zobaczyłem światełko. Tuż przed swoim nosem.

Na wprost moich oczu był otwór obserwacyjny do jakiegoś pomieszczenia, w którym zapaliło się światło. Rozpoznałem wnętrze biblioteki dworskiej. Chciałem głośno krzyknąć. Natężyłem struny głosowe, ale knebel w ustach zagłuszył mój jęk. O mało się nie udusiłem, usiłując wołać.

Do biblioteki wszedł w towarzystwie Bigosa mój wróg, a chyba i główny sprawca tajemniczych wydarzeń we dworze. Zobaczyłem. . . Waldemara Baturę. Człowieka, który zajmował się ciemnymi interesami, handlował dziełami sztuki.

Tak więc potwierdziły się moje podejrzenia: Batura interesował się naszym dworem.

„To on jest tym nieuchwytnym „duchem” — pomyślałem. — Gdyby wiedział, że jestem we dworze, przenigdy nie ośmieliłby się tu przyjść. Jeśli przyszedł, to znaczy, że wie, iż mnie tu nie ma, siedzę uwięziony w tajnym korytarzu. A więc to on mnie uwięził.”

Przez otwór obserwacyjny z wściekłością śledziłem każdy jego ruch. Słyszałem też każde słowo.

Batura miał pod pachą gruby notatnik, w rękach trzymał taśmę mierniczą, którą powoli zwijał.

— Szkoda, że nie zastałem kustosza — powiedział do Bigosa. — Słyszałem, że to niezwykle sympatyczny człowiek.

— A tak — bez przekonania zgodził się Bigos. — Sympatyczny, choć trochę dziwak. Myślę, że lada chwila się zjawi. Był tutaj, gdy szedłem na obiad. Ale nie zastałem go po powrocie. Jego samochód stoi w wozowni, to znaczy, że nigdzie nie wyjechał. Być może wyszedł na spacer. Proszę, niech pan usiądzie, panie inżynierze. Zaczekamy na niego.

Batura usiadł na fotelu przy kominku i zapalił papierosa. A ja pomyślałem: „Batura inżynierem? Od kiedy?”

— Jutro rano — ciągnął Batura — przyślę tutaj ekipę budowlaną. Z oględzin, których dokonałem, wynika, że w sali balowej są pęknięte fundamenty. To niewielka robota naprawcza, ale niestety, konieczna. Jeśli nie wykonamy jej natychmiast, cały dwór może się zawalić.

— Tak? — zdumiał się Bigos. — Nie znam się na tym zupełnie. Ale skoro pan, fachowiec w tej dziedzinie, stwierdza konieczność szybkiej naprawy. . .

— Tak. Stwierdzam konieczność — kiwnął głową Batura. — Robota zresztą nie potrwa długo. Najwyżej na jeden dzień wyłączymy salę balową. Przecież państwu na razie ta sala nie jest potrzebna?

— Ach, o tym musi zdecydować pan kustosz — powiedział Bigos. — Trzeba bowiem panu wiedzieć, panie inżynierze, że nasz kustosz jest człowiekiem bar-

dzo wrażliwym. Byłby strasznie oburzony, gdyby się dowiedział, że podjęliśmy decyzję bez jego wiedzy. To człowiek, który chce zrobić karierę administracyjną.

— A jeśli pan kustosz się nie zjawi?

— Czemu miałby się nie zjawić? Przecież on poszedł tylko na spacer. . .

Do biblioteki wkroczyła panna Wierzchoń. Była w palcie, w ręku miała podróżną torbę. A więc chyba przed chwilą przyjechała z Łodzi.

— I co? Czego się dowiedziałas? Kto wynajmował pokoje? — Bigos zasypał ją pytaniami.

Zrobiła ruch ręką, nakazując mu milczenie. I znacząco wskazała oczami Baturę. Bigos przedstawił jej go:

— To jest pan magister inżynier Jan Pakuła, architekt z powiatu. Przed dwoma miesiącami nieboszczyk Czerski zwrócił się do Wydziału Architektury z prośbą o naprawę fundamentów w sali balowej. I pan inżynier przyjechał, aby obejrzeć fundamenty. Zdecydował, że konieczna jest natychmiastowa naprawa, gdyż w przeciwnym razie cały budynek się zawali.

— Nie można powiedzieć, aby pan był szybki w działaniu — stwierdziła panna Wierzchoń. — Dwa miesiące minęły, zanim pan tu przyjechał.

Batura zerwał się z fotela i głośno cmoknął jej dłoń.

— Pani pozwoli, że jej pomogę zdjąć palto. Tu w bibliotece jest bardzo ciepło. A jeśli chodzi o sprawę tych dwóch miesięcy, to pragnę pani wyjaśnić, że wówczas dwór był prywatną własnością. Obowiązkiem Czerskiego było kłopotać się o naprawę własnego, zabytkowego obiektu. Teraz sytuacja uległa zmianie. Dwór stał się własnością państwa, będzie tutaj muzeum, więc oczywiście przyjechałem, aby sprawę zbadać na miejscu.

Dopomógł jej zdjąć palto, a ona podziękowała mu za to miłym uśmiechem.

— A gdzie kustosz? — zapytała Bigosa.

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Po obiedzie poszedł na spacer i do tej pory nie wrócił.

— Po obiedzie? Przecież już szósta — spojrzała na zegarek. — I nie mówił, dokąd idzie?

— W ogóle się z nim nie widziałem. Wysłał mnie na obiad, a gdy wróciłem, już go nie było.

— Więc skąd wiesz, że poszedł na spacer?

— Domyślam się tylko. . .

— Dziwne. . . — mruknęła panna Wierzchoń. — Bardzo dziwne.

Zerknęła na Baturę i chyba zauważyła w jego wzroku coś równie dziwnego, bo zapytała:

— Czemu pan tak na mnie patrzy?

— Bo. . . bo pani. . . — zająknął się Batura — pani jest bardzo piękna. Jestem oszołomiony pani urodą. Nie spodziewałem się, że w tym starym dworze zastanę istotę tak urzekającą. . .

— Czy pan nie przesadza? — powątpiewała. Ale nie byłaby dziewczyną, gdyby takie słowa nie wydały się jej miłe.

— Przysięgam, że nie przesadzam. Zrobiła pani na mnie piorunujące wrażenie — z entuzjazmem wołał Batura. — Już raduję się na samą myśl, że jutro wraz z ekipą budowlaną znowu przybędę do Janówki.

— Z jaką ekipą? Po co?

— Przecież musimy naprawić fundamenty w sali balowej. Mówiłem już, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Cały dach może się zawalić.

— Ale pan kustosz. . . — zaczęła panna Wierzchoń.

— Pan kustosz jest wybitnym znawcą historii sztuki — stwierdził Batura — ale od starych murów fachowcem jestem ja, proszę pani. Stwierdziłem niebezpieczeństwo zawalenia się zabytkowego dworu. Uważam za konieczne natychmiastową naprawę. W przeciwnym razie państwo poniosą odpowiedzialność za to, co się może wydarzyć.

Panna Wierzchoń trochę się przestraszyła.

— Ależ proszę pana, nie mamy żadnych zastrzeżeń co do naprawy fundamentów. Jednak pan kustosz musi o tym zdecydować.

— Dobrze. Zaczekamy na kustosza — westchnął Batura. — Tylko jak długo będziemy na niego czekać?

Pomyślałem: „Łajdak Batura, dobrze wie, że kustosz się nie zjawi, bo siedzi uwięziony za ścianą biblioteki. Jeszcze trochę poczeka, a potem pod groźbą zawalenia się dachu wymusi u Wierzchoń i Bigosa zezwolenie na wprowadzenie ekipy budowlanej. A ta ekipa, zapewne przez niego zorganizowana, zamiast naprawiać fundamenty wykuje jakąś dziurę do skrytki, gdzie kryje się to „coś”, czego on tu szuka. Znalazł skrytkę, która ma chyba jakiś ścisły związek z salą balową, bo tam właśnie chce pracować ze swoją ekipą. I jutro rano, gdy ja będę nadal tu tkwił, Batura osiągnie swój cel. A potem uwolni mnie z więzów. . .”

Batura zaś, nie tracąc czasu, za wszelką cenę starał się wkraść w łaski panny Wierzchoń.

— Czy pani nie nudzi się w tym starym dworze? — zapytał z uprzejmą miną. — Czy nie tęskni pani za kinem, teatrem, tańcami? Taka piękna kobieta nie powinna kryć się w starym dworze, między zabytkami. Jakże pięknie wyglądałyby pani w moim błękitnym wartburgu. Czy nie obrazi się pani, jeśli ją jutro zaproszę na wieczorek taneczny do „Europejskiej” w Piotrkowie? Jestem pewien, że będzie pani królową wieczoru. . .

Panna Wierzchoń zdawała się być oczarowana tą lawiną zachwyków i propozycji. Ale powiedziała ze smutkiem:

— Nie wiem, czy pan kustosz mi pozwoli. On jest bardzo surowy.

— Tak, to tyran — powiedział Bigos.

— Czyżby? I państwo tak znoszą te tyranie? Należy się zbuntować.

— Próbowaliśmy — westchnęła panna Wierzchoń — ale bez rezultatu. Zresztą, proszę pana, sytuacja jest specyficzna. Nie mam prawa wprowadzać pana w nasze sprawy, ale ten dwór jest miejscem dziwnych wydarzeń. Gdy wyjaśnimy je, wszystko będzie wyglądać inaczej. Może i pan kustosz przestanie być tyranem?

— Dziwne wydarzenia? — Batura zrobił zdumioną minę.

— No, choćby to zniknięcie kustosa — powiedziała panna Wierzchoń. — Był kustosz i nie ma go.

— Tak jest — posłusznie zgodził się Bigos. — Był kustosz i nie ma go.

— Zaczynam być niespokojna — oświadczyła panna Wierzchoń. — Może należałoby go poszukać?

Batura roześmiał się nieszczerze:

— Jeśli chwilową nieobecność kustosa państwo nazywają dziwnym wydarzeniem, to takie „dziwności” można wszędzie spotkać, na każdym kroku. Kustosz zapewne poszedł na randkę.

— Owszem — przytaknął Bigos. — Poszedł na randkę z panną Marysią. On się w niej podkochuje. Ostatnie słowa, jakie od niego słyszałem, to była piosenka: „Błękitne oczy urzekły mnie.” A panna Marysia ma oczy błękitne.

Panna Wierzchoń tupnęła nogą.

— Dostyc tych żarcików. Gdzie jest kustosz?

I wtedy chyba rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Pisze „chyba”, ponieważ ja nie usłyszałem go. Zauważyłem tylko, że Bigos zerwał się z fotela i wybiegł z biblioteki. Po chwili wrócił w towarzystwie Zosi i Antka.

Jak przysłało na dobrze wychowaną panienkę, Zosia dygnęła na powitanie i kładąc na stole trzy małe kartoniki, wyjaśniła:

— Przynieśliśmy zaproszenie na przedstawienie *Balladyny*. Ja będę grała główną rolę — dodała z dumą.

Bigos pogardliwie skrzywił usta:

— *Balladyna*? Myślę, że możemy sobie darować...

Wierzchoń wzruszyła ramionami:

— Nie lubię szkolnych przedstawień. Prezentuje się w nich amatorszczyznę. Kiedyś też grywałam w szkolnych przedstawieniach i wiem, że jedyną frajdę mają wykonawcy, a publiczność ziewa.

Zosia i Antek poczuli się dotknięci.

— Pan kustosz obiecał, że przyjdzie — powiedział Antek.

— Słyszałam w stołówce, jak państwo narzekali na brak rozrywek kulturalnych... — przypomniała im Zosia.

Bigos lekceważąco machnął ręką.

— Nie o takie rozrywki nam chodziło, moje dzieci. Ja uznaję tylko „mocne uderzenie”.

— Ja zaś bardzo lubię teatr, tylko że prawdziwy — rzekła panna Wierzchoń.

— Ale pan kustosz przyjdzie na przedstawienie, prawda? — dopytywała się Zosia.

Bigos pokręcił głową.

— Chwilowo nie ma pana kustosza. Zdaje się, że poszedł na randkę.

— Umówił się „pod zegarem”? — zapytała naiwnie Zosia. I spojrzała na ogromny zegar, stojący w bibliotece.

Zauważyłem, że w tym momencie w twarzy Batury nastąpiła zadziwiająca zmiana. Zniknął z niej uśmiech, a pojawiło się napięcie.

— Pod jakim zegarem? — zdziwił się Bigos. — On się zapewne umówił z panną Marysią.

Zosia wyjaśniła:

— Panna Marysia zawsze umawia się na randki „pod zegarem”. Więc jeśli z nią miał się spotkać...

Panna Wierzchoń złożyła ręce jak do modlitwy i spojrzała w sufit, jakby w niebiosach, wołając o pomoc:

— O Boże, co te dzieciaki wygadują!

A ja, drżąc z chłodu w ciasnym korytarzyku za ścianą, pomyślałem: „Zosia jest genialna. Tak, panna Marysia umawia się pod zegarem.” Albowiem w tej chwili jedna z tajemnic niesamowitego dworu została dzięki Zosi wyjaśniona.

— Nie jesteśmy dziećmi — oburzył się Antek, dotknięty do żywego uwagą panny Wierzchoń.

— A tak, tak, wiemy — łaskawie zgodził się Bigos. — Nie ma się o co obrażać. W końcu każdy człowiek, nawet dorosły, jest czyimś dzieckiem. Nie kłópcie się. Jak tylko pan kustosz powróci do dworu, natychmiast wręczymy mu zaproszenie. Przypuszczam, że pójdzie na przedstawienie. Jeśli chodzi o jego osobę, nic mnie już nie zdziwi. Być może uwielbia szkolne przedstawienia, a nade wszystko zachwyca go *Balladyna* w wykonaniu młodzieży z Janowa. A teraz wracajcie do domu i przyjmijcie od nas podziękowanie za zaproszenie, z którego, niestety, nie skorzystamy z braku... — zastanowił się — wolnego czasu.

Zosia wykrztusiła z oburzeniem:

— Pan nie ma zrozumienia dla prawdziwej sztuki!

Antek szurnął nogami na pożegnanie. Ale Zosia nie zamierzała jeszcze odejść. Wsadziła dłoń do kieszeni i wyjęła wielokolorowy długopis firmy „Walker”. Położyła go na bibliotecznym stole i podsunęła w stronę Batury.

— Zwracam panu długopis. Znalazłam go w parku, w krzakach. Zgubił go pan przedwczorajszej nocy.

Batura gwałtownym ruchem odsunął od siebie długopis.

— Ty się chyba mylisz? To nie jest mój długopis. Ja zresztą nie byłem nocą w parku...

Zosia spojrzała na Antka, a on na Zosię. Dziewczynka stwierdziła z powagą:

— To jednak pański długopis. Widziałam go, gdy przyjechał pan do tego pana z valconem, który mieszkał w naszym domu wczasowym. Tym wielokolorowym długopisem coś pan rysował na serwetce. Zwróciłam na to uwagę, bo długopis jest niezwykły.

A Batura — ten nad wyraz sprytny człowiek — zmieszał się okropnie. Chciał coś powiedzieć, może zaprzeczyć słowom Zosi, ale wydało mu się to bezcelowe. Zamachał rękami, bąknął coś pod nosem, a potem, jeszcze bardziej skonsternowany, zerwał się z krzesła.

— Tak, tak — mruknął — to chyba mój długopis. Nie wiem, jakim cudem znalazł się w krzakach w parku. Dziękuję wam, moje dzieci.

Opanował się szybko. Schował długopis do kieszeni. Skłonił się pannie Wierzchoń i Bigosowi:

— To ja już sobie pójdę. Żegnam państwa. A w sprawie tej ekipy remontowej porozumiem się z kustoszem, gdy wróci. Może jutro tu zajrzę.

Jeszcze raz się ukłonił i szybkim krokiem wyszedł z biblioteki.

Zosia dygnęła, a Antek znowu szurnął nogami.

— My także już pójdziemy. Do widzenia państwu — powiedzieli.

Bigos poszedł odprowadzić ich do drzwi frontowych, panna Wierzchoń pozostała sama w bibliotece. Widziałem, jak podniosła rękę do czoła i długą chwilę trwała tak, głęboko zamyślona.

A ja, rozwścieczony swoją sytuacją, zacząłem bezradnie szarpać się w więzach. W ciasnym korytarzu rzucałem się jak ryba w sieci, lecz osiągnąłem tylko tyle, że boleśnie uderzyłem się głową o mur.

Usłyszawszy za ścianą szamotanie, panna Wierzchoń zerwała się z fotela i z przerażeniem rozejrzała się po bibliotece.

— O rany — szepnęła. — Tu znowu coś straszy... Przestałem się szarpać w więzach, w obawie, by jej nie spłoszyć. Gdyby przeniosła się do kuchni, straciłbym szansę obserwowania poczynąń moich współpracowników. Znowu więc zamarłem w bezruchu i czekałem na powrót Bigosa.

Rozglądając się z lękiem na wszystkie strony, panna Wierzchoń usiadła na powrót w fotelu, a po krótkiej chwili zjawił się Bigos.

— I co? Czego dowiedziałaś się w Łodzi? — zapytał z zaciekawieniem.

— Zaczekaj chwileczkę, potem ci opowiem — dotknęła ręką czoła. — Nie sądzisz, że to wszystko wygląda bardzo dziwnie?

— Co wygląda? — zakłopotał się Bigos.

— No, ten inżynier. Nie wydaje ci się, że jego zachowanie było dziwne? Najpierw stwierdził, że to nie jego długopis, a potem przyznał się do niego i zabrał go. Spotykał się z tym podejrzanym facetem, który był w teatrze tego samego wieczoru co my i potem ścigał się z nami na szosie. Pamiętasz, co o tym człowieku mówił nam kustosz i jakie w związku z jego osobą nasunęły mu się podejrzenia? Słuchaj, Bigos, a ty oglądałeś legitymację tego inżyniera?

Bigos podrapał się w głowę, która przypominała wielkie wronie gniazdo albo jemiolę na drzewie.

— Nie oglądałem — przyznał się. — Jakoś niezręcznie było pytać go o legitymację. Przedstawił się jako inżynier z Wydziału Architektury i Urbanistyki, wyłuszczył, jaką ma do nas sprawę. No wiesz, jak to jest: gość w dom, Bóg w dom. Staralem się być uprzejmy. Powiedział, że chce wymierzyć ściany we dworze. Nawet mu pomagałem. Myślę, że nic złego się nie stało. . .

— Nie wiadomo. Bo może to nie był wcale inżynier architekt, a ktoś z kręgu Annopulosa?

— O rany, chyba nie przypuszczasz. . .

— A właśnie, że podejrzewam najgorsze. Przecież już wiemy, że ktoś tutaj czegoś szuka, jakiejś skrytki. A ty pozwoliłeś obcemu człowiekowi wymierzyć ściany we dworze.

— Sądzisz, że ten inżynier szukał skrytki? — zapytał zrozpaczony Bigos.

— A tak. Choć nie mam pewności. Przecież on był taki sympatyczny. . . — wspomniała widać komplementy, którymi ją obsypał.

Bigos złapał się oburącz za swoją skołtunioną głowę.

— Już sobie wyobrażam, co powie o mnie kustosz, jak się dowie o wizycie tego inżyniera.

Panna Wierzchoń poklepała go po plecach. I stwierdziła tonem, który miał go pocieszyć:

— Nie łam się, Bigos. Kustosz i tak sądzi o tobie, że jesteś niezbyt rozgarnięty, więc zdania o tobie nie zmienia.

Bigos znowu podrapał się w głowę.

— Powiedz mi tak szczerze — odezwał się — co myślisz o tym wszystkim? Czego tutaj szukają ci dziwni faceci? I czego dowiedziałaś się w Łodzi?

Panna Wierzchoń wyjęła z torebki niewielki notatnik.

— Sprawy wynajęcia hotelu i kupna biletów do teatru nie udało mi się wyjaśnić. W "Grand Hotelu" poinformowano mnie, że ktoś wynajął pokoje na nasze nazwiska, opłacił je i zostawił dla nas bilety do teatru. Niestety, nikt w recepcji nie umiał opisać mi wyglądu tego człowieka. Podobno był to mężczyzna, i to jeszcze dość młody.

— Nie pokazywał dowodu osobistego?

— Tego nie wymaga się przy rezerwowaniu i opłacaniu pokoi. Dowód osobisty potrzebny jest do zameldowania w hotelu. Tak więc ów osobnik nie pozostawił właściwie żadnych śladów, które dopomogłyby go zidentyfikować. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do Janówki. Ale do powrotnego autobusu miałam dużo czasu, więc poszłam do Biblioteki Uniwersyteckiej. Poprosiłam o te dwie książki, których, pamiętasz, brakuje w księgozbiorze Czerskiego.

— Otrzymałaś je?

— Tak. To broszurki. W ciągu dwóch godzin przestudiowałam je dokładnie i nawet zrobiłam sobie sporo notatek. Otóż, mój drogi Bigosie, ten nasz stary dwór był... no, zgadnij!

— Nie będę zgadywał. Mów, bo umieram z ciekawości — zawołał Bigos.

Ja także, trzęsąc się z zimna za ścianą biblioteki, z kneblem w ustach i więzami na rękach i nogach, chciałem krzyknąć podobnie. Lecz głos uwiązł mi w gardle. Szarpnąłem się i stuknąłem obcasami w ścianę.

— Słyszysz? Coś stuka. Znowu... — szepnęła panna Wierzchoń.

Bigos lekceważąco machnął ręką.

— Daj spokój, niech sobie stuka. Mów, jeśli nie chcesz mojej śmierci. Czym był nasz stary dwór?

— Był... lożą wolnomularzy.

Odpowiedź panny Wierzchoń wyraźnie rozczarowała Bigosa.

— Tak? I co z tego wynika? Myślisz, że to ma jakiś związek z niesamowitymi sprawami, które dzieją się teraz? O ile wiem, dzieje wolnomularzy to czasy odległe, przynajmniej sprzed stu, a nawet stu pięćdziesięciu lat. Więc, jak się to mówi: co ma piernik do wiatraka?

— No, proszę — panna Wierzchoń pokiwała głową. — Nasz kustosz jednak ma rację. Ty się musisz nauczyć myśleć, drogi Bigosie. Kustosz powiedział, że zagadek historycznych nie da się rozwiązać bez dużego zasobu wiedzy.

— To mówił pod twoim, a nie moim adresem.

— Tak. Ale ja już wyciągnęłam wnioski, a ty nie.

— Dobrze, dobrze, więc powiedz o tych swoich wnioskach. Nasz dwór był lożą wolnomularzy i co z tego wynika?

— Wolnomularze kochali się w tajemniczości. Swoje dziwne obrzędy kryli przed światem, nosili specjalne stroje, posługiwali się tajemnym i pełnym symboli rytuałem. A ponieważ tak bardzo uwielbiali tajemniczość, czy nie sądzisz, że miejsce ich spotkań, czyli loża masońska, było tak samo tajemnicze?

— Tajemnica i tajemniczość, tajemniczość i tajemnica. Tajemnica tajemnicę pogan — złościł się Bigos.

— A właśnie że tak! Ponieważ ten dwór był ich tajną lożą, jestem pewna, że kryje w sobie wiele zagadek, tajemnych przejść i skrytek. A co zawierają te skrytki? Miejże trochę wyobraźni, drogi Bigosie. Świetnie wyobrażam sobie tych tajemniczych ludzi, którzy przyjeżdżali tutaj, aby się spotkać w największej tajemnicy przed światem i dokonywać tu swych dziwnych obrzędów. Zapewne wchodzili do dworu tajnym przejściem i naradzali się w tajemnych komnatach. Gdzieś tutaj, w tym dworze znajdowały się skrytki z ich strojami, z przedmiotami ich kultu i rytuału. W tych dwóch książeczkach, które dziś przeczytałem, jest napisane, że w Polsce wolnomularze przeżywali różne okresy. Na przykład, w osiemnastym wieku, w czasach gdy Polska była jeszcze wolna, ich organizacja mogła rozwijać się swobodnie, ba! król Stanisław August był także wolnomularzem i popierał

rozwój łóż masońskich, które zajmowały się dobroczynnością, budowały szpitale i przytułki dla starców. Ale potem nastąpił pierwszy i drugi rozbiór Polski. Wówczas jednym z celów tajnego związku wolnomularzy polskich stało się odzyskanie wolności i swobód dla kraju. Polscy wolnomularze biorą udział w wojnie Napoleona z Aleksandrem I, wierząc, że wraz ze zwycięstwem Francji uda się dokonać wskrzeszenia ojczyzny. Ale i po klęsce Napoleona pod Moskwą w 1812 roku nie zginęły nadzieje polskich wolnomularzy na odzyskanie wolności. Zwycięski car Aleksander I, chcąc umocnić swoje panowanie w Polsce i pragnąc zdobyć popularność, przebrał się w strój „przyjaciela Polaków”, pragnął uchodzić za światłego monarchę, rzecznika swobód demokratycznych. W 1815 roku nastąpił ponowny rozkwit łóż masońskich w Polsce. Car Aleksander, sam wolnomularz, czynnie popierał polskich masonów i na cele dobroczynne łóż wpłacał duże sumy pieniędzy. Działo się tak jednak tylko do chwili, gdy zorientował się, że polscy wolnomularze bynajmniej nie zamierzają poprzestać na tajemniczych obrzędach, lecz pragną osiągnąć wolność dla Polski. Toteż w 1821 roku wydaje car ukaz o zniesieniu wolnomularstwa, zarzucając masonom, że zamiast zajmować się dobroczynnością, prowadzą działalność polityczną. Na mocy ukazu zamknięto wszystkie loże w Polsce i w Rosji, a przynależność do wolnomularstwa była ścigana policyjnie.

Bigos złożył ręce i wyciągnął je w kierunku panny Wierzchoń.

— Błagam cię, skończ ten wykład. Przecież to nie ma żadnego związku z niesamowitymi sprawami w naszym dworze.

— Znowu się myślisz — oburzyła się panna Wierzchoń. — Posłuchaj mnie, Bigos, i zastanów się. Czy nic ci nie mówi ta data: 1821 rok?

— Nic — ziewnął Bigos.

— A jaka data widnieje nad frontowym wejściem do naszego dworu?

— Tysiąc osiemset dwadzieścia jeden — odparł zdumiony kolega Bigos. — Ale chyba nie sądzisz. . .

— Właśnie że sądzę. Zbieżność tych dat nie jest przypadkowa. Ten dwór zaczęto budować w tym samym roku, gdy car kazał zamknąć wszystkie loże masońskie w Polsce i w Rosji. Dokumenty mówią, że polscy wolnomularze nie podporządkowali się woli cara, tylko ich działalność przybrała jeszcze bardziej konspiracyjny charakter. Nie zapominaj, że wolnomularzami w Polsce byli ludzie niezwykle bogaci i wpływowi. Gdy zamknięto ich loże, znaleźli dosyć środków, ażeby stworzyć nowe, przystosowane do nowych warunków pełnej konspiracji. Ten dwór zbudowano z myślą, że stanie się on miejscem spotkań konspiracyjnych. I dlatego jestem pewna, że kryje się tu wiele tajemnic. Może to właśnie w Janówce obmyślano plan powstania listopadowego? Nie zapominaj, że wielki wkład w przygotowanie powstania wnieśli polscy wolnomularze. Było ich bardzo wielu, a formy działalności mieli przeróżne. To właśnie oni byli inicjatorami powstania licznych tajnych związków o charakterze narodowo-patriotycznym, takich jak związek wojskowy Prawdziwych Polaków, założony przez oficerów

Prądyńskiego, Małachowskiego i Kołaczkowskiego, czy Wolnomularstwo Narodowe, powstałe za sprawą Waleriana Łukasińskiego. A słynne Towarzystwo Filomatów, jak również Promienistych i Filaretów, czyż nie powstało z inicjatywy wolnomularzy? Polscy masoni byli gorącymi patriotami, ukaz carski bynajmniej nie zahamował ich działalności niepodległościowej. Nasz dwór stał się dla nich nową lożą, w której w warunkach pełnej konspiracji mogli się schodzić na narady. Dlatego twierdzę, że będzie tu można dokonać niejednego ciekawego odkrycia.

— Jakiegoś odkrycia dokonał i Czernski — rzekł Bigos. — Teraz rozumiem, o czym mówiły te znaki, które w chwili gdy Czernski umierał, narysował mu na kartce pan z valconem. Chodziło o wyjaśnienie odkrycia Czernskiego, związanego z wolnomularską przeszłością tego dworu.

— A tak. Tylko że Czernski tajemnicę zabrał z sobą do grobu. I my musimy ją odkryć.

— O ile nie ubiegnie nas tajemniczy Annopulos. Bo jak nietrudno się teraz domyślić, dąży on do tego samego.

Chciałem krzyknąć ze swego więzienia za ścianą: „Czernski pozostawił nam wskazówkę: *„W węzłach splecionych, w strąconej koronie”*. To jest droga do dokonania nowego odkrycia.”

Ale knebel bardzo mocno siedział mi w ustach. Gdy wysiliłem gardło, nagle zabrakło mi tchu, uczułem, że się duszę.

I zemdlałem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**WIDZIADŁA CZY RZECZYWISTOŚĆ? • ROZMOWA O KUSTOSZU •
ŻMIJA • DYREKTOR MARCZAK ZAMIERZA PODJAĆ DECYZJĘ •
GDZIE ZNIKNAŁ POMYŁONY KUSTOSZ • DRAMAT PO WIELU
LATACH • CZY UWOLNIĘ SIĘ Z WIĘZÓW? • ODWIEDZINY
ZŁOCZYŃCÓW • DWA WORKI ZE SKARBAMI • URATOWANY •
NOWY PLAN • ZDUMIENIE DYREKTORA • CZY POSIADAM
MASZYNKĘ DO ZGADYWANIA MYŚLI?**

Miałem wrażenie, że śnię albo popadłem w malignę pełną dziwnych widziadeł. Chciałem przetrzeć oczy, lecz moje ręce były związane do tyłu i prawie ich nie czułem, tak mi ścierpły. Mimo knebla oddech mój był równy i normalny. Tak więc widok, jaki oglądałem przez otwór w ścianie, należało uznać za rzeczywistość. Choć trudno mi było się z tym pogodzić.

W bibliotece dworskiej, na fotelach przysuniętych do rozgrzanego pieca siedzieli: dyrektor Marczak i piękna panna Marysia, obydwójce pogrążeni w miłej towarzyskiej pogawędce. Brakowało Bigosa i panny Wierzchoń. Dyrektor Marczak palił papierosa i od czasu do czasu przyglądał dłonią siwe włosy. A Marysia robiła zalotne minki, wyraźnie starając się zjednać sobie sympatię starszego pana.

— Przechodząc przez park, zobaczyłam przed podjazdem samochód z warszawskimi numerami — szczebiotą. — Wstąpiłam tutaj zaciekawiona, jakich to gości ma kustosz. Bo ja tu jestem na wczasach, proszę pana. I zaprzyjaźniłam się z kustoszem i z całą resztą muzealnego towarzystwa. To bardzo mili ludzie. Podziwiam, z jakim heroizmem znoszą swoją samotność i odosobnienie, brak rozrywek kulturalnych i dość prymitywne warunki życia. Podziwiam ich i dlatego tak chętnie tu przychodzę. Na przykład wczoraj wywoływaliśmy duchy. . .

— Tak? — roześmiał się uprzejmie dyrektor Marczak. I chciał jeszcze coś powiedzieć, ale panna Marysia nie dopuściła go do głosu:

— A pan przybył tu na dłużej?

— Żałuję, ale już jutro rano będę musiał odjechać do Warszawy. Przebywałem na kontroli muzeów regionalnych w województwie zielonogórskim i w drodze powrotnej do Warszawy zdecydowałem się wstąpić do Janówki, aby zorientować się,

jak się urządził nasz kustosz i jego zespół. Ponieważ jest już dość późno, postanowiłem prznocować we dworze, a kierowcę z wozem odesłałem do Piotrkowa, bo tam jest wygodny hotel. Nie chciałem kustoszowi sprawiać zbyt wiele kłopotu.

— To wielka szkoda, że pan jutro wyjeżdża — powiedziała panna Marysia. Ale w głosie jej nie wyczuwałem żalu, tylko ulgę, a nawet radość. — Gdyby pan tutaj pozostał dłużej, może znowu urządzilibyśmy seans spirytystyczny. Pan kustosz uwielbia duchy...

— Czyżby? — zdziwił się dyrektor Marczak. — Nie znałem go od tej strony...

— A tak — kiwnęła głową. I dodała z wielkim przekonaniem: — Pan kustosz wierzy, że każdy stary dom jest pełen duchów i zjaw. I stara się z nimi skontaktować za pomocą seansów spirytystycznych. Z początku panna Wierzchoń i pan Bigos opierali się temu, twierdzili, że duchów nie ma. Ale pan sam rozumie: przełożonego należy słuchać. Więc teraz już wierzą w duchy i też biorą udział w seansach.

— Hm... — chrząknął dyrektor Marczak. — Nie wydaje mi się celowe mącić w głowach młodym ludziom. Nie znałem pana Tomasza od tej strony.

— Och! — zawołała z udanym entuzjazmem. — Pan Tomasz to bardzo dziwny i tajemniczy człowiek.

— Tajemniczy? — zaniepokoił się dyrektor.

— A tak. Nagle gdzieś znika, a potem niespodziewanie się znajduje.

— Teraz również podobno gdzieś zniknął — stwierdził dyrektor. — Myślę jednak, że panna Wierzchoń i pan Bigos go odnajdą. Poszli go szukać we wsi.

— Nie znajdą go — pokręciła głową. — Nieraz już tak było. Przepadł jak kamień w wodę, a potem sam się zjawił. I nigdy nie mówi, gdzie znika. Dlatego uważam, że jest bardzo tajemniczym człowiekiem.

Dyrektor Marczak zastanowił się, a potem zapytał ostrożnie:

— Pani mówiła, że kustosz jest nie tylko tajemniczy, ale i dziwny. Co pani chciała przez to powiedzieć?

— Mówiłam, że jest dziwny? Ach, nie miałam nic złego na myśli. Jest wprawdzie trochę surowy i ostro traktuje swoich pracowników, ale przecież nie ma w tym nic złego.

— Hm — chrząknął znowu dyrektor Marczak.

— Ma również pewne drobne dziwactwa. Wydaje mi się jednak, że one podnoszą jego urok osobisty. Czy nie tak?

Dyrektor odrzekł z wahaniem:

— To zależy, proszę pani. To zależy, jakiego rodzaju są te dziwactwa. Czy mogłaby pani dać jakiś przykład?

— Och, mnóstwo przykładów. Lecz posłużę się tylko jednym. Któregoś dnia pan kustosz zdecydował się zabrać swych współpracowników na przedstawienie teatralne do Łodzi. Bo trzeba panu wiedzieć, że ci młodzi ludzie bardzo dotkliwie

odczuwają brak rozrywek kulturalnych. Więc zabrał ich na przedstawienie, ale w połowie sztuki, w najciekawszym momencie, kazał im wrócić do Janówki.

— I posłuchali go?

— Oczywiście. Bardzo się go boją. Dlatego pan się od nich niczego nie dowie, przemilczą swoje troski i kłopoty. A mnie ich żal. Przyjechali tu z dużego miasta, gdzie mogli chodzić do kina, do teatru. Mieli w domach radia i telewizory. A tu nic. Ani kina, ani telewizora, ani nawet radia. A gdy pan Bigos chce grać na gitarze, to pan kustosz się krzywi. Ale oni nie poskarżą się nikomu, już ich poznałam od tej strony. A najzabawniejsze jest to, że pan kustosz dąży do tego, aby te młode serca napełnić grozą i strachem. Wmawia im, że dwór zamieszkały jest przez upiory. Nawet zastawiał pułapki na te upiory, a potem. . . — zachichotała — okazało się, że to pan kustosz udawał upiora. Prawda, że to zabawne?

— Hm — jeszcze raz chrząknął dyrektor. — Nie wydaje mi się, aby to było zabawne.

Panna Marysia udała zaniepokojenie:

— Ale pan, broń Boże, nie pomyślał nic złego o panu kustoszu? Bo ja gadam i gadam, opowiadam panu różne ploteczki, a nie chciałabym, żeby nabrał pan fałszywego wyobrażenia o kustoszu. Bo on jest bardzo miły i wszyscy go lubimy mimo jego dziwactw. Przecież te dziwactwa są tak niewinne. Na przykład, on lubi jajecznicę na kielbasie. I nic, tylko każe swym pracownikom jeść jajecznicę na kielbasie.

— Pani to nazywa niewinnym dziwactwem? — oburzył się dyrektor Marczak. — Ależ to potworne, proszę pani. Nie ma nic wstrętniejszego niż jajecznica na kielbasie. Za żadne skarby nie wzięłbym tego do ust.

„Żmija. . . Żmija!” — powtarzałem w myślach i z wściekłością gryzłem zębami szmaciany knebel.

Po chwili do biblioteki weszli panna Wierzchoń i Bigos.

— Nie widziano kustosza we wsi ani w domu wczasowym — oświadczył Bigos.

Panna Wierzchem rzuciła w stronę Marysi niechętnie spojrzenie, które zdawało się mówić: „A pani co tu jeszcze robi?”

Marysia, zdaje się, zrozumiała wymowę tego spojrzenia. Zerknęła na zegarek i wstała z fotela.

— O Boże, jak późno. Tak miło się z panem rozmawiało, że zapomniałam, jak czas płynie. Niestety, muszę już uciekać.

Dyrektor Marczak pożegnał Marysię z roztargnieniem. Był bardzo zamyślony. Bigos odprowadził dziewczynę do drzwi frontowych i wrócił do biblioteki.

— Dziwne to wszystko. . . bardzo dziwne — mruknął dyrektor Marczak.

— Tak jest, panie dyrektorze — przyświadczyła panna Wierzchoń. — Ten dwór jest pełen dziwnych zjawisk.

— Duchy? Upiory? Widziadła? — ironicznie zapytał dyrektor. — I co na to pan kustosz?

— A co on może zrobić w takiej sytuacji? — odrzekł Bigos. — Wypowiedział walkę upiorom, a my mu pomagamy.

— A tak, tak, wiem o tym. Słyszałem, że zorganizował seans spirytystyczny, aby porozumieć się z tutejszymi duchami.

— Tak — kiwnęła głową panna Wierzchoń. I to tylko pogorszyło sprawę.

Dyrektor Marczak postanowił do końca sprawdzić plotki.

— Odczuwacie bardzo brak rozrywek kulturalnych, prawda? — zwrócił się do Bigosa. — Pan kustosz chyba nie za bardzo lubi pańską gitarę?

— Jest przeciwnikiem „mocnego uderzenia”.

— Pojechaliście do teatru, prawda?

— Tak — odrzekła panna Wierzchoń — ale z tym teatrem to wyszła dziwna historia. . .

— Wiem, wiem — łaskawie powiedział Marczak. — My, dyrektorzy, wiemy o wszystkich sprawach, które dzieją się w podległych nam placówkach. Podobno opuściliście teatr w połowie przedstawienia.

— Tak. Bardzo tego żałowałam — westchnęła panna Wierzchoń. — Ale skoro trzeba było tak zrobić. . .

— Wiem, że słuchacie kustosza. Chciałbym jednak wiedzieć, tak prywatnie, jak się wam układa współpraca z nim?

Panna Wierzchoń odpowiedziała bez chwili namysłu:

— Z początku trudno nam się było z nim dogadać. Ale z czasem stosunki nasze ułożyły się jak najlepiej. Prawda, Bigos?

— Tak, panie dyrektorze. Pan kustosz to w gruncie rzeczy fajny facet. Ma swoje drobne dziwactwa, ale da się lubić.

— Rozumiem — z powątpiewaniem przytaknął dyrektor.

— I bardzo się cieszymy, że pan tu przyjechał — dodała panna Wierzchoń. — Dużo tu jest tajemniczych spraw, które pan nam chyba pomoże wyjaśnić. W najważniejszej chwili pan do nas zawitał.

— Mnie się też tak wydaje. Trzeba będzie podjąć jakąś radykalną decyzję. Postaram się wam pomóc, moi drodzy, pamiętając, że jesteście młodymi, niedoświadczonymi pracownikami muzealnictwa.

— To wspaniale — ucieszył się Bigos. — Bo ja mam już dosyć atmosfery tajemniczości, zagadek i upiorów. Raz wreszcie trzeba to rozwiązać.

— I ja to zrobię, albowiem wiem już wszystko — ogłosił dyrektor Marczak. — A teraz chodźmy spać, bo już późno. Rano podejmę decyzję. Przemyślę tylko niektóre szczegóły sprawy i zażadam pewnych wyjaśnień od kustosza.

— Wstawimy panu kanapę do kancelarii i damy trzy koce — wyraził swoją gotowość kolega Bigos. — Mógłby pan spać na łóżku kustosza, ale on chyba wkrótce wróci?

— Strasznie się martwię tym jego zniknięciem. Chyba nie będę mogła spać — powiedziała panna Wierzchoń.

Dyrektor Marczak uśmiechnął się ironicznie.

— Nie zaprzatajcie sobie głowy tą sprawą, moi drodzy. Wiem, że pan kustosz się pojawi. Tak samo tajemniczo przybędzie, jak tajemniczo zniknął.

I z tymi słowami na ustach dyrektor Marczak opuścił bibliotekę. Za nim wyszła panna Wierzchoń, a na końcu Bigos, który przekreślił kontakt elektryczny przy drzwiach. W bibliotece zapadły ciemności.

W ciasnym korytarzyku dygotałem z chłodu i wściekłości. Miałem ochotę walić głową o mur, tak byłem zrozpaczony. Nie ulegało wątpliwości, iż zasugerowane opiniami panny Marysi, dyrektor Marczak nabrał przekonania, że w mojej psychice zaszły jakieś niepokojące zmiany. I choć swoja decyzję zamierzał wyjawić dopiero jutro, przecież już dziś ją podjął. Zamierzał usunąć mnie ze stanowiska kustosza i przysłać tu kogoś innego. „Kustosz zwariował” — byłem przekonany, że z taką myślą dyrektor Marczak położył się do snu w mojej kancelarii.

„A co będzie dalej? — zastanawiałem się. — Rano dyrektor Marczak nie będzie miał komu wyrazić swej decyzji, ponieważ kustosza nie będzie. Poczekaj dzień lub dwa na mój powrót, potem zawiadomi milicję, a ta rozpocznie poszukiwania po całym kraju, nikomu bowiem nie przyjdzie do głowy, że kustosz siedzi za ścianą biblioteki. Oczywiście, nie odnajdą mnie i po jakimś czasie wydadzą orzeczenie, że pomyłony kustosz ’znikł w tajemniczych okolicznościach’. Miną miesiące, a może i lata, we dworze krążyć będzie legenda o pomyłonym kustoszu, który walczył z upiorami i przepadł bez wieści. Aż pewnego dnia, podczas remontu „świątyni dumania” odkryją wejście do tajnego korytarza, a w nim odnaleziony zostanie szkielet kustosza. . .”

I lza zakręciła mi się w oku, gdy wyobraziłem sobie tę wstrząsającą scenę. Nad zbierałym szkieletem pochyla się posiwiata pani Wierzchoń, obarczona już licznymi dziatkami. A wraz z nią przy szkielecie kustosza stanie kolega Bigos, całkiem łysy. Na wieść o wstrząsającym odkryciu przybędzie do dworu emerytowany dyrektor, pan Marczak, zgrzybiały starzec wspierający się o lasce. „Och, nie był pomyłony nasz kustosz. To ja się pomyliłem” — powie dyrektor drżącym głosem.

. . . Dość długo pogrążony byłem w tych ponurych myślach. Ale potem przyszła weselsza refleksja. Doszedłem do wniosku, że moje zniknięcie na czas dłuższy nie leży bynajmniej w interesie Batury i jego przestępczej szajki, bowiem ten fakt siłą rzeczy obudzi podejrzliwość milicji i zwróci jej uwagę na dwór. Batura i jego kumple zdolni byli walczyć ze mną i moimi współpracownikami, ale nie odważą się popaść w konflikt z milicją. Świadczyła o tym wyraźnie staranność, z jaką zacierali wszelkie ślady swej działalności. Nie chcieli dać możliwości odwołania się do pomocy Milicji Obywatelskiej. Ingerencja milicji nie mogła być im na rękę, gdyż utrudniałaby dostęp do dworu.

Uspokoilem się więc co do swego losu. Lecz jednocześnie ciekawiło mnie, w jaki sposób złoczyńcy poprowadzą dalszą działalność, innymi słowy, jaką podejmą taktykę. Było chyba dla nich oczywiste, że uwolniony z więzów, rozpocznę kontratak. Przede wszystkim zamknę tajne wejście, a tym samym uniemożliwię im przedostanie się do dworu. Ostrzegę swych współpracowników przed Baturą i jego szajką, przekonam dyrektora Marczaka, że nie jestem aż tak bardzo pomylony, i pozostanę na stanowisku kustosa. Mogli się też spodziewać, że przed milicją oskarżę Baturę i jego spółkę o napaść i tajemnicze machinacje we dworze.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że moje oskarżenia oparte będą na bardzo kruchych podstawach. Jak bowiem udowodnię, że Baturą i jego spółka przedostawali się nocą do dworu tajnym wejściem? W jaki sposób przekonam władze, że to oni napadli na mnie i związali mnie w korytarzu? Co najwyżej mogłem udowodnić, iż Baturą, historyk sztuki, podawał się za inżyniera-architekta. Oczami wyobraźni widziałem Baturę przed sądem, gdy przemawia: „Wysoki Sądzie, w starym dworze pracuje bardzo piękna panienka. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, a ponieważ nie miałem żadnej możliwości, by ją poznać, zakradłem się do dworu jako inżynier-architekt.” I Wysoki Sąd uniewinni Baturę ze względu na znikomą szkodliwość przestępczego czynu.

Tak rozmyślałem, gdy doszły mnie odgłosy kroków na schodach w tajnym przejściu. Ktoś nadchodził. Po chwili zorientowałem się, że osobników jest dwóch. Drogę oświetlali sobie latarkami elektrycznymi. Na twarze mieli naciągnięte pończochy bawełniane z wyciętymi otworami na oczy, nos i usta.

— Niech pan leży spokojnie — powiedział nagle jeden z nich. Wydawało mi się, że rozpoznaję Baturę, choć celowo zmienił głos. — Nic panu nie grozi. Rano będzie pan wolny.

Przekroczyli moje nogi, usłyszałem chrobot jakiegoś mechanizmu. Otworzyły się drzwiczki w ścianie. Jak przypuszczałem, odsunął się stary zegar. Powiało ciepłym powietrzem z biblioteki. Potem zamknęli za sobą tajne wejście i jeszcze przez krótki moment, przez otwór obserwacyjny widziałem nikły blask latarek elektrycznych w bibliotece. Ale i te światełka wkrótce zniknęły, zapewne przestępcy przeszli do innego pomieszczenia we dworze.

„A dyrektor Marczak, Wierzchoń i Bigos śpią w najlepsze” — wściekałem się. Mogłem jednak tylko wsłuchiwać się w ciszę i wpatrywać się w ciemność.

Jak długo buszowali przestępcy we dworze? Nie mogłem spojrzeć na zegarek, czas dłużył mi się strasznie. Minęła godzina, może dwie lub zaledwie dwa kwadransy.

Wreszcie usłyszałem chrobot mechanizmu i powiało ciepłym powietrzem z biblioteki. Złoczyńcy znowu wrócili do podziemi.

Gdy przekraczali moje nogi, wyciągnięte w poprzek wąskiego korytarzyka, zauważyłem, że każdy z nich aż ugina się pod ciężarem wypełnionego czymś

worka. Domyślili się, że spostrzegłem ich bagaż. Zatrzymali się, położyli worki na kamiennej posadzce.

— Zabawa skończona. Przegrał pan — powiedział ten, który mówił do mnie uprzednio, a więc chyba Batura. — Zabraliśmy to, czego tu szukaliśmy, i żegnamy pana chłodno, z domieszką ironii. Teraz uwolnię pana od knebla, aby mógł pan wołać o pomoc. Uprzedzam jednak, że na razie jeszcze wołać nie warto, ponieważ mury są dość grube. Ci, co śpią na dole, i tak pana nie usłyszą. Będzie pan musiał poczekać do rana, aż ktoś wejdzie do biblioteki. Skoro już mamy to, czego szukaliśmy, nie widzimy potrzeby, aby pan nadal cierpiał.

To mówiąc, wyjął mi z ust wstrętną szmatę.

— Łajdak! — powiedziałem z gniewem.

Przyjęli to słowo jak dobry dowcip. Zaśmiali się, podnieśli ciężkie worki, zarzucili je sobie na plecy i zaśmiewając się, zeszli na dół po schodach.

Pozostałem znowu w ciemnościach korytarza. Tyle tylko, że nie miałem w ustach knebla i mogłem swobodnie oddychać. O pomoc nawet nie próbowałem wołać, zdawałem sobie bowiem sprawę, że mówili prawdę: nikt mnie z dołu nie usłyszy, należy poczekać cierpliwie do rana.

I znowu miałem dość czasu na ponure rozmyślania. Nie opuszczała mnie pamięć o dwóch ciężkich workach, jakie dźwigali.

„Zwyciężyli — powtarzałem sobie. — Wczoraj wieczorem Batura odnalazł wreszcie miejsce, gdzie znajdowała się skrytka. Powziął wtedy plan, aby skarby wydobyć z niej przy pomocy oszukańczej brygady remontowo-budowlanej. Ale zdemaskowany przez Zosię i Antka, wzbudził podejrzliwość panny Wierzchoń. W tej sytuacji musiał zrezygnować z tego planu i powziął inny: jeszcze tej nocy, ryzykując, że obudzi Marczaka i moich współpracowników, zdecydował się wejść do dworu i otworzyć skrytkę. Szczęście mu sprzyjało, nie obudził nikogo. W tej chwili dwa worki odjeżdżają stąd samochodem marki valcone, z szybkością stu kilometrów na godzinę. Rano, gdy zostanę uwolniony z więzów i będę mógł rozpocząć akcję, skarby znajdą się daleko i będą już starannie ukryte.”

Ale gdzieś w głębi zwojów mózgownicy kiełkowała inna myśl. Dobijała się do głosu najpierw nieśmiało, potem z coraz większą siłą. I jakby ktoś świeżej krwi napompował mi w żyły. Poczułem, że przybyło mi sił, znowu bowiem zaświtała nadzieja.

Nie mogłem jednak przemyśleć tej sprawy do końca. Usłyszałem wolne człapanie. Ktoś znowu nadchodził tajnym korytarzem ze „świętyni dumania”. Niósł w rękę zapaloną świeczkę, bo blask chybotął na ścianach i posadzce.

— Halo! — krzyknąłem w tamtym kierunku.

Człapanie ustało.

— Kto tam? — usłyszałem przerażony głos Janiaka.

— To ja, kustosz. Niech pan podejdzie bliżej i uwolni mnie z więzów.

Przyśpieszył kroku i wkrótce znalazł się tuż przy mnie. Postawił świeczkę na posadzce i natychmiast zabrał się do rozsypywania pęt. Po chwili byłem wolny i podniosłem się, rozcierając ręce i nogi.

— Zauważyłem, że jacyś łajdacy zakradli się do rupieciarni w parku — wyjaśniałem mu sprawę mego uwięzienia, — Poszedłem za nimi i odkryłem wejście do korytarza. Ale oni tu zaczaili się w ciemnościach. Uderzyli mnie czymś w głowę, a potem związali.

— Ja też ich zauważyłem — rzekł Janiak. — Pan kazał mi pilnować nocą dworu i dawać baczenie na park, więc tak zrobiłem. Nocą przeszedłem się dwukrotnie po parku i zobaczyłem, że jakichś dwóch osobników z workami na plecach wyszło z rupieciarni. A gdy mnie spostrzegli, rzucili się do ucieczki. Jestem już stary, więc mi uciekli. Ale goniłem ich aż do szosy. Tam czekał na nich samochód. Wsiadli do niego i odjechali. Wtedy wróciłem do rupieciarni i znalazłem wejście do piwnicy. Dokąd prowadzi ten korytarz? — zainteresował się.

— Do biblioteki. — pokazałem mu mechanizm w drewnianej ścianie, zamykającej korytarz.

Za ścianą stał ogromny zegar szafkowy. Gdy odsunęło się go na bok, otwierał drogę do biblioteki.

— Pewnie coś ukradli we dworze, bo nieśli pełne worki — stwierdził Janiak. — Zawiadomi pan milicję, prawda?

— No, oczywiście. Chociaż przypuszczam, że nic nie zginęło. Nic takiego — poprawiłem się — co jest zapisane w księdze inwentarzowej albo w katalogu.

Wąskim korytarzem, a potem schodami wyszliśmy z Janiakiem do „świątyni dumania”. Wyjrzałem do parku pograżonego w ciemnościach nocnych. Wiał mocny, porywisty wiatr, jak zwykle przy zmianie pogody. Drzewa w parku hucały ponuro. W mroku słabo białaty ściany dworu, w żadnym z okien nie paliło się światło. Wszyscy smacznie spali.

— Niech pan wraca do domu i kładzie się spać — powiedziałem do Janiaka. — Dziękuję za uwolnienie z więzów.

Nie kwapił się z odejściem. Wyciągnął paczkę „sportów” i poczęstował mnie papierosem. Gdy zapaliliśmy, obsadził papierosa w swej rzeźbionej cygarniczce.

— Dlaczego pan rzeźbi takie dziwne kształty? — zapytałem.

Wzruszył ramionami, jakby sam nie bardzo wiedział, czym ten fakt wytłumaczyć.

— Pan Czerski mówił, że to dobry znak — powiedział po namyśle. — Widziałem ten znak na obrazie w gabinecie pana Czerskiego. Jest także wyrzeźbiony na kolumnkach w sali balowej. Pan Czerski też palił papierosy i jak dowiedział się, że umiem rzeźbić cygarniczki, to właśnie kazał sobie zrobić taką, z tym znakiem.

— Rozumiem — kiwnąłem głową. Zaczęła mi świtać jakaś dziwna, szokująca myśl. — A teraz niech pan idzie spać. Ja zamknę rupieciarnię od wewnętrznej strony i wrócę do dworu tajnym wejściem.

Zanim odszedł, przestąpił z nogi na nogę i powiedział:

— Ale niech pan pamięta, że ja umiem dobrze dozorować dworu. To ja pana uwolniłem. . .

— Będę pamiętał. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

Zamknąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Posługując się świeczką pozostawioną przez Janiaka, szybko wróciłem korytarzem do drewnianej ściany, za którą znajdował się stary zegar.

Spojrzałem na zegarek: dochodziła trzecia po północy.

Za kilka godzin byłbym uwolniony przez pannę Wierzchem albo Bigosa. Janiak przyśpieszył ten termin, ale zbyt nachalnie żądał za to wdzięczności. Jakby uwolnił mnie specjalnie po to, aby mnie przekonać, że jest dobrym dozorcą i pozostaje poza wszelkim podejrzeniem.

„Niech sądzi, że dałem się nabrać — pomyślałem. — Jeśli rzeczywiście okaże się niewinny w tej sprawie, potrafię mu okazać wdzięczność. Ale o tym zadecyduje przyszłość.”

Teraz przystąpiłem do obejrzenia tajnego wejścia do biblioteki. Przekonałem się, że nie było tam żadnego mechanizmu. Po prostu tylna ściana dużej szafki zegara stanowiła jednocześnie drewnianą ścianę zamykającą korytarz. Ukryte w dębowej boazerii zawiasy i zasuwa utrzymywały szafkę zegara w ścianie. Wystarczyło odsunąć zasuwkę i pchnąć mocno ścianę, a zegar otwierał się jak drzwi.

Przypomniałem sobie noc wkrótce po naszym przybyciu do starego dworu, gdy obudzeni krokami na górze, wpadliśmy do biblioteki. Spłoszeni złoczyńcy czmychnęli z biblioteki do tajnego korytarza. Lecz wszystko działo się tak szybko, że nie zdołali dokładnie zamknąć za sobą ściany z zegarem. Pozostała szpara. Przelękli się, że ją zauważę, i któryś ze złoczyńców zdecydował się przyciągnąć dokładniej szafkę. Pociągnął ją zbyt silnie i wtedy pękło szkło w zegarze, a my mogliśmy odnieść wrażenie, że spowodował to „duch”.

„Wkrótce wyjaśnię i inne niesamowite zjawiska w naszym dworze — pomyślałem. — Będę też wiedział, czego szukał tu Batura i jego wspólnicy.”

Odsunąłem zegar, wszedłem do biblioteki i zapaliłem światło. Mimochodem rzuciłem okiem na pozostawione na stole zaproszenie do szkoły w Janowie na przedstawienie *Balladyny*. Przyszedł mi do głowy pomysł, który napełnił mnie otuchą. Zgasilem światło i zacząłem ostrożnie schodzić po schodach do sieni.

Szedłem cicho, żeby nie obudzić moich współpracowników, bo chciałem im rano zrobić niespodziankę. Lecz raptem rozbłysło światło w sieni, a na podeście schodów zobaczyłem dyrektora Marcza w kwiecistej pidżamie.

— Witam pana kustosa — odezwał się z ironią. — Wszyscy się niepokoiili pańską nieobecnością, ale ja wiedziałem, że pan na pewno się zjawi. I to niespodziewanie. Czy wraca pan z nocnego spotkania z duchami?

— Byłem uwięziony — zacząłem wyjaśniać. Ale nie dopuścił mnie do głosu.

— Wiem, wiem, panie kustoszu. Ja wszystko wiem — kiwał głową ze zrozumieniem. — To jest niesamowity dwór, pełen duchów, upiorów i zjaw. A pan wypowiedział im walkę. Więziły pana jakieś straszliwe moce piekielne. To one każą panu znikać w tajemniczy sposób i zjawiać się niespodziewanie. A czy duchy powiedziały panu, po co ja tu przyjechałem?

— Był pan na kontroli muzeów w zielonogórskim i w drodze do Warszawy odwiedził pan nas, aby się dowiedzieć, jak się tu urządziliśmy.

— Tak! — zdumiał się dyrektor Marczak. — Skąd pan o tym wie? Przecież ja nikomu nie mówiłem. . . !!!

— Zapomniał pan o rozmowie z piękną wczasowniczką?

— Tak, tak — przytaknął dyrektor. — Ale skąd pan wie? . . . Przecież pana nie było przy tej rozmowie?

— Byłem, byłem, panie dyrektorze. Nie ciałem wprawdzie, ale duchem.

Dyrektor Marczak zamrugał powiekami ze zdumienia. A tymczasem otworzyły się drzwi pokoju Bigosa i panny Wierzchoń. Obudzeni naszą głośną rozmową, zerwali się z łóżek.

— Och, panie kustoszu, tak bardzo się martwiłam — powiedziała panna Wierzchoń i nie wiadomo dlaczego spąsowiała na twarzy.

Bigos filozoficznie pokiwał głową.

— Pan kustosz działa jak w ewangelicznej przypowieści: „Maluczko, a nie ujrzyście mnie i znów maluczko, a ujrzyście mnie.”

Serdecznie uścisnąłem dłoń panny Wierzchoń.

— Bardzo się cieszę z pani pomysłu odwiedzenia biblioteki w Łodzi. Dzięki pani wiemy, że nasz dwór był budowany jako tajna loża masońska. Gdybyśmy na samym początku mieli tę wskazówkę, zapewne niektóre sprawy potoczyłyby się nieco inaczej.

— O Boże! — jęknęła panna Wierzchoń. — Przecież ja panu o tym nie mówiłam. Skąd pan wie o mojej bytności w bibliotece?

— Ja wiem wszystko — oświadczyłem. — Dobry kustosz zna każdy krok i każdą myśl swoich współpracowników.

Dyrektor Marczak zdołał już opanować zdumienie. Zaśmiał się sarkastycznie:

— Hę, hę, hę! Pan kustosz potrafi się rozdziwić. Jego ciało gdzieś przepada, a duch krąży między nami. Innymi słowy: pan kustosz cierpi na rozdziwienie jaźni.

— I potrafi zgadywać nasze myśli — stwierdziła wciąż zdumiona panna Wierzchoń.

— Fiuuu! — gwizdnął głośno kolega Bigos. — To bardzo źle. Bo ja nie zawsze myślę najlepiej o kustoszu.

— To straszne! — zawołała panna Wierzchoń. — Ja się nie zgadzam, aby pan kustosz znał moje myśli.

I znowu się zarumieniła. A dyrektor Marczak rzekł uspokajająco:

— Nie martwcie się, moi drodzy przyjaciele. Ja już podjąłem pewną decyzję. Pan kustosz trochę się zdziwi, jeśli mu powiem. . .

— Nie zdziwię się — odrzekłem. — Przecież ja znam pana myśli, panie dyrektorze.

— Co takiego? Pan zna moją decyzję? Pan jest szarlatanem, panie kustoszu. Nikomu się nie zwierzyłem ze swojej decyzji. Jest ukryta w głębi mego mózgu. W najtajniejszym schowku.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— A jednak poznałem pana myśli. Bardzo przepraszam, że ośmieliłem się przeniknąć w najtajniejsze skrytki mózgu swojego przełożonego. Ale tak się, niestety, stało. Wiem, że to nie jest ogólnie przyjęte znać myśli swoich współpracowników, a co najgorsze, również swoich przełożonych. Przepraszam bardzo, panie dyrektorze. . .

— Oburzające! Pan naprawdę zna moją decyzję? Proszę powiedzieć. Żądam tego. Ba! nakazuję panu wyjawić moje myśli.

Wzruszyłem ramionami.

— Skoro pan każe, panie dyrektorze, muszę się podporządkować. A więc postanowił pan: o świtaniu mam z panem pojechać do Warszawy, a na moje miejsce przyśle pan innego kustosza.

— Zdumiewające — wykrzyknął dyrektor. — Właśnie taką podjąłem decyzję. Pan zna moje myśli.

— Chce nam pan zabrać kustosza i dać kogoś innego? — przeraziła się panna Wierzchoń. — Ależ dlaczego?

— A ja się z tego bardzo cieszę — beczelnie oświadczył Bigos. — Człowiek, który zna moje myśli, nie powinien być moim przełożonym. Jak okropnie wyglądałoby nasze dalsze życie z takim kustoszem! Nie można by wykręcić się od żadnej roboty.

— A i myśli przełożonych też się nie powinno znać — zgodził się z nim dyrektor Marczak. — Pan Tomasz jest tak nadzwyczajnym człowiekiem, że marnuje się na stanowisku kustosza prowincjonalnego muzeum. Do wyższych stanowisk jest stworzony.

— Panie dyrektorze — powiedziałem z dezaprobatą — przecież już mówiłem, że znam pana myśli. Dlaczego mówi pan co innego, a myśli pan co innego?

— Hm — chrząknął z zakłopotaniem dyrektor.

— Kładąc się do snu — mówiłem dalej — zupełnie inne wyjaśnienie układał pan sobie w myślach. Pragnął pan powiedzieć do mnie tymi mniej więcej słowami: „Drogi panie Tomasz. Przyjechałem tutaj, bo dręczyło mnie sumienie, że posłałem pana na trudną placówkę nie wnikając w to, że pan nie miał od dawna urlopu. Bronił się pan przed stanowiskiem kustosza, a mimo to wysłałem pana do tej wyczerpującej nerwowo pracy. Po namyśle, dręczony wyrzutami sumienia, postanowiłem pana stąd zabrać. Chciałbym dać panu miesięczny urlop wypo-

czynkowy. Pojedzie pan w góry albo w doliny, w zależności od tego, co powiedzą lekarze. A potem zobaczymy.”

Dyrektor Marczak poczuł się zdruzgotany. Ciężko usiadł na schodach.

— Tak — powiedział zduszonym szeptem. — Pan zna moje najskrytsze myśli. To straszne, proszę państwa. . .

A Bigos rzekł, szyderczo wykrzywiając usta:

— W tej sytuacji ja już wolę nie pytać o moje myśli. . .

Spojrzałem na twarze swoich współpracowników. Zerknąłem także na zwieszoną głowę dyrektora Marczaka. Czułem się jak wódz, który rozegrał zwycięsko bitwę i teraz widzi wokół siebie powalonych przeciwników. Postanowiłem natchnąć ich nowym duchem i obudzić do życia.

— Poczescie się — powiedziałem — że nie zamierzam opuścić stanowiska kustosza. Dość tych żartów. Przystąpmy do spraw poważnych. Pozwólcie, że przejdziemy do biblioteki, gdzie pokażę wam coś bardzo interesującego i opowiem o pewnych ciekawych wydarzeniach.

Gdy obejrżeli tajny korytarz przylegający do biblioteki i wysłuchali opowieści o mojej przykrej przygodzie, dyrektor Marczak stwierdził:

— Nie mogłem zasnąć i słyszałem na górze jakieś kroki i szmery. Ale nie chciało mi się wstać z łóżka. A gdy wreszcie wstałem, to spotkałem pana na schodach.

— Lecz gdyby pan jednak wstał trochę wcześniej, schwytalibyśmy dwóch ludzi z workami — rzekłem.

— Więc co teraz zrobimy? — zmartwił się dyrektor.

— Mam pewien dość karkołomny pomysł. Ale najpierw może zjemy śniadanie? — zaproponowałem. — Przejdziemy do kuchni, gdzie panna Wierzchoń przyrządzi nam tradycyjny posiłek: jajecznicę na kiełbasie.

— Znakomicie! — zatarł ręce dyrektor Marczak. — To wspaniała i pożywna potrawa. Uwielbiam jajecznicę na kiełbasie!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

GENERALNA ROZGRYWKA Z „DUCHAMI” • KTO JEST WIELBICIELEM „BALLADYNY” • PLANY DYREKTORA MARCZAKA • INTRYGA KUSTOSZA • DOBRE RADY JEDNEGO Z „DUCHÓW” • PROPOZYCJE ZŁOCZYŃCÓW • COKOLWIEK CZYNISZ, MĄDRZE CZYŃ I OCZEKUJ KOŃCA

Rankiem stary Janiak napalił w kilku piecach i we dworze zrobiło się bardzo przytulnie. Dyrektor Marczak odesłał z powrotem do Piotrkowa swój samochód i kierowcę, i postanowił z nami pozostać jeszcze jeden dzień, oczekując na dalszy rozwój wydarzeń. Przewidywałem, że będą ciekawe, lecz na razie nie wtajemniczałem w nie nikogo, aby nic nie zepsuło moich śmiałych planów. Obiecałem tylko, że wieczór i noc przyniosą rozwiązanie zagadek starego dworu.

Gdy przybył stary Janiak, aby napalić w piecach, odbyłem z nim krótką rozmowę.

— Po tym, co stało się dzisiejszej nocy — powiedziałem — zdaję sobie sprawę, że złoczyńcy już więcej do nas nie przyjdą, ponieważ zabrali to, czego szukali, i uciekli ze swoim łupem. Poszukiwaniem ich zajmie się już milicja, do której pójde zaraz złożyć meldunek. Wiem, że od dziś będziemy mieli we dworze zupełny spokój. Mimo wszystko jednak nakazuję panu zachować w dalszym ciągu czujność i ostrożność. I mam do pana prośbę...

— Jaką? — zaciekał się Janiak.

— Moi młodzi współpracownicy narzekają na brak rozrywek kulturalnych. Tak się dobrze składa, że otrzymaliśmy zaproszenie na przedstawienie szkolne *Balladyny* w Janowie. Zacznie się o osiemnastej wieczorem, a skończy, przypuszczam, około dwudziestej pierwszej. Pójdziemy na nie, a z nami również i dyrektor, który tu przyjechał na kontrolę. Nie chciałbym dworu pozostawiać zupełnie bez opieki i dlatego mam prośbę, aby na czas naszej nieobecności przebywał pan we dworze, w mojej kancelarii. Zgoda?

— Dobrze — kiwnął głową. Widziałem, że jest zaskoczony tą propozycją.

— Mam do pana zaufanie — wyjaśniłem. — To przecież pan uwolnił mnie z więzów. Zresztą — dodałem — drzwi do pokojów będą zamknięte, a klucze zabiorę ze sobą.

— Tak, tak, niech pan wszystko zamknie — doradzał.

A ja dobrze wiedziałem, dlaczego tak mówi.

I na tym zakończyliśmy rozmowę, która, jak przypuszczałem, powinna być brzemienna w skutki.

Następnie wziąłem na bok kolegę Bigosa i kazałem mu przeszukać dokładnie park dworski, a przede wszystkim rosnące tam kępy krzewów i krzaków. Oczywiście wyjaśniłem mu, czego należy szukać.

— TO musi tam gdzieś leżeć — mówiłem. — Byliby niespełna rozumu, gdyby TO zabrali z sobą do samochodu. A jak pan znajdzie, proszę TEGO nie ruszać, tylko mnie zawiadomić. Ja wiem na pewno, że TO gdzieś tam jest, ale chcę się upewnić, że moje przewidywania są słuszne.

Tak więc rankiem, po nocy pełnej przygód, stary Janiak palił w piecach, Bigos laził po parku, dyrektor Marczak w towarzystwie panny Wierzchoń oglądał meble zgromadzone przez Czerskiego, a ja pomaszerowałem do Janowa na posterunek MO.

Z sierżantem Wąsikiem konferowałem dość długo i na osobności. Ważna to była konferencja, skoro połączył się telefonicznie z Komendą Powiatową MO w P. i natychmiast przyjechał do nas samochodem oficer dochodzeniowy. Dopiero około południa opuściłem posterunek.

W powrotnej drodze do dworu spotkałem Zosię i Antka, idących ze szkoły. Wracaliśmy więc razem, gawędząc wesoło.

— Przynieśliśmy wczoraj zaproszenie na przedstawienie — opowiadała Zosia — ale pana nie było. Czyżby i pan umawiał się wieczorami na randki pod zegarem?

— W Janowie nie ma zegara do randek — oświadczył rzeczowo Antek.

— Jak to: nie ma? — uśmiechnąłem się. — A duży zegar w bibliotece dworskiej?

— Eee, pan żartuje — roześmiała się Zosia. — Pan się tam nie umówił. Byliśmy wczoraj w bibliotece, ale pana nie widzieliśmy pod zegarem.

— Bo ja siedziałem z drugiej strony. . .

A oni pomyśleli, że żartuję, i nie rozwijali dalej tego tematu.

Antek rzekł z goryczą:

— Panna Wierzchoń i pan Bigos wyśmiali nasze przedstawienie. Powiedzieli, że nie przyjdą. A pan, panie kustoszu?

— Nie znacie się na żartach? Przyjdziemy wszyscy. Mało tego, zabierzemy z sobą dyrektora Marczaka z Warszawy, bardzo sympatycznego pana, który przyjechał do nas na kontrolę.

— I jak wypadła ta kontrola? — dopytywała się Zosia.

— Dyrektor Marczak był tak zachwycony postępami w naszej pracy, a przede wszystkim moimi osobistymi zaletami, że z początku chciał mnie z sobą zabrać do

Warszawy, na wysokie stanowisko. Przekonałem go jednak, że jestem potrzebny w Janówce.

— A duchy, panie kustoszu? Pan przecież dobrze wie, jaką wagę przywiązuujemy do tego zagadnienia. Nasz ośrodek wczasowy musi mieć jakąś atrakcję.

— Na moją pomoc nie masz co liczyć, droga Zosiu — odrzekłem. — Duchom wypowiedziałem ostrą i bezpardonową walkę. Za bardzo zalazły mi za skórę. Muzeum będzie wystarczającą atrakcją dla wczasowiczów.

Zosia się zmartwiła, ale, jak to było w jej zwyczaju, na bardzo krótko.

— Na pewno przyjdzie pan na przedstawienie? — zapytała.

— Przyjdziemy wszyscy. Nie mógłbym sobie darować, Zosiu, gdybym cię nie zobaczył jako *Balladyny*, z krwawym nożem w rękę. Antek też będzie chyba wspaniałym Kirkorem.

— Nie cierpię na manię wielkości. Nie zamierzam być aktorem, chcę zostać lekarzem.

— Mania wielkości? Nigdy o czymś takim nie słyszałam — zdziwiła się Zosia. — Czy to choroba?

— Coś w rodzaju choroby — chłopiec zrobił mądrą minę.

— A na czym ona polega? To znaczy, jakie są objawy?

Odparł bez namysłu:

— Jeśli jakiejś dziewczynce w ósmej klasie wydaje się, że będzie wybitną aktorką, ponieważ gra w szkolnym przedstawieniu, to jest to właśnie mania wielkości.

— Jesteś wstrętny! — oburzyła się. — I bardzo dobrze, że ci zabiję tę twoją ukochaną Alinę.

— Nie zależy mi na niej — wzruszył ramionami.

— Musi ci zależeć — upierała się Zosia. — Jeśli chcesz być prawdziwym Kirkorem, powinieneś rozpaczać po jej śmierci.

— Nie chce być prawdziwym Kirkorem. Nie chcę i już! — fukał Antek.

Parsknąłem, śmiechem.

— Przedstawienie szykuje się niezwykle interesująco. Kirkor nie przejmuje się śmiercią Aliny. W końcu obrazi się i zejdzie ze sceny.

Przed podjazdem do dworu pożegnałem sympatyczną młodzież i pośpieszyłem do swojej kancelarii. Uśmiech zniknął z mej twarzy, pomyślałem o tym, że czekają mnie dziś trudne, pełne napięcia chwile. Przedstawienie *Balladyny* miało w nich odegrać ważną rolę.

Czy jednak nie przeliczę się w rachubach?

W kancelarii, na moim fotelu przed biurkiem zastałem kolegę Bigosa. Trzymał na kolanach swoją gitarę i, uderzając w nią lekko palcami, nucił:

Minęła pracy zmora,

Na obiad pora, na obiad poraaa...

— Znalazł pan? — huknąłem na niego.

— Tak jest, panie kustosz. Leży TO w krzakach bzu przy szosie. Nic z tego nie rozumiem. . .

A ja radośnie zatarłem ręce.

— To świetnie. To znakomicie, panie Bigos! Mam nadzieję, że nikt pana tam nie widział i nikt się nie domyśla, że pan TO znalazł? Niech TO leży tam w spokoju. . .

Bigos odetchnął z ulgą.

— A już się bałem, że pan każe mi to wszystko tutaj przydźwigać. Waży TO co najmniej pięćdziesiąt kilo. Mnie zaś jeszcze w dzieciństwie ostrzegano, żebym nie dźwigał ciężarów.

— Załatwimy to później, panie kolego. A na razie nikomu o tym ani mru-mru. Pan rozumie? Ani słowa dyrektorowi lub pannie Wierzchoń. Szykuję dla nich niespodziankę.

A pomyślałem z obawą: „Obym się tylko nie przeliczył. . .”

Do kancelarii wszedł dyrektor Marczak z panną Wierzchoń.

— Obejrzałem dokładnie cały dwór — powiedział dyrektor. — Zapoznałem się również ze sporządzonym przez was spisem inwentarza. Uważam, że powinniście jak najszybciej przepisać to sprawozdanie w kilku egzemplarzach, bo wydaje mi się, że te i owe zabytki będzie można zabrać do Warszawy, a w zamian otrzymacie inne. Takie, które będą tu bardziej przydatne.

— O, tak — pokiwałem głową. — Warszawa zabierze najlepsze zabytki, a nam dacie falsyfikaty albo wepchniecie jakieś buble z magazynów muzealnych.

Dyrektor Marczak w geście oburzenia podniósł obie ręce do góry, jakby się komuś poddawał albo wołał o pomoc.

— Co też pan wygaduje, panie Tomaszu? Z największą troską odnosimy się do regionalnych muzeów. Ale pan jeszcze nie zdecydował, jaki charakter ma mieć wasze muzeum. Czy podobnie jak w wielu innych, zechcecie mieć ekspozycję obrazującą przeszłość całego regionu, od zabytków archeologicznych począwszy, a na współczesnej sztuce ludowej skończywszy? Czy też chcecie tu mieć galerię starych obrazów albo wystawę starych mebli? A może warto pokusić się o to, aby ten dwór zachował swój dawny charakter również poprzez wyposażenie wnętrza?

Moja odpowiedź zaskoczyła go:

— Czy pozwoli pan, dyrektorze, że dopiero późnym wieczorem przedłożę panu projekt urządzenia naszego muzeum?

— Wieczorem? — zdziwił się. — A co się zmieni do tego czasu? Nie widzę przeszkód, aby właśnie teraz przedyskutować tę sprawę.

— Wieczorem, panie dyrektorze — odrzekłem z tajemniczą miną — niektóre sprawy, być może, ukażą się nam w innym świetle. . .

Panna Wierzchoń i Bigos spojrzeli na mnie z zaciekawieniem. A ja dodałem:

— Szykuję się do generalnej rozprawy z duchami.

— Ach, te duchy — machnął ręką dyrektor. — Przecież zawiadomił pan o tym milicję.

— Owszem. Tylko nie potrafiłem wyjaśnić, co ukradziono. Przecież właściwie nic nie zginęło, panie dyrektorze.

— No, tak — westchnął Marczak. — Rzeczywiście, nic nie zginęło. Ale zostawmy tę zagadkę organom milicyjnym. A my podyskutujmy nad koncepcją muzeum. To ważna sprawa, panie Tomaszu, nie należy jej odkładać do wieczora.

Bigos, jak grzeczny uczeń w szkole, podniósł do góry dwa palce:

— Czy mogę wtrącić swoje trzy grosze?

— Prosimy, bardzo prosimy. Oczekujemy na głos młodego pokolenia — ucieszył się Marczak.

— Obiad — powiedział krótko Bigos.

— Co „obiad”?

— Spóźnimy się na obiad — dorzucił.

— Wspaniała myśl — zatarłem ręce i podniosłem się z krzesła. — Z pustym żołądkiem źle się rozważa poważne zagadnienia. Zamkniemy dwór na cztery spusty i pomaszerujemy do domu wczasowego „Postęp”. Mam nadzieję, że i dla pana dyrektora uda nam się wytargować dodatkowy obiad.

Dyrektor Marczak nie był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Czułem, że oglądając dwór, wyrobił sobie sąd o przeznaczeniu przyszłego muzeum i teraz chciał mnie przekonać do swojej koncepcji.

Nałożyliśmy palta, zamknąłem frontowe drzwi i ruszyliśmy przez park w kierunku szosy. Panna Wierzchoń i Bigos szli przodem, a ja z dyrektorem nieco z tyłu. Ująłem Marczaka pod rękę i zmusiłem go, aby zwolnić kroku.

— Słyszałem, panie dyrektorze — zacząłem rozmowę — że jest pan wielbicielem szkolnych przedstawień.

— Czyżby? — zdumiał się. — Tak pan słyszał? A mnie się wydawało, że nie cierpię szkolnych przedstawień. . .

— Mam do pana wielką prośbę — rzekłem półgłosem, żeby mnie Bigos i panna Wierzchoń nie słyszeli, — Moi współpracownicy także nie lubią szkolnych przedstawień. Z drugiej jednak strony cierpią na brak rozrywek kulturalnych. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że w tutejszej szkole dziś wieczorem grają *Balladyne*.

— *Balladyne* — westchnął dyrektor.

— A tak, panie dyrektorze. I gdyby pan zechciał pójść ze mną na to przedstawienie, zapewne i panna Wierzchoń, i kolega Bigos poszliby również. W ten sposób, może wbrew ich woli, ale dla dobra sprawy, zapewnilibyśmy im godziwą rozrywkę.

— Myśl pana jest szlachetna — stwierdził dyrektor. — Należy dbać o rozrywkę kulturalną naszych młodych pracowników. Miałem nawet pewne zastrzeżenia

co do pańskiego postępku w teatrze w Łodzi, ale wyjaśnił mi pan już, jakie były tego przyczyny. Skoro więc teraz nadarza się okazja. . .

Przywołałem Bigosa i Wierzchoń.

— Pan dyrektor — powiedziałem beczelnie — jest wielbicielem szkolnych przedstawień. Znalazł w bibliotece zaproszenie na dzisiejsze przedstawienie *Balladyny* i gorąco nas namawia, żebyśmy wieczorem tam poszli.

— Przenigdy! — rozpaczliwie krzyknął Bigos.

— Dwór nie może zostać bez opieki. Wy pójdziecie, a ja zostanę — odrzekła sprytnie panna Wierzchoń.

Dyrektor Marczak surowo zmarszczył brwi.

— Moi młodzi koledzy — rzekł z powagą. — *Balladyna* jest pięknym utworem literackim, napisanym przez naszego wieszczą, Juliusza Słowackiego.

— Bez przerwy wałkowaliśmy to w szkole — bronił się Bigos.

— Nie szkodzi, panie kolego. Nic nie szkodzi. Prawdziwe arcydzieła literackie mają tę właściwość, że można je wałkować bez przerwy. Jaka będzie przyszłość pracownika muzealnictwa, jeśli interesuje go wyłącznie „mocne uderzenie”, a nie subtelna gra rymów w *Balladynie*?

— Tym bardziej — wtrąciłem — że na czas naszej nieobecności zapewniłem dozór nad naszym dworem. Pozostanie w nim stary Janiak i będzie dawał bacznie.

Bigos z rezygnacją zwiesił głowę.

— Ha, trudno. Pójdę na przedstawienie. Podejrzewam jednak, że za tą sprawą kryje się jakaś piekielna intryga pana kustosza.

Panna Wierzchoń również rzuciła mi jadowite spojrzenie. Udałem, że tego nie zauważam. Przymknąłem oczy i powiedziałem z patosem:

— Pan dyrektor ma znakomity smak literacki. *Balladyna* to świetny utwór. Zapamiętałem ze szkolnych lat te wspaniałe strofy:

Po co mi świecisz, małżonko Tytana,
Twarzą, co przeszła z różowej na białą? . . .
Po co mi świecisz, Febie? Tyś od rana
Miłością konał na Tetydy łonie;
A teraz puszczasz rozhukane konie
I z szat wilgotnych srebrną trzęsiesz rosę. . .

W tym momencie, potknąwszy się o jakiś korzeń w parku, nieomal wylądowałem nosem w poźółkłej trawie. Zdołałem jednak oprzeć się dłonią o ziemię i powstrzymałem upadek.

— Nie ma się z czego śmiać — odezwałem się ponuro do panny Wierzchoń, która chichotała radośnie i zarazem mściwie.

Aż do domu wczasowego nie odezwałem się ani słowem. Natomiast rozgadał się dyrektor Marczak. Snuł głośno plany przekształcenia Janówki w muzeum, prezentujące wnętrze szlacheckiego dworu. „Do tego wyposażenia nie będzie oczywiście pasować te kilka świetnych obrazów, które miał w swojej kolekcji Czeriski — pomyślałem. — Dyrektor już znalazł na nie miejsce albo w Muzeum Narodowym w Warszawie, albo w pałacu w Nieborowie, które jest jego oczkiem w głowie.”

Podczas obiadu oświadczyłem:

— Dobrze. Niechże pan, dyrektorze, zabiera do Warszawy te kilka znakomych obrazów. Ale w zamian poprosimy o zabytki masonskie. W naszym dworze była loża wolnomularska i wydaje mi się, że powinniśmy odtworzyć dawny jego charakter. A więc zebrać w nim wszystkie najciekawsze eksponaty dotyczące polskiej masonerii.

Marczak złapał się za głowę.

— Panie Tomaszu, to szaleństwo. Najwięcej masoników jest w Poznaniu. Czy pan sądzi, że oni je panu oddadzą? Warszawa też nie zechce udostępnić wam swoich zbiorów. . .

Zobaczyłem przez okno pannę Marysię. Zmierzała szybko do klubu dla wczasowiczów. Na jej widok odczułem gwałtowną chęć zamienienia z nią kilku zdań. Szybko przełknąłem obiad i wstałem od stołu.

— Przepraszam bardzo, ale muszę wstąpić do klubu — powiedziałem. — Spotkamy się we dworze.

Bigos mrugnął do mnie:

— Ja też zauważyłem pannę Marysię. . .

— Ale pan jeszcze nie dokończył obiadu — odparłem.

Opuściłem jadalnię i skierowałem się do klubu. Potem na moment przystanąłem. Przez szklane drzwi zauważyłem, że panna Marysia stoi przy telefonie wiszącym na ścianie. Rozmawiała przez telefon z kimś, kto znajdował się chyba w niezbyt daleko położonej miejscowości, skoro w tak krótkim czasie otrzymała połączenie.

„Telefonuje do P., to dobry znak” — pomyślałem. I obserwując ją przez szybę, poczekałem, aż skończy i odwiesi słuchawkę. Nie trwało to zresztą długo. Usiadła przy stoliku, a wtedy otworzyłem drzwi i przekroczyłem próg. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że klub jest zupełnie pusty. Nie było nawet barmanki za bufetem, zapewne jadła obiad na zapleczu.

— Dzień dobry pani — zbliżyłem się do stolika, wyciągając rękę.

Podążyła mi swoją, nie uśmiechnęła się. Była chyba świadoma, że siedząc za ścianą biblioteki słyszałem jej rozmowę z dyrektorem Marczakiem.

— Czy mogę się przysiąść? — zapytałem. I nie czekając na przyzwolenie, usiadłem na sąsiednim krzeselku.

Wyjąłem z kieszeni fajkę, nabiłem ją tytoniem.

— Nie sądziłem, że się jeszcze spotkamy — rzekłem, zapalając zapalniczkę.
— Dlaczego? Przecież nie zapowiadałam swego wyjazdu...
— Przypuszczałam, że pani odjedzie razem z tymi, którzy minionej nocy okradli dwór.

— Co takiego? Pan mnie posądza?... Nic nie wiem o kradzieży we dworze! — Jej udane oburzenie było ogromne, ale nie zrobiło na mnie najmniejszego wrażenia.

— Po co dalej udawać? — zapytałem. — Nikt nas tu nie słyszy i możemy chyba być szczerzy. Wyznaję, że z początku nie bardzo orientowałem się co do roli, jaką pani miała odegrać. Ale gdy tylko spotkałem Baturę w kawiarni w Piotrkowie, od razu przyszło mi na myśl, że taki przystojny mężczyzna jak on zapewne ma bardzo piękną narzeczoną. A na ile go znam, to wiem, że nawet dziewczynę gotów jest wciągnąć w swoje brudne interesy. Pomyślałem również, że Batura nie mógłby się obyć bez pomocników, którzy obserwowaliby nasze poczynania we dworze. Nie wiedziałem, do czego on zmierza i co chce osiągnąć, ale „duchy”, które zaraz po naszym przyjeździe zwróciły moją uwagę, natychmiast podsunęły mi koncepcję, że kolega Batura bardzo jest zainteresowany dworem Czarskiego. A pani tak pasjonowała się duchami... .

Już nie udawała oburzonej. Wyraz jej twarzy świadczył, że z dumą myśli o swej roli.

— Skoro pan był od razu taki mądry, to czemu dawał się pan wodzić za nos? — zapytała szyderczo.

— Bo nie wiedziałem, jaką tajemnicę kryje dwór Czarskiego. Chciałem, żebyście naprowadzili mnie na jej ślad.

— I teraz już pan wie, na czym polegała ta tajemnica?

— Owszem. Teraz już wiem.

— Ale trochę za późno, prawda? Jak mi pan sam przed chwilą powiedział, tej nocy obrabowano dwór. Czy zginęło coś cennego? — znowu szyderstwo zabrzmiało w jej głosie.

Wzruszyłem ramionami.

— Przecież pani dobrze wie, że nic nie zginęło. Po prostu ukradziono tajemnicę.

— Czy zawiadomił pan milicję?

— Tak.

— No, to powinien pan mieć nadzieję, że tajemnica zostanie odzyskana. Czy również i mnie kazał pan aresztować?... — zaśmiała się.

— Och, nie jestem aż tak naiwny... .

Wyciągnęła rękę i delikatnie poklepała mnie po plecach.

— Niech pan będzie rozsądny, panie kustosz — powiedziała z uśmiechem. — Trzeba się nauczyć przegrywać. Tym razem trafił pan na ludzi, którzy

okazali się sprytniejsi. Zresztą — potrząsnęła jasnymi lokami — nie jestem zarozumiała i nawet nie uważam, że pan był głupcem w tej sprawie. Mieliśmy więcej atutów niż pan. A ściślej: mieliśmy wszystkie atuty w ręku, a pan tylko plotki. Przede wszystkim wiedzieliśmy, jaką tajemnicę kryje dwór Czerskiego, znaleźliśmy tajne przejście do biblioteki. Nawiasem mówiąc, w pewnym sensie mieliśmy prawo do tajemnicy starego dworu. Batura pertraktował z Czerskim na temat kupna i zapewne dobiłby targu. Ale nagła śmierć Czerskiego pokrzyżowała nam plany. Sprawa tym bardziej była dla nas przykra, że Batura już od dawna ma kupca na te rzeczy, odkryte przez Czerskiego. Ale z chwilą gdy pan objął dwór, wiedzieliśmy, że wszelkie pertraktacje z panem nie mają sensu. Trzeba było uciec się do ostateczności, to znaczy ukraść tajemnicę. I tak się stało, proszę pana. Zrobiliśmy to na tyle sprytnie, że nie ma żadnego dowodu naszej działalności. Nie dowiedzie pan ani mnie, ani Baturze, ani nikomu innemu, że znaleźliśmy tajne przejście, ba! że korzystaliśmy z niego. A najważniejsze, że nie udowodni nam pan rabunku. Do licha, panie kustoszu, przecież z waszego dworu nic nie zginęło.

— Ale ja znam tajemnicę. . .

— Tylko pan i my wiemy, co się naprawdę wydarzyło we dworze. My, ze zrozumiałych względów, nikomu o tym nie powiemy. A pan? Pan również powinien milczeć we własnym, dobrze pojętym interesie. Wobec swoich władz jest pan w najlepszym porządku. Nic z dworu nie zniknęło, nic nie zostało uszkodzone. Wszystko pozostaje w zgodzie z księgą inwentarzową. O co więc chodzi? Rozstańmy się w zgodzie, jak przyjaciele. Nikt się i tak nie dowie, że tym razem pan przegrał. Pańska sława detektywa-amatora na niczym nie ucierpi. . .

Z zaplecza wyszła barmanka i zbliżyła się do naszego stolika.

— Dużą kawę — poprosiła panna Marysia.

— A ja. . . niestety, już muszę wyjść — powiedziałem do barmanki.

Gdy odeszła za bufet, Marysia położyła swoją dłoń na mojej ręce.

— Niechże się pan nie smuci, panie kustoszu. Wszystko będzie dobrze. Tylko my i pan znamy tajemnicę. Niech pan wróci do dworu i więcej nie myśli o tej sprawie.

Wstałem od stolika.

— Czy zna pani łacinę?

— Nie. . .

— Jest takie łacińskie przysłowie, które pani powiem: „*Quidquid agis, prudenter agas et respice finem.*”

— Co to znaczy? — zaniepokoiła się.

— Batura zna dobrze łacinę. Proszę mu przekazać moje słowa.

Złożyłem jej ukłon i opuściłem lokal. Wracając do dworu powtarzałem łacińskie przysłowie, które w tłumaczeniu brzmiało: „*Cokolwiek czynisz, mądrze czyń i oczekuj końca.*”

Albowiem miałem już niemal pewność, że ostatnie słowo w tej sprawie będzie należało do mnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

NA TROPACH ZAGADKI • PROTESTY DYREKTORA • KIRKOR GUBI SKRZYDŁA • JAK BALLADYNA ZABIŁA ALINĘ • POWRÓT DO DWORU • SCHWYTANIE PRZESTĘPCÓW • TRZY BŁĘDY BATURY • O SZTUCE AKTORSKIEJ • WYJAŚNIAM ZAGADKĘ NIESAMOWITEGO DWORU

Po południu zerwał się silny wiatr. Z impetem napierał na ściany dworu, gwizdał w kominach, łomotał okiennicami. Jak potężne jezioro szumiały drzewa w parku. A gdy zapadł zmrok, o szyby zaczął podzwaniać drobny, jesienny deszcz.

Okutany w palto siedziałem samotnie w sali balowej. Zapaliłem żyrandol, jakbym oczekiwał gości zaproszonych na bal. Krzesło przysunąłem sobie do kominika, na którym od dawna nie palił się ogień. Na kolanach trzymałem szkicownik i wciąż od nowa rysowałem masoński motyw: strąconą koronę przebitą puginałem. Od czasu do czasu podnosiłem wzrok znad kartki, rozglądałem się po ścianach, wpatrywałem się w zakurzone lustra, w rzeźby obramowujące kominek. Szeptalem do siebie jak pacierz: „*W węzłach splecionych, w strąconej koronie...*” I aż drżałem z niecierpliwości, przeczuwając, że jeszcze chwila, jeszcze jeden wysiłek mózgu, i odkrycie Czerskiego stanie się także moim udziałem. A potem raptem przypomniałem sobie coś i już wiedziałem, że znam tajemnicę niesamowitego dworu.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła panna Wierzchoń.

— Ach, więc pan tutaj się ukrywa? — powiedziała z odrobiną ironii. — Właśnie przyszedł Janiak. Zgodnie z pana poleceniem, ma dozorować dworu. Ale chyba nie będzie potrzebny, prawda?

— A to dlaczego? — zerwałem się z krzesła i spojrzałem na zegarek. Stwierdziłem, że nadeszła pora, gdy powinniśmy opuścić dwór i pójść na przedstawienie.

— Bo w taką straszną pogodę chyba nie zamierza nas pan wyciągać do Janowa. Naprawdę, moglibyśmy sobie darować tę rozrywkę kulturalną.

— To niemożliwe — pokręciłem głową. I dodałem stanowczo: — Idziemy na przedstawienie.

Pogasiłem światła w sali balowej, drzwi zamknąłem na klucz. W sieni spotkałem Janiaka.

— Pan będzie czuwał w mojej kancelarii — wprowadziłem go do mojego pokoju. Potem poszedłem do kwatery Bigosa, gdzie musiałem podnieść głos, aby ten młody człowiek raczył opuścić swoje ciepłe legowisko.

Najmniej kłopotów miałem z dyrektorem Marczakiem. Może naprawdę uwierzył, że jest wielbicielem szkolnych przedstawień? Postłuszenie wdział płaszcz i nasunął na czoło kapelusz.

— Zdaje mi się, że mamy straszną pogodę — stwierdził z westchnieniem.

Pokrzykując głośno spędziłem swoje „stadko” do sieni. Jeszcze raz przypomniałem Janiakowi o obowiązku czuwania nad dworem. Wreszcie zamknąłem drzwi frontowe na klucz i pomaszerowaliśmy przez park w stronę szosy.

— Nie cierpię pana. Tak jest, nie cierpię pana — mówiła panna Wierzchoń, drepcząc u mego boku. — Pan coś knuje, a ja nie wiem, o co chodzi.

Wiatr uderzył w nas z ogromną siłą, sychnął nam w twarze kroplami deszczu.

Przystanąłem. Stuknąłem się palcem w czoło.

— Przecież możemy pojechać samochodem. . .

Po chwili siedzieliśmy już w zacisznym wnętrzu wehikułu i jechaliśmy do Janowa. Mój samochód i tym razem miał odegrać pewną rolę w wydarzeniach, jakie spodziewałem się przeżyć. Chciałem dzięki niemu zapewnić sobie zdolność szybkiego przerzucania się z miejsca na miejsce.

— Sztuka wymaga poświęcenia — rzekłem do moich współtowarzyszy, zauważwszy, że mają bardzo kwaśne miny.

— Tak — zgodziła się panna Wierzchoń. — Słyszałam, że wymaga poświęcenia, ale od twórców, nie od odbiorców.

Już znajdowaliśmy się w pobliżu szkoły, gdy zbuntował się dyrektor Marczak. Może ziąb w parku, a potem i chłód, jaki panował w moim wehikule, sprawił, że ni stąd, ni zowąd przestał wierzyć w swoje uwielbienie dla szkolnych przedstawień.

— Nie — zaprotestował. — Niech mnie pan odwiezie na pocztę. Zadzwoń do P. po swój samochód. Ja chcę do Warszawy. Mam tam poważne obowiązki służbowe. . .

Byłem nieubłagany i skręciłem pod Tysiąclatkę, którą chlubiła się wieś Janów. To właśnie tam miało się odbyć szkolne przedstawienie *Balladyny*.

— Klamka zapadła — obwieściłem ponuro. Dyrektor Marczak jeszcze przez chwilę protestował gorąco, lecz gdy znalazł się w korytarzu szkolnym, a później w dużej sali gimnastycznej wypełnionej tłumem rodziców i uczniów, wrócił mu na twarz wyraz powagi, właściwej człowiekowi na tak wysokim stanowisku.

W sali gimnastycznej stały ławki, scena zasłonięta była czerwoną kurtyną z pluszu.

— Ja siadam najbliżej wyjścia — mruknął Bigos i od razu klapnął na pustą ławkę tuż przy drzwiach.

Usiedliśmy obok niego i zaczęliśmy rozglądać się dookoła. W pierwszych rzędach siedzieli rodzice, złożyłem ukłon panu Wasiakowi, który przyszedł, aby zobaczyć Antka w roli Kirkora. Zauważyłem także panią, która niekiedy podawała nam do stołu, a ponieważ Zosia była do niej nieco podobna, domyśliłem się, że to matka sympatycznej Balladyny. Ukłoniłem się też naczelnikowi poczty.

— Ma pan tu, jak widzę, szerokie znajomości — rzekł dyrektor Marczak.

— A tak. Staram się uczestniczyć w życiu Janowa.

Bigos szepnął do mnie:

— Czy to będzie trwało długo? Bo ja już zaczynam się nudzić...

— *Balladyna* jest tragedią w pięciu aktach, młodzieńcze.

— I przez całe pięć aktów zamierza pan nas trzymać na tych twardych ławkach?

Spojrzałem na zegarek: zbliżała się szósta. Szepnąłem do Bigosa:

— Jak zwykle, postaram się coś dla pana zrobić...

Z pretensjami zwróciła się do mnie również i koleżanka Wierzchoń:

— Jak była w Łodzi taka piękna sztuka o miłości, to pan nas wyciągnął z teatru. A teraz...

— To jest również sztuka o miłości — odrzekłem. — A także o zbrodni.

— Mam ochotę popełnić morderstwo — powiedziała.

Dzieciarnia w tylnych rzędach bardzo hałasowała, ale przyszła nauczycielka i zaraz zapadła cisza. Usłyszeliśmy dzwonek szkolny, przygasły światła.

A potem były kłopoty z kurtyną, która nie chciała się rozsunać. Ktoś tam z tyłu szarpał za sznurek i szarpał, lecz czerwony plusz wciąż zasłaniał nam scenę. Wreszcie sznurek urwano zbyt mocnym szarpnięciem, na sali powstała konsternacja, sądziliśmy, że przedstawienie się nie odbędzie. Zjawił się jednak jakiś pan i po prostu rękami odsunął pluszowe zasłony. Zobaczyliśmy wnętrze chaty wdowiej. Balladyna i Alina weszły z sierpami w rękach.

— A gdzie Pustelnik? — zaniepokoił się dyrektor Marczak.

— Niech pan będzie spokojny. Zjawi się chyba trochę później — pocieszałem dyrektora, który, jak się okazało, dobrze pamiętał tekst *Balladyny*. Albowiem *Balladyna* zaczyna się sceną w chacie Pustelnika. Lecz zapewne ze względów inscenizacyjnych, aby nie zmieniać zbyt często dekoracji, skrócono nieco tekst sztuki i dostosowano ją do możliwości szkolnego przedstawienia.

Zosia grała wspaniale rolę Balladyny. Raz po raz nienawistnym okiem łypała na Alinę, a gdy do chaty wszedł Kirkor, zaraz było wiadomo, że dojdzie do zabójstwa.

Wkroczenie Kirkora, czyli Antka, miało dość zabawny moment. Zgodnie z zaleceniem Słowackiego, Kirkor miał na sobie zbroję z orlimi skrzydłami. Lecz nieszczęsne skrzydła zawadziły o wąskie drzwi chaty wdowiej i urwały się, to jest pozostały przed chatą. Widownia pomyślała, że ówczesni rycerze pozostawiali

skrzydła przed drzwiami, jak muzułmanie pantofle przed wejściem do meczetu. Usłyszeliśmy jednak ze sceny groźny szept Zosi:

— Ej ty, Antek, zgubiłeś skrzydła. . .

Dzieciarnia i rodzice na widowni ryknęli śmiechem. Kirkor tak się zmieszał, że zapomniał tekstu, a potem przez długą chwilę jąkał się, tłumacząc ubogiej wdowie, że mostek załamał się pod kołem karety i w związku z tym postanowił zanoć w chacie.

Potem nastąpiła krótka przerwa i zasunięto kotarę. W następnym akcie zobaczyliśmy na scenie parawan, na którym namalowano drzewa, dzięki czemu domyśliliśmy się, że znajdujemy się w lesie.

Zobaczyliśmy Grabca, Chochlika, Goplanę i Skierkę. Później zaś Balladyna i Alina zbierały maliny. Wreszcie zbliżyła się straszna chwila, widownia zamarła, Balladyna wymachiwała nożem i zabiła nieszczęsną Alinę. Wtedy złapałem pannę Wierzchoń za rękę, a drugą ręką chwyciłem dłoń dyrektora Marcza.

— Wracamy do dworu — szepnąłem.

— Znowu?! — dyrektor wyrwał mi swoją rękę. — Czy to u pana już weszło w nałóg?

— Tak. To moje hobby. — I znowu chwyciłem go za rękę, jednocześnie wyciągając z ławki do wyjścia.

Jednej tylko osoby nie musiałem namawiać. Bigos, jak tylko usłyszał, co powiedziałem Marcza, natychmiast znalazł się za drzwiami sali gimnastycznej.

Na korytarzu szkolnym nie dałem im dojść do słowa. Powtarzałem:

— Prędeż, prędeż, prędeż! . . .

I popychałem ich do drzwi wyjściowych. Panna Wierzchoń odzyskała głos dopiero w wehikule:

— Kustosz jest szalony, panie dyrektorze — stwierdziła.

— Tak — z troską kiwnął głową dyrektor Marczak. A po chwili prawie wrzasnął z przestachu:

— Panie Tomaszu, niechże się pan opanuje. Niech się pan opamięta. . .

Na wysokich obrotach wyskoczyłem z boiska szkolnego na szosę. Na półtorakilometrowym odcinku do parku rozwinąłem szybkość jak Sobiesław Zasada w Argentynie, gdy walczył o Gran Premio. Aż mnie samemu dech w piersiach zapierało, a dyrektor Marczak zrobił się zielony na twarzy.

Dojeżdżając do parku, przyhamowałem raptownie i zjechałem na pobocze. Przystanąłem i wyskoczyłem z wozu.

— Dalej już piechotą. I cicho, na litość boską! Ani słowa! — huknąłem na dyrektora i swoich współpracowników.

Już nie protestowali. Byli przekonani, że znajdują się w rękach szaleńca i jedyny ratunek, jaki im pozostał, to zachować spokój.

Zrobiłem kilka kroków w stronę alejki parkowej, a oni posłusznie poszli za mną.

Nagle ktoś zastąpił nam drogę. Rozpoznałem sierżanta Wąsika.

Na widok milicyjnego munduru dyrektor Marczak odzyskał hart ducha. Błażgalnie wyciągnął ręce do sierżanta:

— Obywatelu, ten kustosz jest. . .

— Cicho! — zgromił go Wąsik.

Sierżant wziął mnie za rękę i pochylił mi się do ucha:

— Wszystko stało się tak, jak przewidywaliśmy, panie kustoszu. Ale dwór jest otoczony. Nawet mysz się nie przemknie.

— Ominiemy parkiem dwór i dostaniemy się do środka przez tajne wejście — zdecydowałem.

Odwróciłem się do swoich współpracowników i zakomenderowałem szeptem:

— Za mną. Tylko cicho, bez szmerów i rozmów! . . .

Pomaszerowałem przodem, a za mną sierżant. Dyrektor Marczak oraz moi młodzi współpracownicy nawet nie usiłowali protestować. Nareszcie chyba zrozumieli, że we dworze dzieje się coś niezwykłego.

Skręciłem w boczną alejkę. Wiatr przewalał się nad nami z łoskotem. Prowadziłem ich po omacku, bo dokoła nas rozciągała się prawie nieprzenikniona ciemność. Mnie wiódł jakiś instynkt, który kazał mi kierować się wzdłuż ledwie zaznaczającej się wypukłości, oddzielającej alejkę od trawnika. Po chwili zamajaczyła przed nami jaśniejsza plama — to był stary dwór.

Ominęliśmy go z lewej strony, potem przedzieraliśmy się przez krzaki. Sapiąc z wysiłku dobrnęliśmy do „świątyni dumania”. Wyjąłem z kieszeni klucz i otworzyłem dębowe drzwi.

Zanim weszliśmy do wnętrza, wskazałem Wąsikowi okna sali balowej. Jedno z nich było nieco uchylone, za szybami drgało nikiłe światełko.

— Widzi pan — trąciłem łokciem Wąsika. — Tak jak przypuszczałem, grają w tym właśnie pomieszczeniu. I świecą sobie elektryczną latarką. Zostawili uchylone okno na wypadek, gdyby musieli nagle uciekać.

— Nie uciekną daleko — mruknął sierżant. — Nasi ludzie siedzą w krzakach koło wyschniętego stawu i obserwują okna.

Dyrektor Marczak, panna Wierzchoń i kolega Bigos otoczyli mnie ciasno i ob-sypali pytaniami.

— Annopulos? Czy tam jest Annopulos? — dopytywał się Bigos.

— Nie — odpowiedziałem. — Panna Marysia.

Zaniemówił z wrażenia.

Weszliśmy do wnętrza rupieciarni. Podniosłem klapę w podłodze. Wąsik zapalił elektryczną latarkę. W milczeniu kroczyliśmy wąskim korytarzem, potem wspinaliśmy się po schodach i znowu korytarzem maszerowaliśmy wzdłuż bibliotecznej ściany. Odsunąłem pudło starego zegara i znaleźliśmy się w bibliotece.

— Teraz niech pan już zgasi latarkę — szepnąłem do Wąsika. — Znam tu każdy kąt i każdy stopień na schodach. Nie można dopuścić, żeby nas zauważyli.

Chciałbym bardzo zobaczyć ich zdumione miny... — to mówiąc aż zachichotałem z radości.

Schody trochę trzeszczały pod naszymi butami. Ale i tak chyba nikt ze złoczyńców nie zwróciłby uwagi na te skrzywienia. Jeszcze na schodach słyszeliśmy, dobiegające z sali balowej, odgłosy walenia młotkiem.

— Dewastacja zabytkowego dworu — szepnąłem do Wąsika. — To powinno się stać głównym punktem oskarżenia. Jestem przekonany, że z innych zarzutów zdołają się uniewinnić. Batura jest niezwykle sprytny.

Podkradliśmy się do drzwi sali balowej. Złapałem za klamkę i jednym mocnym szarpnięciem otworzyłem je na oścież.

— Och!... — usłyszałem za sobą jęk panny Wierzchoń.

— Oburzające! — krzyknął dyrektor Marczak.

— Niech ja w domu nie nocuję! — swoje magiczne zaklęcie wypowiedział również Bigos.

Sala balowa pogrążona była w półmroku. Dwie latarki elektryczne oświetlały tylko niewielki skrawek podłogi, tuż przed ozdobnym kominkiem. Na tym skrawku Batura, panna Marysia i ów pan z valconem wrywali deski z podłogi.

Gromki głos sierżanta Wąsika odbił się echem w wielkiej sali:

— Jesteście aresztowani... W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

W tym momencie przekręciłem kontakt elektryczny i wielki żyrandol rozbłysnął światłami. Zobaczyliśmy wyraźnie twarze przestępców, malujący się na nich przestrasz i konsternacja. Panna Marysia patrzyła na nas z takim przerażeniem, jakby zjawił się przed nią duch Greka Annopulosa, Batura skoczył do okna, ale okazało się, że za oknem stoi trzech milicjantów.

— A przecież ostrzegałem — rzekłem, zbliżając się do panny Marysi.

Cofnęła się kilka kroków, jakbym stał się dla niej upiorem.

— Oskarżam was o włamanie i chęć rabunku — obwieścił gromko sierżant Wąsik.

Lecz Batura i drugi jegomość już odzyskali równowagę. Batura wzruszył ramionami.

— To będzie trudna sprawa do udowodnienia, obywatelu sierżancie. Nie znajdzie pan śladów włamania. Obywatel Janiak, który zatrudniony jest tutaj jako dozorca, zezwolił nam obejrzeć ten dwór. Być może przekroczył swoje kompetencje, ale to przecież inna sprawa. Należy go ukarać za przekroczenie kompetencji.

— Nie macie dowodów, że zwiedzaliśmy ten dwór z myślą o rabunku — wtrącił drugi jegomość.

Sierżant Wąsik zrobił się purpurowy na twarzy.

— A te wyrwane deski z podłogi? — wrzasnął. Batura spojrzał pod swoje nogi.

— A tak, rzeczywiście — z ubolewaniem kiwnął głową. — Może źle uczyniliśmy, odbijając te deski. Ale to wyłącznie moja wina, panie sierżancie. Gdy

zwiedzaliśmy dwór i znaleźliśmy się w tej sali, doszedłem do wniosku, że pod podłogą kryje się jakaś tajna komnata. Powinienem być, być może, poinformować o swoim spostrzeżeniu pana kustosa, lecz tak mnie paliła ciekawość, że namówiłem kolegę i narzeczoną, aby mi pomogli odbić deski w podłodze. Teraz zdaję sobie sprawę, że spowodowałem dewastację i gotów jestem ponieść wszelkie koszty oraz karę za niszczenie mienia społecznego.

Obliczyłem w myślach: „Koszt ponownego przybicia desek wyniesie najwyższej pięćset złotych. Z uwagi na znikomy rozmiar szkody, sąd wyda wyrok bardzo łagodny. Batura wykręci się od przestępstwa tanim kosztem. Ale trudno, na to nie ma rady.”

Powiedziałem zaś głośno:

— Podczas naszego spotkania, Batura, ostrzegłem cię, abyś dał spokój dworowi w Janówce. Wiem, że zdołasz się sianem wykręcić z tej sprawy i nie poniesiesz takiej kary, na jaką w rzeczywistości zasługujesz. Chciałbym jednak, abyś również wiedział, że to właśnie nam zawdzięczasz możliwość uniknięcia właściwej kary. Wystarczyłoby, abyśmy przyszli tutaj nieco później, już po twoim włamaniu do tajnej komnaty. Schwytalibyśmy cię na gorącym uczynku wynoszenia z dworu zrabowanych rzeczy. Czy wiesz, dlaczego tego nie zrobiłem, dlaczego przyszedłem wcześniej? Bo chciałem uniknąć dewastacji dworu. Domyślałem się, że będziesz łomem zrywał deski podłogi i wykujesz dziurę do komnaty, przy okazji być może niszcząc wspaniałe, precyzyjne mechanizmy. A ja pragnąłem zachować go, aby jego działanie demonstrować później zwiedzającym nasze muzeum. I to cię uratowało przed ciężką karą, przed oskarżeniem o wielkie przestępstwo.

— A ty wiesz, gdzie jest ten mechanizm? — szyderczo zapytał Batura.

Kiwnąłem głową.

— Tak, i nawet go wam zademonstruję. Ale to potrwa jakiś czas. Trudno rozmawiać na stojąco. Panie sierżancie — zwróciłem się do Wąsika. — Chyba można już zwolnić milicjantów czatujących wokół dworu. Przestępcy nam nie uciekną.

— Tak czy inaczej, spędzą noc w naszym komisariacie — zapewnił mnie Wąsik. — Też jestem ciekawy, jak pan odkrył ten tajemniczy mechanizm. Zwolnię swoich ludzi i każę im zabrać Janiaka do komisariatu. Wrócę tutaj za chwilę.

To mówiąc wybiegł z sali balowej, a ja poprosiłem wszystkich, aby przysunęli krzesła bliżej kominka i usiedli na nich wygodnie.

— Zdumiewające. I coraz bardziej intrygujące — rzekł dyrektor Marczak, siadając na krześle.

Panna Wierzchoń powiedziała z wyrzutem do Batury:

— Pan jest kłamczuch. Przedstawił się pan jako inżynier-architekt. . .

Batura tylko się roześmiał:

— Tak, proszę pani. Jestem brzydki kłamczuch. Ale chyba pani rozumie, że w grę wchodziły nie byle jakie skarby. . .

Bigos usadowił się wygodnie na krześle, lecz raptem podskoczył, jakby usiadł na pluskiewkach.

— Już wiem! — oskarżycielskim gestem wskazał palcem Marysię. — Teraz sobie uświadamiam, że butelka starego burgunda nie stała na półce w piwnicy. Gdy zwiedzaliśmy piwnice, pani ją chyba wyciągnęła z torby i powiedziała: „Znalazłam butelkę burgunda.” A ja dałem się nabrać i wino z proszkiem nasennym zabrałem do kuchni.

— Ja też je piłam — wykręcała się Marysia.

— Nie szkodzi — odparłem. — Piła pani razem z nami, żeby nie wzbudzić naszych podejrzeń. A potem poszła pani spać do domu wczasowego, nas też zmożył silny sen. A w tym czasie Batura i ten pan bezkarnie mogli grasować we dworze.

Po chwili dodałem:

— Jednego tylko nie mogę zrozumieć: grasowaliście tutaj przez tyle nocy, mieliście sporo czasu, a jednak nie zdołaliście trafić do tajnej komnaty. To bardzo źle świadczy o twojej inteligencji, Batura.

— A właśnie że wiem, gdzie jest ta komnata — odburknął obrażony.

— Wiesz, gdzie jest komnata, lecz nie trafiłeś na mechanizm otwierający do niej dostęp. Szukałeś go bardzo długo, aż wreszcie, gdy zrozumiałeś, że depczę wam po piętach, zdecydowałeś się na ostateczność: wyrwać deski i wykuć otwór w podłodze.

— Czerski mieszkał tu wiele lat, a jednak dopiero przed rokiem odkrył działanie mechanizmu i tajną komnatę — bronił się Batura.

— A ja znalazłem go w ciągu kilku godzin. Dziś po południu — oświadczyłem z dumą. Wyznaję bowiem, że niekiedy staję się samochwałą.

Podchwyciłem pełne zachwytu spojrzenie panny Marysi. Batura też je zauważył, poczuł się dotknięty i rzekł pogardliwie:

— Nie przechwalaj się, Tomaszu. Miałeś pełną swobodę poszukiwań, bo jesteś tu kustoszem. Nie ma więc w tym nic nadzwyczajnego, że w końcu trafiłeś na mechanizm.

— Nie — przecząco pokręciłem głową. — Nie chcesz pamiętać, że nie miałem pojęcia, na czym polegało odkrycie Czerskiego. Przecież postarałeś się o to, aby z biblioteki zniknęły wszystkie książki związane z historią dworu. Dopiero wczoraj koleżanka Wierzchoń przywiozła z Łodzi informacje, że nasz dwór był kiedyś lożą masońską. Wówczas zrozumiałem, na czym polega odkrycie Czerskiego, dlatego z katalogu Czerskiego wyrwałem kartki... Uwięziony w tajnym korytarzu, miałem czas na rozmyślania o mechanizmie otwierającym tajną komnatę.

Do sali balowej wrócił sierżant Wąsik.

Batura szybko mi przerwał:

— Przepraszam cię, Tomaszu, ale wprzód musisz nam udowodnić, że to my uwięziliśmy cię w jakimś tajnym korytarzu.

Zrozumiałem, że nie chce, aby do aktu oskarżenia przybył jeszcze jeden punkt: uwięzienia mnie. Lekceważąco machnąłem ręką i powiedziałem:

— Popeliłeś trzy istotne błędy. Pierwszy polegał na tym, że przeceniłeś swój spryt.

— A widzisz — Marysia z tryumfem zwróciła się do Batury. — Kilkakrotnie ci mówiłam, że pan Tomasz wygląda na bardzo przebiegłego człowieka. A ty twierdziłeś, że jest tylko zabawnym dziwakiem.

Ująłem dłoń panny Marysi i ucałowałem.

— Jak miło mieć do czynienia z takim uroczym przestępcą.

— Uważaj, Maryśka! — Batura pogroził jej palcem.

Beztrosko wzruszyła ramionami.

— Nie lubię głupców. Pan Tomasz okazał się sto razy mądrzejszy od ciebie.

Panna Wierzchoń chrząknęła nerwowo:

— Pani chyba nie zamierza oświadczyć się naszemu kustoszowi?

Marysia potrząsnęła główką:

— Nie, proszę pani. Ale myślę, że pan Tomasz uwzględni moją skrucę i na procesie sądowym nie będzie mnie zbytnio oskarżał.

Sierżant Wąsik nie dał mi dojść do słowa:

— Od tej chwili ja mam tę sprawę w swoich rękach. A ja nie będę miał litości.

Panna Marysia zrobiła obrażona minę:

— Ja odpowiadam tylko za współudział w dewastowaniu tej podłogi.

Batura burknął gniewnie:

— Do rzeczy, do rzeczy, proszę państwa. Chyba mam prawo wiedzieć, na czym polegały moje błędy? Człowiek, jak to mówią, uczy się na błędach.

— Ach, tak? — krzyknął sierżant Wąsik. — Więc pan ma zamiar dalej popełniać tego rodzaju przestępstwa?

— Przepraszam, ale ja tego nie powiedziałem — obruszył się Batura.

Znowu zabrałem głos:

— Drugi błąd Batury polegał na tym, że wykorzystując moje uwięzienie, przyszedł do dworu podając się za inżyniera-architekta i zapowiedział, że przyśle ekipę budowlaną, która zajmie się jakąś naprawą w sali balowej. Dzięki temu zrozumiałem, że po pierwsze: zagadka kryje się w sali balowej, a po drugie: Batura nie zna innej drogi, jak tylko rozwalić ściany lub mur. Potem, gdy okazało się, że panna Wierzchoń i kolega Bigos nie zezwolą na pracę ekipy budowlanej, przestępca wpadli na inny pomysł. Postanowili mnie uwolnić, ale przedtem zasugerować mi, że osiągnęli swój cel, zdobyli to, czego szukali we dworze. Pragnęli przez to pozostawić sobie swobodę dalszego działania, a jednocześnie uśpić moją czujność. Na moich oczach dwaj zamaskowani przestępcy weszli do dworu z pustymi workami, a po jakimś czasie wyszli z workami naładowanymi. Ale ja pomyślałem:

najpierw zamierzali coś rozwalać, a teraz, bez żadnego trudu, zabrali skarby do worków i wynieśli je ze dworu? I domyśliłem się, że to zostało zainscenizowane wyłącznie na mój użytek. Przestępcy nie wynieśli skarbów, lecz węgiel z naszej piwnicy.

— A spryciarze! — aż stęknął Bigos.

— Domyśliłem się również — ciągnąłem dalej — że tych worków z węglem nie będzie im się chciało nieść daleko i zapewne porzucą je gdzieś w krzakach. Nazajutrz więc kazałem koledze Bigosowi przeszukać dokładnie park. Zrobił to i znalazł worki z węglem. Wówczas już z całą pewnością wiedziałem, że z dworu nie zniknęły skarby, a więc przestępcy ponowią próbę dostania się do nich. Postanowiłem im to ułatwić. Pomysł przyszedł mi do głowy, gdy na stole w bibliotece znalazłem zaproszenie na szkolne przedstawienie *Balladyny*. Wykorzystałem Janiaka, o którym niemal od samego początku wiedziałem, że ma coś wspólnego z duchami grasującymi we dworze. Gdy uwolnił mnie z tajnego korytarza, przyszło mi do głowy, że zrobił to na rozkaz przestępców. Jego zadaniem było wzbudzić moje zaufanie. Wykorzystałem to, prosząc go, aby stróżował we dworze podczas naszej nieobecności. On przekazał panie Marysi wiadomość, że idziemy do szkoły w Janowie, panna Marysia zadzwoniła do Batury, do hotelu w P. i szanowni państwo zjechali tutaj, aby osiągnąć swój cel. Zdawałem sobie sprawę, że nasza długa nieobecność we dworze musi złoczyńców zachęcić do działania. Tylko że my z sierżantem Wąsikiem zaplanowaliśmy tę okazję. I na tym polegał twój trzeci błąd, Batura — zakończyłem opowieść. Podniosłem się z krzesła.

— A teraz, proszę państwa, postaram się zademonstrować wam tajemnicę naszego dworu.

Lecz zanim się to stało, do sali balowej wszedł milicjant i powiedział, że jakieś dzieci chcą się koniecznie do nas dostać. Poprosiłem Wąsika, żeby wpuścił Zosię i Antka, bo domyślałem się, że to nie jest nikt inny. Po chwili sympatyczne dzieciaki znalazły się pośród nas. Widok milicji i tylu ludzi nie zdołał uśmierzyć pretensji małej Zosi.

— To tak, panie kustoszu? — powiedziała z wyrzutem w głosie. — Tak pan ocenił mój talent aktorski, że uciekł pan w połowie przedstawienia? Czy pan uważa, podobnie jak Antek, że nie powinnam myśleć o karierze aktorki?

Wymownym gestem wskazałem jej sierżanta Wąsika.

— Chyba widzisz, Zosiu, że nastąpiły nadzwyczajne okoliczności. To one zmusiły mnie do nagłego odwrotu. Jeśli zaś chodzi o sztukę aktorską, skąd ci przyszło do głowy, że jestem jej znawcą? Prawdę mówiąc, twoje aktorstwo uważam za znakomite. Udając Alinę z *Balladyny* zbierałaś maliny w naszym parku i znalazłaś długopis firmy „Walker”. A potem dzięki temu długopisowi zdemaskowałaś inżyniera Baturę i pokrzyżowałaś wszystkie jego plany. A te wasze powroty z wieczornych prób *Balladyny*? Czyż nie dzięki nim dowiedziałem się, gdzie to panna

Marysia umawia się na randki? W tajnym przejściu pod zegarem bibliotecznym.
Uważam więc, że znakomicie odegrałaś swoją rolę w tej sprawie.

— Nic z tego nie rozumiem — płacząco rzekła Zosia.

— Wszystko ci wyjaśnię — zapewniłem dziewczynkę — tylko daj mi trochę czasu.

ZAKOŃCZENIE

Zebrani w sali balowej spoglądali na mnie z napięciem. A ja, jak prestidigitator, zręcznym ruchem wyciągnąłem z kieszeni duży śrubokręt, którego używałem do różnego rodzaju napraw silnika w swoim wehikule.

— Proszę państwa — zacząłem. — Wyobraźcie sobie, że w mojej dłoni znajduje się straszliwy nóż, pugiinał. Uświadomijmy sobie również, że zesłaliśmy się we dworze będącym ongiś lożą wolnomularzy, którzy z myślą o wolnej Polsce wypowiedzieli walkę carskiej tyranii. Symbolem upadku tyranii była strącona, a ściślej, odwrócona korona przebita pugiinałem. — W tym momencie podniosłem do góry śrubokręt i zadałem nim cios niewidzialnemu przeciwnikowi.

Zosia powiedziała z zachwytem:

— Robi to pan tak samo jak ja, gdy zabijałam Alinę w *Balladynie*.

Skinałem jej uprzejmie głowę.

— To właśnie na *Balladynie*, gdy zabijałaś Alinę, rozwiązałem zagadkę naszego dworu. Powiedziałem ci już zresztą, Zosiu, że odegrałaś ważną rolę w tej sprawie.

— No, słyszysz? — Zosia tryumfująco trąciła łokciem Antka. Jak wiemy, nie miał on zbyt wysokiego mniemania o talentach swojej koleżanki.

A ja ciągnąłem dalej swą opowieść:

— Zawsze twierdziłem, że do rozwiązywania zagadek historycznych potrzebna jest nie tylko znajomość różnych epok, ale także i wyobraźnia. Aby rozwiązać zagadkę naszego dworu, trzeba przedstawić sobie mentalność wolnomularzy, wyobrazić sobie ich zwyczaje, gusty i obrzędy, pojąć ich ogromną skłonność do tajemniczości, mistyki, symboliki. A wiemy przecież, jaki był ich ulubiony symbol: w splecionych węzłach korona strącona, przebita pugiinałem. Wspomniał o tym umierając Czerski, czy nie tak, kolego Batura?

— Tak. I co z tego? — mruknął. — W tym dworze pełno jest tych symboli. Na obrazie, w rzeźbach na boazerii. . .

— Ba! — dorzuciłem. — Nawet stary Janiak rzeźbi wiśniowe cygarniczki ze splecionymi węzłami i odwróconą koroną. W tej sali także, jeśli się państwo dobrze przyjrzą, znajdziecie dwa takie symbole. Zwrócił mi na nie uwagę właśnie Janiak. O, tutaj — wskazałem kolumienki w pobliżu klasycystycznego kominka.

— Proszę się rozejrzeć — mówiłem dalej. — Czarna boazeria w sali balowej składa się jak gdyby z dużej ilości ogromnych prostokątnych pól, poprzedzielanych na wpół wypukłymi kolumnkami, z wyrzeźbionym na nich motywem liści. Ale w tym miejscu jedno z pól boazerii objęte jest kolumnkami, na których pną się do góry nie łodygi liści, lecz... węże. Tak, to są splecione węże.

— I co z tego? Myślisz, że ich nie widziałem? — wzruszył ramionami Batura.

— Jesteś spostrzegawczy — przyznałem — lecz brakuje ci wyobraźni. Przez długi czas zastanawiałem się, co za dziwny pomysł krył się za wyłożeniem sali balowej czarną boazerią. Dopiero gdy panna Wierzchoń przywiozła z Łodzi informacje, że w Janowie znajdowała się loża wolnomularzy, pomyślałem, że ta czerń służyła do nadania odpowiedniego nastroju masońskim obrzędom. W pełnej konspiracji, zapewne zamaskowani, wchodzili oni do dworu tajnym wejściem przez „świątynię dumania”. Prawdopodobnie w bibliotece przebierali się w swoje wolnomularskie stroje i potem zbierali się w dużej sali. Następnie wśród zamaskowanych braci zjawiał się mistrz loży i rozpoczynały się obrzędy. A skoro myślą przewodnią braci stała się walka z carską tyranią, musiało się to również odzwierciedlać w masońskich obrzędach. Wyobraziłem sobie taką scenę: oto w sali balowej zeszli się już bracia i mistrz, zabrzmiały słowa pieśni masońskiej, która mówiła o wolności, równości, braterstwie. A wtedy mistrz wyciągał z płaszcza puginał i... wbijał go w koronę. To był zapewne znak, że zebranie braci należy uznać za rozpoczęte.

— Świetny pomysł — przyznał Batura. — Czy już go sprawdziłeś?

— Nie miałem czasu — powiedziałem. — Chcę, żebyśmy go sprawdzili wspólnie. Wymierzyłeś dokładnie cały nasz dwór i sam stwierdziłeś, że pod salą balową znajduje się tajna komnata. Byłeś w niej nawet, zaprowadził cię tam Czerski...

— Skąd wiesz?

— Domyślam się tego. Przypuszczam, że prowadząc cię tam, zawiązał ci oczy, abyś nie mógł poznać drogi i działania mechanizmu.

— Tak było — stwierdził ponuro Batura. — Powiedział, że robi to dla żartu. Niby to chciał mnie wprowadzić w odpowiedni nastrój, w pełną tajemniczość atmosfery, w jakiej obradowali wolnomularze. W gruncie rzeczy Czerski bardzo był zazdrosny o swoje odkrycie. Pokazał mi swoje skarby, ale ani myślał wskazać do nich drogę. Powiedział, że ze wszystkim dokładnie mnie zapozna, gdy dojdemy do interesu, to znaczy, gdy znajdę kupca na jego skarby. On był już bardzo zdziwaczały. Nikomu oprócz mnie nie powiedział nic o swoim odkryciu.

— Nieprawda — przerwał dyrektor Marczak. — Na kilka dni przed śmiercią napisał do mnie list z propozycją, aby Ministerstwo Kultury i Sztuki nabyło jego zbiory. Zapewne chciał wysondować, ile może otrzymać od państwa, a ile od prywatnych handlarzy antykami. Ale zanim mu odpisałem, nadeszła wiadomość o jego nagłej śmierci. Natychmiast przyjechałem do Janówki, lecz we dworze

nie znalazłem nic z rzeczy, o których pisał. Wtedy kazałem dwór opieczętować. A na stanowisko kustosza mianowałem... detektywa-amatora — roześmiał się, zachwycony swoim pomysłem.

— Więc to właśnie tak było? — zdumiałem się. — Panu wcale nie chodziło o to, abym tu zorganizował muzeum, ale abym zbadał tajemnicę dworu?

Dyrektor Marczak znowu się roześmiał:

— A pan sądzi, że mam wielkie mniemanie o pana zdolnościach administracyjnych?

— Czemu nie powiedział mi pan o liście Czerskiego? — oburzyłem się. — Byłoby mi o wiele łatwiej zgłębić tajemnicę dworu.

— Czerski miał opinię dziwaka — wyjaśnił Marczak. — Gdy po przyjeździe tutaj stwierdziłem, że we dworze nie ma nic ze zbiorów, o których mi pisał, pomyślałem, że może Czerski usiłował wystrychnąć mnie na dudka i nie chciałem się przed panem ośmieszyć. Po jakimś czasie doszedłem jednak do wniosku, że źle zrobiłem. I przyjechałem teraz, aby panu pokazać ten list. Skąd mogłem przypuszczać, że będzie pan miał konkurentów w osobach tych dwóch panów i pięknej panny?

W tym momencie usłyszeliśmy głośne ziewnięcie kolegi Bigosa.

— Czy nie uważacie, panowie — odezwał się mój młody kolega — że dosyć tego próżnego gadania? W końcu jak wygląda tajemnica tego dworu? Mam chyba prawo to wiedzieć, skoro przeżyłem tyle niesamowitych historii?

— Tak jest. Do rzeczy — przyznałem mu rację. — Tylko na czym to ja skończyłem?

— Na obrzędzie wbijania noża w odwróconą koronę — odpowiedziała panna Wierzchoń.

— No, więc o co chodzi? — zrobiłem zdumioną minę. — Wyjaśniłem już wszystko. Trzeba mieć nóż i znaleźć odpowiednią koronę. Wbić w nią nóż, a otworzy się loża wolnomularzy. Zamiast puginału radzę użyć śrubokrętu.

Batura rzucił się do prostokąta boazerii, objętego kolumienkami ze splecionymi wężami.

— Zaraz... zaraz... — mrucał gorączkowo, przyglądając się kolumienkom. — Każda z tych kolumienek wspiera się na odwróconej koronie i taka sama korona wieńczy ją od góry. Do górnych koron nie sięgnie się bez drabiny... Więc w grę wchodzi tylko te dwie korony na dole...

Batura ukląkł na podłodze, przyglądając się uważnie rzeźbom.

Patrząc na niego pomyślałem, że podobnie jak ja kochał się w zagadkach historycznych. W tej chwili zapomniał, że znajduje się tutaj w roli przestępcy. Jakże wspaniałym kompanem mógłby być dla mnie, gdyby nie te jego złe skłonności, zbyt wielkie pragnienie posiadania pieniędzy. Ileż niezwykłych zagadek moglibyśmy wspólnie rozwikłać...

— W prawej koronie na dole jest szczelina wyłożona metalem. Coś jakby podłużna szpara na klucz. Tomaszu, daj śrubokręt! — zawołał.

Wbił go w metalową szparę. Potem przekręcił śrubokręt w prawo.

— A teraz należy chyba popchnąć tę część boazerii? — szepnął.

Naparł ramieniem na boazerię. Czarny prostokąt otworzył się jak drzwi obrotowe, z przebiegającą przez ich środek metalową osią. Z obydwu stron odchylonej ściany ukazały się dwa wąskie przejścia na niewielki podest z krętymi schodami w dół.

— Obstukiwałem to miejsce — powiedział z rozpaczą Batura. — Słyszałem głuchy odgłos, ale pomyślałem, że biegnie tędy przewód kominowy, ponieważ ta część boazerii znajduje się w najbliższym sąsiedztwie komina.

Wziąłem do ręki latarkę elektryczną i pierwszy przekroczyłem próg tajnego wejścia. Za mną poszedł dyrektor Marczak, a potem Batura i reszta. Zamykał pochód sierżant Wąsik, dając baczenie, aby korzystając z tak znakomitej okazji, nie umknął mu żaden z przestępców.

Kręte schody zaprowadziły nas do dużej komnaty pod salą balową.

Tak, to była z całą pewnością loża masońska. Ściany wybito kiedyś czarnym sukniem; teraz zwisały już tylko strzępy zmurszałej materii, połyskujące gdzieś złotymi malowidłami, przedstawiającymi wolnomularskie insygnia: kielnię i cyrkle, znaki zodiaku i inne dziwne symbole, tchnące tajemniczością. Loża przypominała małą świątynię: pod trzema ścianami stały drewniane ławy dla braci, pod czwartą znajdował się dębowy czarny stół, a za nim pięć krzeseł z rzeźbionymi oparciami. Na stole dostrzegliśmy kilka ogromnych srebrnych świeczników. W rogu był kredens oszklony, a w nim pełno skarbów, które mogły zachwycić oko każdego muzealnika. Kryły się tam bowiem srebrne i złote rytualne przedmioty i naczynia: wspaniała złożona waga, ogromny złożony cyrkiel i srebrna kielnia, puchary i miseczki, do których padała kropla krwi przyjmowanego do loży nowego brata, wysadzone drogimi kamieniami puginały, służące do obrzędu braterstwa krwi. Na jednej ze ścian wisiała wspaniała kolekcja szabli i szpad potrzebnych do obrzędu, gdy pod wyciągniętymi szpadami przechodzić musiał nowo przyjmowany brat. Obejrzelśmy insygnia mistrza, pieczęcie loży w Janówce, która zwała się, sądząc po symbolach, Jutrzenką Wschodu.

W czarnej, inkrustowanej srebrem skrzyni znaleźliśmy oprawną w skórę księgę ze spisem dochodów i wydatków loży — wspaniały materiał dla historyków. Leżało tam też kilka dyplomów braci, którzy dopiero co wstąpili do loży.

Pod jedna ze ścian znajdowały się również organy, na których jeden z braci akompaniował pieśniom rytualnym, śpiewanym podczas zebrań. Wyposażenie tej komnaty nazwać by można jednym wielkim skarbcem, nie tyle ze względu na złożone naczynia i wysadzone klejnotami puginały i rękojeści szabli, ile przez fakt, że tak wiele zabytków masońskich przetrwało do naszych czasów. A nigdzie dotąd nie znaleziono kompletnego wyposażenia loży masońskiej.

Dyrektor Marczak zastanawiał się głośno:

— Jak się to stało, że przez tyle lat w nienaruszonym stanie przetrwało to wszystko?

Wyjaśniał mu Ba tura:

— To samo pytanie zadałem Czerskiemu. Okazało się, że ta zagadka ma dość proste rozwiązanie. Pierwszym właścicielem dworu w Janówce i zarazem mistrzem tej łoży był hrabia Bruśnicki, który nigdy tu nie mieszkał, miał swój pałac o siedemdziesiąt kilometrów stąd. Do Janówki przybywał tylko na zebrania łoży. Jak większość braci masońskich, brał on udział w spisku, który potem przerodził się w powstanie listopadowe. Zginął w maju 1831 roku w słynnej bitwie pod Ostrołęką. Śmierć, wygnanie, los tułacza — oto co spotkało większość braci masońskich. Zapewne ani żona hrabiego, ani jego małoletni wówczas syn nie zdawali sobie sprawy, czym był w rzeczywistości dwór w Janówce. Przez kilkanaście lat po śmierci hrabiego dwór stał opustoszały i zaczął chylić się ku ruinie. Gdy młody hrabia dorósł, dwór odnowiono i zamieszkało w nim. Wówczas to odkryto tajne przejście do biblioteki. Ale na ślad tajnej komnaty pod salą balową nikt nie wpadł, bo dębowa boazeria jest bardzo trwała i nie wymaga napraw. Kupując Janówkę Czerski dowiedział się tylko o tajnym przejściu do biblioteki, zapoznając się jednak z historią dworu, doszedł do wniosku, że kryje on jeszcze inne zagadki. Szukał długo, aż znalazł wejście do łoży. Kto znał Czerskiego, ten chyba wie, jak bardzo pragnął, aby uważano go za naukowca-historyka. Bolał nad tym, że uczeni historycy odnoszą się do niego z lekceważeniem. Gdy dokonał odkrycia, zachował tę sprawę w największej tajemnicy i przystąpił do pisania pracy naukowej z dziejów wolnomularstwa. Mam nawet rękopis tej jego pracy. W międzyczasie jednak kilkakrotnie zmieniał swoje zamiary. Z początku zamierzał swym odkryciem wzbudzić sensację w świecie naukowym, potem znów zdecydował się sprzedać znalezione zabytki i w tej sprawie zwrócił się do mnie. Byłem chyba jedyną osobą, której pokazał komnatę. I bylibyśmy chyba doszli do porozumienia w tej sprawie, gdyby nie jego nagła śmierć.

— Ale na łożu śmierci — powiedziałem — zdecydował się jednak przekazać zbiory państwu. Tak chyba należy rozumieć jego słowa: „*Zróbcie muzeum.*” Podsunął nawet wskazówkę, gdzie szukać komnaty: „*W węzłach splecionych, w koronie strąconej...*”

— I zrobimy tu muzeum — powiedział Marczak.

Skończyliśmy oględziny podziemnej komnaty. A ponieważ zrobiło się już dość późno, powróciliśmy do sali balowej.

Zosia i Antek zaraz zaczęli się z nami żegnać.

— Duchów już nie ma. Wypłoszyliśmy je — powiedziałem do Zosi, wymownie spoglądając na Marysię i Baturę. — Ale chyba nie martwisz się z tego powodu, prawda?

— A tak — zgodziła się Zosia. — Jeśli tu będzie muzeum, i to z takimi niezwykłymi zabytkami, nie zlikwidują chyba naszych domów wczasowych nad rzeką?

Na odchodnym szepnęła:

— Wie pan, rozmyślałam się. Nie będę aktorką, pójdę na historię sztuki.

— Co takiego? — podchwyciła jej słowa panna Wierzchoń. — Przecież nie każdy dwór ma podobną zagadkę.

— I nie wszędzie są tacy kustosze — z dumą wypiąłem pierś.

— Już lepiej zostań aktorką — dodał Bigos. — Przynajmniej będziesz jadała codziennie kolację. Bo czy zdajesz sobie sprawę, że od obiadu nie miałem nic w ustach?

Antek rzekł z powagą:

— Słyszałem, że to bardzo niezdrowo jeść na noc, przed snem.

Bigos tylko cichutko westchnął i dodał ze smutkiem:

— Pan kustosz bardzo dba o moje zdrowie. . .

Zosia z Antkiem odeszli. Sierżant Wąsik zabrał złoczyńców na posterunek milicji w Janowie, aby spisać protokół o dewastacji zabytkowego dworu.

Batura i ten drugi jegomość, który okazał się dość znanym handlarzem antyków, mieli bardzo pewne siebie miny. Natomiast panna Marysia rozplakała się gorzko.

— Och, co za wstyd! Co za wstyd! . . . — łkała.

A sierżant Wąsik, choć twierdził, że ma serce z kamienia, na widok tych łez zmiękł jak wosk i zaczął dziewczynę pocieszać, że po spisaniu protokołu natychmiast puści ją do domu.

— Tak, tak, byłam jedynie ślepym narzędziem — łkała Marysia. Batura tylko uśmiechał się pogardliwie.

I taka, łkająca, pozostała w mej pamięci, nigdy już bowiem jej nie spotkałem. Nie spotkałem też nigdy pana z valconem.

Co do Batury, to nasze drogi jeszcze kilkakrotnie się skrzyżowały, i to w dość dramatycznych okolicznościach, o czym kiedyś wam opowiem w innych książkach.

Dla informacji podaję, że zarówno panna Marysia, jak i ów handlarz antykami otrzymali po dwa miesiące aresztu z zawieszeniem na dwa lata. Baturze sąd wymierzył trzy miesiące aresztu również z zawieszeniem oraz kazał mu zapłacić za naprawę podłogi w sali balowej. Wyroki zapewne wydadzą się wam łagodne, ale trzeba uwzględnić fakt, że nie włamali się do dworu, a weszli do niego wpuścić przez Janiaka.

Co zaś się tyczy tego ostatniego, poprosiłem władze śledcze o pewne względy dla niego. Z uwagi na podeszły wiek Janiaka w ogóle umorzono przeciw niemu śledztwo. Trzeba było uwzględnić sytuację, w jakiej się znalazł po śmierci Czerskiego. Antykwariusz zapewniał go, że w testamencie znajdzie się zapis dla niego,

potem okazało się, że żadnego testamentu nie zostawił. Po tylu latach pracy dla Czerskiego Janiak znalazł się na łasce kustosza powstającego muzeum, bał się, że go usuną z mieszkania. Batura zaś za pomoc w penetrowaniu starego dworu obiecywał wysokie wynagrodzenie i załatwienie mieszkania w mieście. Niepewny swego losu Janiak dał się skusić jego namowom.

Zdziwi was może fakt, że choć znaliśmy jego rolę w przestępczej działalności Batury, Janiak został jednak etatowym dozorcą dworu w Janówce. Potem przeszedł na rentę, nadal jednak mieszka w oficynie w dworskim parku.

A panna Wierzchoń i Bigos?

Gdy zostaliśmy sami w niesamowitym dworze, dyrektor Marczak nieśmiało zaproponował:

— A może jednak zjemy jajecznicę na kiełbasie?

— Nie! Nigdy! — wrzasnął Bigos. — Już wolę umrzeć z głodu.

Spałaszował jednak wielką porcję, przyrządzoną przez pannę Wierzchoń.

Była już głęboka noc, a my wciąż siedzieliśmy w kuchni dworskiej i jeszcze raz przeżywaliliśmy w opowiadaniach minione dni i godziny.

Tę naszą miłą pogawędkę przerwał nagle dyrektor Marczak:

— Nie zamierzam ukrywać faktu, że uważam pana za bardzo złego kustosza — powiedział. — Jesteście tutaj tak długo, a zaledwie zakończyliście inwentaryzację. Nie zaproponował nam pan żadnej konkretnej koncepcji przyszłego muzeum. A poza tym nie potrafi pan sobie ułożyć stosunków z młodymi współpracownikami. Przecież ci młodzi ludzie nie mogą ciągle jeść jajecznicy na kiełbasie. Ani nie powinni być pozbawieni elementarnych rozrywek kulturalnych. . .

— Nie jest tak źle, panie dyrektorze. . . — mruknął w mojej obronie kolega Bigos.

— Nigdy nie uważałem, by nadawał się pan na kustosza — z niezwykłym okrucieństwem ciągnął dyrektor Marczak. — Mianowałem nim pana, aby zgłębił pan tajemnicę dworu. Zrobił pan swoje i może odejść. Mam dla pana inną pracę. W najbliższej przyszłości wyjedzie pan z naszego ramienia do Monachium w bardzo poufnej misji. Chodzi o odnalezienie i odzyskanie wywiezionych podczas wojny przez hitlerowców zbiorów jednego z naszych muzeów. W Monachium podobno mieszka człowiek, który wie, gdzie te zbiory się znajdują. Pan z nim nawiąże kontakt i postara się wydobyć od niego tajemnicę miejsca, gdzie te zbiory do dziś są ukryte. Zaznaczam, że będzie to bardzo niebezpieczna i wymagająca wielkiego sprytu misja. . .

Ogarnęła mnie taka radość, że chciałem ucałować pocziwą gębę dyrektora.

— A co z Janówką? — zaniepokoiłem się.

— Na razie obowiązki kustosza pełnić będzie panna Wierzchoń. Niech nikt nie mówi, że nie umożliwiam młodzieży dobrego startu.

Ale panna Wierzchoń wcale się nie cieszyła. Gdy nazajutrz rankiem zegnałem się z nią, aby z dyrektorem Marczakiem jechać do Warszawy, powiedziała do mnie ze smutkiem:

— Po powrocie z Monachium pan nas odwiedzi, prawda?

— Na pewno — przyrzekłem.

Uściskałem mocno kolegę Bigosa, który bacznie oglądając się na wszystkie strony, czy nas nie słyszy panna Wierzchoń, zwierzył mi się w największej tajemnicy:

— Pan był zły, ale ONA jest jeszcze gorsza. Powiedziała dziś do mnie: „Bigos, schowaj na strych swoją gitarę, bo ona gra mi na nerwach. Musimy wziąć się do roboty.” I co pan na to, panie Tomaszu? Z deszczu wpadłem pod rynnę.